

Lidia **LISZEWSKA**
Robert **KORNACKI**



Zostań ze mną

Świat bohaterów, „gdzie nicość i kłamstwo nie mają już dostępu”, zawala się w jednej chwili. Docierasz do ostatniej strony z nadzieją, że wszystko będzie dobrze. Poruszająca lektura.

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI



Zostań
ze mną

Lidia **LISZEWSKA**
Robert **KORNACKI**

Zostań ze mną



Copyright © Lidia Liszewska, 2019

Copyright © Robert Kornacki, 2019

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Maria Moczko | panbook.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Fotografie na okładce: © Andrea McClain | Arcangel,
© Teerapun Fuangtong, © Christian Mueller, © Evgeniy
Zakharov, © maximleshkovich | Depositphotos.com

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN 978-83-79761-52-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Co jest takiego w sztuce, co jest takiego w ludzkich
namiętnościach, że zatracamy się w nich bez reszty, wiedząc, ile
się za nie płaci? Dlaczego suptamy ostatni grosz na chwilę
uniesienia, błysk właściwego słowa, barwy, kształtu? To tylko
wytwory naszych rąk, emocji, wiedzy, wyobraźni, a potrafią
popchnąć i twórcę, i tego, kto po drugiej stronie, w miejsce,
z którego nie ma powrotu. Ile trzeba mieć odwagi, żeby jedynie
za tym podążać? A może to tylko egoizm? Pospolity jak perz,
wybujął jak majowy mlecz...*

PROLOG

Wiosna tego roku była wyjątkowo gorąca. Nieliczne w ciągu dnia wolne chwile Kosma spędzał na tarasie lub za domem, w cieniu orzecha włoskiego. Miał z tego miejsca doskonały widok na całą okolicę, łącznie z drogą dojazdową, która leniwie zakręcała przy niewielkim wzniesieniu i urywała się za lasem. Spędził tu tyle czasu, że w ciemno mógł obstawiać, co wydarzy się o różnych porach dnia. Kiedy spoza brzózek wyłania się na małym motorku stary listonosz, to na pewno dochodzi jedenasta. No, góra jedenasta trzydzieści, jeśli to dzień wypłat i pan Stanisław, suchy jak patyk z racji podeszłego wieku, dłużej zabawia u niektórych sąsiadów, dostarczając emerytury. Dziś tylko nieco zwolnił, przejeżdżając obok, i pomachał do Kosmy w przepaszającym geście – jakby chciał powiedzieć: „Nie mam dla ciebie żadnego listu”. Leniwe spojrzenie Helmuta odprowadziło listonosza, a po chwili pies spał już w najlepsze. Kosma też chętnie poświęciłby kilka minut na drzemkę, zwłaszcza że akurat wolny był hamak, który kupił dla dziewczynek kilka tygodni temu. Ale obowiązki wzywały, a teraz dodatkowo był zły, bo przez chwilę liczył na list od Matyldy.

Kiedy pięć lat temu wrócił po kuracji ze szwajcarskiej kliniki

i dotarł do Warszawy, nie zwlekał ani chwili z oświadczeniami. Ona chciała przede wszystkim wiedzieć, jak się czuje i czy udało mu się opanować chorobę. Boże, chciała wiedzieć dużo więcej, ale nie dał jej dojść do słowa, na przemian całując ją i dziewczynki.

– Będzie czas na opowieści – próbował ją uspokoić. – Teraz po prostu powiedz, czy kochasz mnie na tyle, by wychować ze mną te dwie ślicznotki?

– W ten sposób prosisz mnie o rękę? – zachnęła się przekornie, choć przecież już tysiąc razy ustalali to przez telefon. Nie pragnęła niczego więcej, jak tylko powiedzieć: „Tak, chcę z tobą obserwować, jak dorastają nasze córki”.

I to właśnie wtedy powiedziała. Kosma uśmiechnął się promiennie, ale tylko na sekundę.

– Świetnie, a... która jest która? – Bezradnie patrzył na dwa szkraby w łóżeczkach. Wyglądały inaczej niż na wyświetlaczu telefonu, a i zdjęcia przesyłane mu przez Matyldę były zazwyczaj podpisane. Teraz nie miał żadnej podpowiedzi.

– Będzie czas na naukę. – Tym razem to Matylda postanowiła przetestować jego cierpliwość. – Zobacz, znowu zasnęły, więc jeśli nie masz nic przeciwko, to...

Nie miał, dał się zaprowadzić do pokoju obok i całował ją, nadrabiając każdy dzień, który zabrał im wcześniej swoją decyzją o ucieczce.

I wtedy pomyślał, że wszystko zacznie się układać.

Aż któregoś razu zadzwonił telefon. Był już wieczór, dzieci zajęte zabawą ani myślały o kąpieli i spaniu, Kosma z Matyldą oglądali jakiś program w telewizji, a telefon dzwonił i dzwonił.

– Nie wstawaj, może to nic ważnego – poprosił Kosma. Było mu dobrze, kiedy tak leżeli wygodnie i mógł bawić się jej włosami.

– Powinnam, mama miała zadzwonić. – Matylda wstała

i podeszła do komody, na której brzęczała jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i rozpoznała numer z Włoch.

W momencie, kiedy nacisnęła ODBIERZ, Kosmę przeszedł dreszcz. Jakby poczuł, że ta rozmowa będzie miała konsekwencje. Helmut podczołgał się do niego i oparł mu głowę na kolanie. Psie oczy patrzyły na niego z wyraźnym smutkiem. Wtedy Makarski jeszcze nie wiedział dlaczego. Nie mógł się spodziewać, że kiedyś z pewnym mężczyzną sam przeprowadzi pewną rozmowę, w której rozmówca niemiłosiernie kaleczyć będzie język polski. I że ta rozmowa Kosmę skaleczy dużo bardziej.

masz na policzku rumieniec
od upału sennego popołudnia
od moich zachłannych pocałunków
od niecierpliwych słów
i spełnionych obietnic
od krwi
która krąży
między Tobą a mną
w układzie zamkniętym

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy zostajesz ojcem, świat najczęściej wywraca ci się do góry nogami. Ale zostać ojcem po czterdziestce to jakby zacząć życie od nowa. Kosma przekonywał się o tym na każdym kroku. Z dotychczasowych nawyków został mu już tylko spacer z Helmutem. Czuł jednak, że i ten zwyczaj za jakiś czas stanie się jedynie miłym wspomnieniem. Wilczarz irlandzki, który był w ich rodzinie od szczeniaka, wchodził w okres pogodnej psiej emerytury i zamiast wieczornych wycieczek coraz częściej tęsknie wypatrywał starej sofy, służącej mu za pośłanie. Jeśli do tej pory nie odmówił swemu panu, to tylko dlatego, że takie postępowanie nie mieściło się w kanonie porządnego psiego wychowania, które odebrał rasowy czworonóg z Łodzi. *Noblesse oblige*, zdawały się mówić mądre psie oczy. No i może jeszcze dlatego, że wyprawa krętymi ścieżkami, jakie pokonywali każdego wieczoru, była czasem tylko dla nich – mogli go spędzić w męskim towarzystwie. „My, psy, musimy się trzymać razem” – zgodnie z cytatem usłyszanym kiedyś w filmie Pasikowskiego Helmut machał ogonem i posłusznie ustawiał się przy drzwiach.

Zostawiali więc panie Makarskie i ruszali łapa za łapą i noga za nogą. Jednak, trochę wbrew naturze, to Kosma był w tym

ducie czujny i napięty; co jakiś czas sprawdzał, czy elektroniczna niania nie traci połączenia z nadajnikiem usytuowanym na parapecie w pokoju córek. Halszka i Różanka o tej porze spały już głęboko, ale wolał dmuchać na zimne, gotów do szybkiego powrotu, gdyby tylko z sypialni dziewczynek dobiegły niepokojące dźwięki. Było prościej, kiedy ich matka, Matylda, przebywała w domu, ale teraz musiał radzić sobie sam – patent z opiekunką na baterie jak do tej pory pozostawał niezawodny. Zresztą nie odchodzili zbyt daleko, po prostu tyle, ile potrzeba było psu na toaletę, a jemu na dotlenienie mózgu przed snem.

– Chyba wystarczy na dziś? – zapytał bardziej siebie niż psa, ale Helmut poczuł się w obowiązku potakująco pomachać ogonem. – Chciałbym jeszcze napisać do żony...

Układając listy do Matyldy, nieświadomie uśmiechał się do wspomnień. To właśnie przez jeden z nich poznali się siedem lat wcześniej. Był wtedy żonaty, ona też miała męża, pozornie poukładane życie i dorosłe już dzieci. A jednak postanowili zmienić wszystko i dać szansę miłości, która zdarza się raz na tysiąc lat.

Może częściej, jeśli tylko zechcesz ją dostrzec, pomyślał Kosma, uchylając drzwi do pokoju córek. Spały spokojnie; przed snem jak zwykle wykąpał je i poczekał, aż ułożą się wygodnie.

– Poczytasz?

Różanka domagała się codziennej porcji lektury, a on – choć na koniec dnia jego poważnie chore do niedawna gardło zwyczajnie odmawiało posłuszeństwa – siadał między ich łózkami i cichym głosem malował historie zza siedmiu gór i mórz. Obie pięciolatki słuchały z przejęciem, zasypiając z barwnymi opowieściami pod powiekami. Różanka była taka jak on, miała nawet jego oczy, od niedawna kazała ścinać sobie włosy krótko i wybierała „chłopięce” kolory ubrań. Za to Halszka wdawała się w mamę; „Matylda jak malowana” – mówiły

babcie i rozplęwały się w zachwytach nad jej lokami i długimi rzesami.

Dziewczynki rosły otoczone miłością, choć w ich pokoju czuć było przedłużający się brak kobiecej ręki. Nieobecność matki skutkowałą rozgardiaszem w garderobie i bałaganem wśród zabawek; Kosma najwyraźniej nie radził sobie najlepiej z domowymi obowiązkami. Jego pierwsza córka, Michalina, była już dorosłą kobietą. Od czasu, kiedy zajmował się niemowlakiem, minęła wieczność. Tetrowe pieluchy zostały wyparte przez jednorazowe pampersy, gotowe dania w słoiczkach z powodzeniem zastąpiły babcine zupki, a dziecko – o zgrozo – można było zabrać na spacer, nie opatulając go w ograniczający ruchy pierożek.

Ominął go pierwszy rok z życia obu dziewczynek, bo walcząc z samym sobą i trawiącym go nowotworem krtani, zniknął Matyldzie z oczu. Nie chciał, nie mógł dopuścić, by oglądała go w takim stanie, rak równał się wyrokowi śmierci. Kosma pograżał się w przekonaniu, że umrze. Chciał umrzeć, wolał to niż wegetację z rurką w gardle i bycie ciężarem dla zakochanej w nim kobiety. Ale pojawiła się szansa na eksperymentalne leczenie w Zurychu i postanowił z niej skorzystać. A zaraz później, przez przypadek – guzik prawda, to nie mógł być żaden przypadek! – dowiedział się, że tuż przed rozstaniem Matylda zaszła z nim w ciążę. I że został ojcem bliźniaczek.

To był ten moment, kiedy zrozumiał, że los daje mu kolejną szansę. Nawet nie liczył, która to już z kolei. Wiedział tylko, że z tej musi skorzystać najlepiej, jak się da. I właśnie dlatego, zostając ponownie ojcem po czterdziestce, zaczynał życie od nowa. Nowe miejsce, nowe zajęcie, ale i nowe ograniczenia. Terapia się udała, rozwój choroby został zatrzymany, a jego głos wciąż miał stare brzmienie.

– Koniec ze wszystkim, co obciąża gardło, *ist es klar?* – zapytał po zakończeniu pierwszego etapu leczenia profesor Schulz, jego szwajcarski zbawca.

– *Ich schwöre* – odrzekł spokojnie Kosma, bo akurat tej przysięgi był pewien jak nigdy w życiu.

Słowo się rzekło. Z nikotyny zrezygnował już jakiś czas przed leczeniem, a teraz do zakazanych przyjemności doszły też alkohol i głośne śpiewanie. Nie brakowało mu jednak niczego w mazurskiej głuszy. Stodoła kupiona przez Matyldę tuż przed ich rozstaniem, a następnie wyremontowana według jego pomysłu, szczęśliwie przetrwała zawieruchę w ich związku i nie trafiła w obce ręce, choć w pewnym momencie jej sprzedaż była już niemal przesądzona. Budynek okazał się całkiem przytulnym miejscem, a po dokonaniu niezbędnych przeróbek, wymuszonych przez niespodziewane pojawienie się Różanki i Halszki, stał się wymarzonym kątem dla całej rodziny. Kosma nie bez żalu porzucił Łódź i Warszawę, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że to właśnie to miejsce jest mu przeznaczone. Zresztą regularnie odwiedzał stolicę – miał tam przecież pracę – a i do Łodzi zapuszczał się przynajmniej raz w miesiącu. Starsza córka, Michalina, została w ich mieszkaniu w lofcie przy Tymienieckiego; Kosma miał tam swój pokój i czasem w nim pomieszkiwał, jeśli zachodziła taka potrzeba. Ona sama chciałaby gościć ojca i swoje małe siostrzyczki zdecydowanie częściej, ale nowe zajęcie, jakie wymyślili dla siebie z Matyldą, nie pozwalało na to. Kosma postanowił bowiem ograniczyć swoją działalność w telewizji i skupić na tym, co zapewni im spokojny dochód w sytuacji, kiedy jego choroba da o sobie znać na nowo. Wciąż istniało takie niebezpieczeństwo.

– Dbasz o siebie, prawda? – pytała Michalina za każdym razem, a on niezmiennie kiwał głową. Patrzyła mu długo w oczy, jakby szukając dowodu na to, że tym razem nie oszukuje. Wcześniej dość często przy okazji tych rozmów mijał się z prawdą. Teraz jednak zmieniło się wszystko, nie tylko on.

Dzieci śpią i ja też za chwilę będę się kładł. Powinnaś przyjechać

choć na krótko, bo tęsknimy strasznie. Dzisiaj Halszka pytała, czy może sobie malować paznokcie... Nie wiem, co jej odpowiedzieć, więc na razie pochowałem Twoje lakiery. Ale wiesz, ona jest sprytna, prędzej czy później je odnajdzie! Nauczyłem się dziś gotować zupełny krem z cukinii. To znaczy tak myślę, bo dziewczynki tylko ją powąchały, a Helmut udawał, że nie jest głodny. Albo na odwrót, już nie pamiętam. Efekt jest taki, że zjedliśmy pizzę, a kremem z cukinii cieszył się tylko Gabrys.

Wiesz, że Cię kochamy?

Czy Ty kiedyś do nas wrócisz?

Odłożył pióro z zielonym atramentem i złożył list na pół. Przysiadł jeszcze na sofie współdzielonej przez Helmuta i Gabryśia – małą świnkę wietnamską kupioną krótko po przeprowadzce. Zwierzęta przyjęły jego towarzystwo z wyraźną aprobatą. Drapiąc za uchem to wilczarza, to warchlaka, Kosma usnął zmęczony. W domu było cicho, przez uchylone okno słyhać było jedynie szum drzew. List, jak wiele innych, napisanych wcześniej, sfrunął pod stół, strącony podmuchem wiatru.

Dużo wcześniej, kiedy jeszcze słaby po przebytej kuracji, ale szczęśliwy z powodu niespodziewanego ojcostwa wrócił do Polski, w mieszkaniu przy Tymienieckiego w Łodzi czekała go poważna rozmowa z byłą żoną, Kaśką, i ich córką Michaliną. Obie panie przebieg leczenia, jego efekty oraz zagrożenia, jakie czyhały na rekonwalescenta, znały z codziennych relacji telefonicznych lub mailowych, więc te zagadnienia nie były dla nich aż tak frapujące, jak można by oczekiwać. Co innego nowiny o powiększeniu rodziny – to był temat, który rozpalał ich wyobraźnię do maksimum, choć pewnie każda z nich przeżywała go inaczej.

– To chyba nie było niepokalane poczęcie? – Katarzyna nie mogła się powstrzymać od drobnej uszczypliwości. Rozstała się z Kosmą w zgodzie, byli małżonkowie pozostawali w przyjaźni, niemniej postanowiła nie odmawiać sobie tej drobnej przyjemności, a prztyczek w nos byłego męża cieszył jak nigdy.

– Tato, to może pójdziecie za ciosem i sprezentujecie mi braciszka? Będiesz sam jak palec w tym babińcu? – Michalina też postanowiła wtrącić swoje trzy grosze.

– Tylko mnie nie proś na chrzestną, aż tak wyluzowana nie jestem! – dopowiedziała jeszcze jej matka, sadowiąc się na wielkiej sofie w salonie. Przez całą drogę do kraju nie poruszali tematu podwójnego ojcostwa, sam Kosma też nie kwapił się do opowieści. Widać było, że spieszy mu się do Polski i błądzi gdzieś myślami. Z ich wcześniejszych planów rodzinnej wycieczki niewiele zostało, Kaśka i Michalina doskonale wiedziały, że zależy mu tylko na szybkim powrocie. Wcale się temu nie dziwiły i każda na swój sposób cieszyła się jego szczęściem.

– No dobra, Halszka i Różanka. Tak brzmią ich imiona. – Spojrzał na byłą żonę i córkę z ukosa, jakby sondując ich reakcję. – Jeśli będziecie grzeczne, pokażę wam zdjęcia.

Naprawdę chciał im udowodnić, że szczęścia również mogą chodzić parami, ale telefon dzwonił tak często i tak wiele osób chciało z nim porozmawiać już teraz, natychmiast, że przeprosił dziewczęta i zamknął się w gabinecie. Były bowiem rozmowy, z którymi zwlekać nie mógł, a szczególnie jednej z nich wolał nie przeprowadzać w towarzystwie obu pań.

– Już jestem na miejscu – powiedział do słuchawki, siląc się na spokój, bo w głębi duszy chciał tańczyć i śpiewać. Może nawet trochę przy tym przestępował z nogi na nogę.

– Uff, martwiłam się. Czekamy na ciebie. – Matylda też z trudem hamowała emocje. Kontakt telefoniczny był tylko namiastką tego, czego potrzebowała, ale wiedziała, że już

niebawem ta udręka się skończy.

– Przyjadę jak najszybciej – odezwał się cicho Kosma, jakby na potwierdzenie. – To kwestia dwóch, może trzech dni.

– Uważaj na siebie...

– Uważam, przecież wiesz! – Rzeczywiście uważał; miał świadomość, że psim swędem wywinął się chorobie. Cały niepokój, w jakim żył ostatnimi miesiącami, wciąż czałł się gdzieś blisko. – Śpijcie spokojnie.

Przeprowadził jeszcze kilka rozmów, oddzwaniając na nieodebrane wcześniej połączenia. Dłużej pogadał z Edmundem Kiszczakiem, dyrektorem programowym NTV, największej prywatnej stacji telewizyjnej w kraju. Edmund wiele miesięcy wcześniej odkrył Kosmę dla telewizji i zaproponował mu angaż przy cyklu programów. Na początek było to użyczenie głosu do rozmaitych produkcji w kanałach tematycznych, z czasem jednak Makarski dostawał coraz ciekawsze propozycje. Dzięki jednej z nich został gospodarzem programu krajoznawczego, w którym mógł wykorzystać swoje etnograficzne wykształcenie. Program miał na tyle dobrą oglądalność, że stacja zdecydowała się na kontynuację formatu w kolejnym sezonie. Choroba Kosmy mogła tu wszystko pokrzyżować, nic więc dziwnego, że Stary, jak mówiono o Kiszczaku na korytarzach NTV, chciał trzymać rękę na pulsie.

– Dasz radę? – padło pytanie, kiedy zakończyli już zwyczajowe uprzejmości.

– Tak, dam, choć mam pewne ograniczenia, zdajesz sobie sprawę? – Skoro Kiszczak zwrócił się do niego po imieniu, Kosma z chęcią przystał na taką formę konwersacji. Pozwalali sobie na to tylko, kiedy nikogo nie było w pobliżu.

– Zdaję, ale jak zapewniałem wcześniej, ten program opiera się na tobie, więc nagrania dostosujemy do twojego stanu zdrowia.

– Nie zrozumiałeś mnie, nie o takie ograniczenia mi chodzi... –

Kosma uśmiechnął się mimowolnie.

– To przestań gadać szaradami! – niecierpliwił się Edmund.

– Aj, po prostu nie chciałem przez telefon i jakoś tak... Chodzi o to, że ojcem jestem!

Przez chwilę po drugiej stronie nikt się nie odzywał, widać Stary musiał przetrwać informację.

– Co ty mi tu za farmazony wygadujesz? Przecież wiem, że jesteś ojcem! Twoja córka to dorosła kobieta; chyba nie chcesz mi powiedzieć, że potrzebuje teraz ojcowskiego ramienia...

– Edmund! – przerwał mu Kosma. – Mam dwójkę rocznych bliźniąt, dowiedziałem się w dzień wylotu do Szwajcarii. Mam dwie całkiem nowe, wciąż małe i rozkoszne córki!

Na moment zapadła cisza.

– Gratuluję – zaczął Stary ostrożnie – ale dla pewności dopytam, czy wszystko w porządku, nie jesteś na prochach? Nie pomyliłeś leków?

– Wszystko jest w porządku i wszystko ci opowiem, jak tylko dojadę do Warszawy. Najpóźniej pojutrze będę w stacji i zdam relację. A teraz, jeśli pozwolisz...

– Jasne, czekam!

Oni wszyscy na mnie czekają, pomyślał Kosma, rozsiadając się w swoim gabinecie. Choć to w tym miejscu otoczenie było znajome i bezpieczne, nie miał żadnych obiekcji przed zmianą, jaka się przed nim rysowała. Gdyby mógł, wyszedłby z domu już teraz, tak jak stał, ale dobrze wiedział, że skoro wytrzymał tak długo, to pół tygodnia nie zrobi wielkiej różnicy. Akurat do tego wyjazdu musiał się specjalnie przygotować.

Na koniec zostawił sobie telefon do gamerów, jak żartobliwie zwykł określać przedstawicieli firmy, która tuż przed rozpoczęciem przez niego leczenia zaproponowała mu udział w udźwiękowieniu ich nowej produkcji. Ostrzegł ich wtedy, że

może wypaść z projektu, ale obiecali, że poczekają. A później potwierdzili to dobrą umową, w myśl której jego konto powinno lekko spuchnąć, jeśli tylko gra odniesie sukces. Nie chciał popełniać błędu Andrzeja Sapkowskiego, więc przystał na procent od wpływów. Niedługo będzie mógł się wywiązać z umowy; komputerowcy potwierdzili ustalony jeszcze przed wyjazdem harmonogram, a on przyrzekł, że z jego strony nie będzie żadnych kłopotów. Szczerze w to wierzył; przecież wszystko to, co wydarzyło się w jego życiu w ostatnich latach, musiało mieć jakiś głębszy sens.

– Coś musi z tego wynikać, prawda? – zapytał Helmuta, który niepostrzeżenie wszedł do pokoju i natychmiast włączył się na małą sofę przy oknie. Pies jednak nie miał nastroju do rozmowy. Był trochę obrażony, bo na czas wyjazdu dziewczyny zostawiły go u rodziców Kaśki, sapnął więc tylko lekceważąco i zasnął. Kosma poszedł w jego ślady, choć w jego przypadku sapnięcie zastąpiło przeciągłe ziewanie. Naprawdę był zmęczony po długiej podróży...

To były trzy najbardziej wlekące się dni w jego życiu. Dwie długie wizyty u profesora Klejmana, rutynowe badania, wysłuchiwanie zaleceń, które szwajcarscy lekarze i tak spisali mu na kilku kartkach w dwóch językach. Myślni był zupełnie gdzie indziej. Kiedy nareszcie zostawił Łódź za sobą i w oddali migotały już światła stolicy, poczuł spokój. Wcześniej trochę obawiał się wizyty u rodziców Matyldy, ale starsi państwo stanęli na wysokości zadania i postanowili wykorzystać zaległy prezent od córki, dawno odkładany trzydniowy pobyt w SPA. „Kocham was” – pożegnała ich na podjeździe Matylda i nie był to ostatni raz, kiedy tego dnia padły w tym miejscu podobne słowa. Kilka godzin później w identyczny sposób witała się z Kosmą.

Przez następne dni nie odstępował jej na krok, przypominał

sobie trudną sztukę kąpieli niemowlaka, asystował przy karmieniu i na nowo stawał się tatą. Wieczorami snuli plany na przyszłość. Byli szczęśliwi.

Przez małą chwilę panie mieszkały jeszcze w stolicy, u rodziców Matyldy; tak było wygodniej i prościej. Posiadłość na Mazurach nie przewidywała przecież aż tak dużej gromady nowych lokatorów, więc trzeba było ją w środku zwyczajnie poukładać na nowo. Z początku Kosmie wydawało się, że pojedzie tam sam i zrobi wszystko po swojemu; tak przynajmniej zakładał, ale szybko okazało się, że nie jest taki silny, jakim chciał się widzieć. I że musi mieć Matyldę przy sobie, na wypadek gdyby poczuł się gorzej. Wciąż nie był całkiem zdrowy... Do pomocy rwał się nawet starszy pan Radecki, który nie bacząc na swoje sercowe dolegliwości i związane z tym ograniczenia, zaproponował udział zwłaszcza w pracach stolarskich. Matylda śmiała się z zaangażowania ojca, wypominając mu, że kiedy chciał przed laty pochwalić się swoimi umiejętnościami majsterkowicza, to wykonany wspólnie karmnik dla ptaków wstydziła się zanieść do szkoły i poddać ocenie nawet bardzo sympatycznej i pozytywnie do niej nastawionej nauczycielki zajęć praktyczno-technicznych. Spory problem miały z nim zresztą same zainteresowane karmnikami stworzenia, przez długie tygodnie udowadniające, że zimowy głód wcale tak mocno nie doskwiera ich ptasim żołądkom. Dopiero pod koniec zimy najwyraźniej najodważniejszy na podwórku wróbel przysiadł na skraju budki, czym doprowadził do zerwania mocującego ją, osłabionego wiatrem, uchwytu. Karmnik zaległ więc głęboko w śniegu, a mała Matylda nie próbowała więcej wysługiwać się ojcem przy pracach domowych.

– Niech tata nie udaje, że nie pamięta! – śmiała się, wspominając wydarzenia sprzed lat, choć Radecki upierał się, że wszystko to sobie wymyśliła. Matylda doskonale jednak wiedziała, że ojciec po prostu chce być tam, na Mazurach, z nimi, bo już samo pojawienie się Kosmy w jej życiu było

wydarzeniem niespodziewanym i szokującym. A kiedy w przyszłym zięciu rozpoznał bohatera swoich telewizyjnych podróży, szok był podwójny.

– Naser fajku! – zaklął na lwowską modłę, zaskoczony, ale zaraz wyciągnął rękę na powitanie. – Toż to pan! Ja pana znam!

Objął Kosmę ramieniem i prawie pchnął na fotel, domagając się wyjaśnień. Kosma, zdziwiony słownym akcentem z Kresów, nie protestował; sam mając dziadka lwowiaka, wiedział, że na pewno się dogadają.

– Ta joj, ta ja już mówi – zabałakał i opowiedział mu wszystko. No, prawie wszystko; szturchany pod stołem przez Matyldę pominął kilka pikantnych szczegółów.

Radeckiemu te opowieści musiały wystarczyć. Polubił Kosmę, a widząc szczęście w oczach córki, nie drażył. Odetchnął pełną pierśią i przez następne dni przyglądał im się z boku, spokojny i zadowolony. Zabrali więc psa, Halszkę i Różankę zostawili u dziadków, i zaszyli się na niby-miodowy miesiąc na Mazurach. Miesiąc miodowy przerywany odgłosami młotków, wiertarek i innych narzędzi oraz częstym soczystym przekleństwem majstra i pretensją w głosie – „Łooo pani, tego się nie da zrobić”... Zazwyczaj się jednak dawało.

Miesiąc później mogli się już wprowadzić. Helmut znał teren od dawna, więc od razu poczuł się tam jak u siebie. Wysoko podnosząc łeb, z dumą obsikiwał wszystkie drzewka, zaznaczając swoją obecność i wytyczając granice, za które miejscowe psy nie powinny się zapuszczać. Bajka! – mówiły psie oczy, merdający ogon i przebierające w miejscu łapy.

– Bajka! – westchnął pierwszego poranka w nowym domu Kosma, otwierając okno i głęboko wdychając mazurskie powietrze.

Zadziwiająco, jak wielu rzeczy musiał się przy niej nauczyć. Niektórych po raz pierwszy, inne – było ich zdecydowanie więcej – należało tylko sobie przypomnieć. Wewnętrzny spokój, brak pośpiechu, zgodę na to, co za oknem i w życiu. Największy problem miał z zaakceptowaniem jej potrzeby rozpieszczania go. Czuł się jak dziecko, łapiąc jej zaniepokojone spojrzenia lub z początku nieśmiałe próby: to, jak podtykała mu łuskane orzechy, wyprasowaną koszulę czy nową książkę. Tak, rozpieszczała go i najwyraźniej znajdowała w tym i dla siebie wiele przyjemności. Z każdym kolejnym tygodniem jej zapał zamiast słabnąć, zwiększał się. Potrafiła całe popołudnie przesiedzieć przed monitorem, szukając w internetowych sklepach drobiazgów do domu lub upominków dla niego. Znajdował je później upchnięte w różnych zakamarkach tak, by mógł je znaleźć znienacka. To było miłe, ale wymagało rewanzu. I to porządnego, bo przecież przy tym wszystkim nie zapomniała jeszcze być po prostu kobietą strzegącą ich domowego ogniska oraz artystką.

Starał się nie krzyczeć zbyt mocno, ale na tyle głośno, żeby usłyszała go w sypialni.

– Matyllda! Poczta!

– To podpisz! – odkrzyknęła z wnętrza domu.

– To do ciebie, chodź! – upierał się, stojąc na środku salonu z obraną do połowy marchewką.

– Niczego nie zamawiałam. To pomyłka! – Wychyliła się przez balustradę w szlafroku i z niedosuszonymi włosami.

– Dzień dobry. – Listonosz stał w otwartych drzwiach, opierając się o wysoką, wąską paczkę.

Owijając się szczelniej szlafrokiem i ostrożnie omijając rozsypane na podłodze zabawki, kobieta podeszła do drzwi.

– Wszystko się zgadza – dokończył mężczyzna, zatrzymując wzrok na kartce, którą trzymał przed sobą. Matylda spojrzała na adres nadawcy i odczytała swoje dane, napisane bez żadnego błędu. Doskonale znała sklep, który zrealizował niezłożone przez nią zamówienie. Zaspokajał najwybredniejsze gusta nie tylko polskiego artysty. Sama regularnie zaopatrywała się w nim we wszystko, czego potrzebowała do twórczej pracy.

– A pobranie? – Coś zaczynało jej świtać.

– Jest zapłacona. – Listonosz podsunął jej pod nos zadrukowany blankiet do podpisania. Uwinęła się z formalnościami nie tylko dlatego, że ciekawość nie dawała jej spokoju, ale i ze względu na nieprzyjemny chłód, który wdarł się do mieszkania przez szeroko otwarte drzwi. Z podwójnym dreszczem przytaszczyła paczkę na środek salonu. Kosma przyglądał się, jak uśmiechnięta niecierpliwie usuwa papier i taśmy samoprzylepne. Po jej zadowolonych oczach zorientował się, że domyśliła się już, co kryło się w środku. Bliźniaczki, porzuciwszy swoje kolorowe zajęcie na podłodze, asystowały matce.

Stawiając na środku pokoju pachnącą świeżym drewnem sztalugę, Matylda zastanawiała się, czym zamknie usta córkom, kiedy te zorientują się, że tylko ich mamie dostał się dziś prezent. Odetchnęła z ulgą, kiedy dostrzegła przymocowane do drewna pudełka. Dwa identyczne, ze zdjęciami kolorowych dziecięcych rączek, i jedno całkiem „dorosłe”.

– Powinnaś mieć nowe sztalugi, zanim naprawię tamte stare, rozeschnięte.

Kosma przysiadł na oparciu sofy i przyciągnął zadowoloną Matyldę do siebie.

– Skąd wiedziałeś, gdzie szukać i o co pytać? – Przekrzywiła głowę.

– Bezbłędnie odpowiadałem na pytania pomocnicze. – Pocałował jej odkryty dekolt pachnący waniliowym żelem pod

prysznic.

– Wybrałeś dobry zestaw akwareli.

– Najlepszy! – Musiał prawie przekrzyczeć dziewczynki, które zdążyły już otworzyć swoje barwne pojemniczki. Wszystkie trzy miały tyle samo radości z niespodzianki, którą im zafundował.

– To mój wkład w twoją sztukę. Chociaż tyle.

– Nie musiałeś... – Uśmiechając się, musnęła go delikatnie w ucho.

– Przestań!

Nie przestała.

– Co za to chcesz? – droczyła się z nim jeszcze, to otwierając, to zamykając kasetkę z kwadracikami farb.

– A... to ja nie wiem. – Wstał i wrócił do przerwanej zajęcia. – Ale liczę na to, że coś wymyślisz – dokończył już znad deski do krojenia warzyw.

Zestaw był drogi. Wiedział, że dwukrotnie rezygnowała z jego zakupu. Za każdym razem tego żałowała i obiecywała sobie, że do kolejnej pracy nie użyje już zdekompletowanych farb. Kiedy widział, ile sprawił jej radości prezentem, pomyślał tylko, jak bardzo obiekty pożądania zaczynają się zmieniać z czasem...

Na dobrą sprawę nie musieli się martwić o stabilną finansowo przyszłość. Kosma wracał do wcześniejszych zajęć i choć telewizji chciał poświęcać zdecydowanie mniej czasu, to wciąż były z tego bardzo przyzwoite pieniądze. Za jakiś czas pojawić się miały dochody z warszawskiego projektu komputerowego. W zupełności powinno wystarczyć na spokojne życie na wsi. Przeliczał w myślach swoje zarobki, a głośno domagał się, by Matylda zrezygnowała z prowadzenia warszawskiego SenSualu. „Nigdy!” – odpowiadała ze śmiechem, ale sama łapała się na

tym, że odkąd osiedli na Mazurach, poświęca butikowi coraz mniej czasu. Ale żeby od razu z niego zrezygnować? Z tą decyzją nie chciała się spieszyć; dziewczyny pracujące u niej od lat traktowała niemal jak rodzinę i na pewno nie chciałyby komplikacji w ich życiu. SenSual trochę prowadził się sam, a jej nadzór na odległość jak na razie znakomicie się sprawdzał. Kosma był innego zdania.

– Proszę cię, ciągle wisisz na telefonie, to nie powinno tak wyglądać! – nalegał.

– O co ci chodzi? Przecież to wciąż dobry interes. – Nie rozumiała jego obiekcji.

– Może i tak, ale...

– Co: ale? Mówisz czy nie?

– Chciałbym, żebyśmy wyjechali na kilka dni – zmienił temat, a mówiąc to, objął ją w pasie. Brodę oparł na jej ramieniu, tak by usta mieć blisko jej ucha. Wiedział, że tak lubi i nie będzie się opierać. Może nawet zgodzi się na o wiele więcej, niż początkowo zamierzał zaproponować.

– Dokąd? – zapytała dla zasady, bo przecież z nim mogłaby jechać dokądkolwiek, z jedną walizką i w dziurawych butach. Zwłaszcza kiedy szeptał jej do ucha.

– Do mojego kuzyna, do Francji.

– Masz kuzyna we Francji? – Odskokczyła od niego, wyswobadzając się z jego objęć. – I dopiero teraz o tym mówisz?

– W zasadzie to taki przyszywany kuzyn – wyjaśnił. Znów przyciągnął ją do siebie. – Ale bardzo się lubimy. Mieszka z żoną w Alpach, w Chamonix.

– Gdzie?! W tym kurorcie? Tam, gdzie wozi się amerykańska śmietanka?

– Mhmmm – mrucał przy jej uchu, chociaż sądząc po reakcji, podjęła już decyzję i dodatkowe zachęty nie były potrzebne.

– Angelina Jolie, Serena Williams i my? Jedziemy! – Odwróciła się do niego i pocałowała go w usta. – Kiedy?

Uśmiechnął się w duchu. Poszło jak z płatka, na miejscu przyjdzie pora na drugi etap jego planu.

– Kiedy chcesz – odpowiedział. A ponieważ wciąż był blisko jej ucha, nie mógł nie wykorzystać okazji. – Chodź, będę ci opowiadał bajki...

Obrócił się do wnętrza salonu. Na podłodze, pośród rozrzuconych kolorowych kartek, Halszka, trzymając w ręczce grubą kredkę, zamasyście rysowała coś na jednej z nich. Pomagała sobie drugą rączką, a nawet – co kompletnie go rozczuliło – językiem, kręcąc nim w ustach zapamiętane. Gabrys rozwaliał się wygodnie tuż obok, obserwując dziewczynkę małymi oczkami. Świnka wyraźnie polubiła Halszkę i jeśli tylko nie dreptała na swych małych, krzywych nóżkach za Helmutem, to właśnie przy niej spędzała najwięcej czasu, śmiesznie posapując i domagając się pieścizot.

– Róża? – Kosma rozejrzał się za drugą córką. – Różanka! – zawołał głośnie, spojrzawszy na puste schody prowadzące do górnych pokoi i odłożył gorącą patelnię na podstawkę. Wytarł ręce w ściereczkę, a następnie wybiegł do ogrodu. Niespokojnie omiótł wzrokiem obejście. Ruszył w kierunku zejścia do jeziora, kiedy mała główka mignęła mu w oknie pracowni Matyldy. Odetchnął z ulgą; w kilku krokach był przy uchylonych drzwiach. Dziewczynka bawiła się pędzelkami matki, wyjmując je, licząc po swojemu i wkładając na powrót do szklanych pojemników. Nie zauważyła ojca, zajęta przekładaniem przedmiotów z jednego miejsca na drugie. Nie miał sumienia jej besztać. To on nie powinien nawet na moment zapominać o swoim najważniejszym obowiązku. Nagle usłyszał ją, jakby stała tuż obok...

„Nie skończyłam go jeszcze! Spójrz... Środek prosi się o rozjaśnienie. Jak możesz tego nie widzieć?” – droczyła się z nim tamtego dnia. Doskonale widziała błysk zainteresowania w jego oczach, kiedy przesuwiała dłonie nad płótnem. Pamiętał spojrzenie, którym pytała go, czy uważnie słucha i rozumie. Słuchał i prawie rozumiał; zapragnął powiedzieć jej to prosto do ucha. Zamilkła, kiedy przyciągnął ją mocno do siebie.

Zapamiętał też zapach malin, które podjadała w trakcie pracy. Całowała go łapczywie w kompletnej ciszy. Jęknęła cicho, kiedy naczynie z owocami z hukiem spadło na podłogę, strącone ich dłońmi. Prawie wtopiła się w niego jak przenikające się wzajemnie kolory na jej obrazie.

Z zamyślenia wyrwało Kosmę okno, które pchnięte wiatrem, uderzyło o framugę. Rozejrzył się po pracowni. Z niskiej półki pod oknem wziął złożony kupon tkaniny. Rozwinął materiał i przykrył nim dokładnie płótno. Z pojemnika na stole wyjął kilka cienkich pędzelków. W sam raz dla małych, niewprawnych rączek.

– Pomalujemy razem? – Kucnął przy córce, pokazując jej wachlarz z podłużnych przedmiotów.

– Tak! – Szeroki uśmiech rozjaśnił twarzyczkę dziewczynki. Podskoczyła i klasnęła w dłonie. – Idź do siostry. – Podał małej garść pędzelków. Chwilę później słyszał, jak Różanka mówi coś głośno do Halszki. Wyszedł wolno z pomieszczenia i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Przeciąg uniósł w górę grubą warstwę kurzu...

Często uśmiechał się, wspominając moment, kiedy Matyllda zaczęła podejrzewać, co knuje. Nigdy nie powiedziała mu wprost, że to idiotyczny pomysł, że straci pieniądze, czas, pewnie też sporo nerwów, nie mówiąc o i tak nadwątłym zdrowiu. Niemniej czuł, że nie jest do końca przekonana i że

właśnie takie myśli kłębią jej się w głowie. Postanowił to przeczekać, chciał, by sama zrozumiała, że znalazł coś, co połączy go z tą ziemią dużo bardziej niż cztery ściany i piękne widoki za oknem. Chciał się z nią zestarzeć, a skoro wybrali Mazury, to dobrze byłoby córkom zostawić coś więcej niż sad ze starą gruszą.

Dlatego pomyślał o ślimakach.

Sam już nie wiedział, kiedy opracował wszystkie szczegóły; czy zdecydowała o tym jedna z przypadkowych rozmów z Hubem, starym przyjacielem, który porzucił korporacyjny warszawski świątek i już dawno przeniósł się na Mazury? Wraz z żoną kupili budynki po dawnym pegeerze i rozpoczęli hodowlę krów; szło im na tyle dobrze, że w krótkim czasie mogli myśleć o czymś jeszcze – krowy pasły się przecież same. Kosmie podobało się takie życie, choć poznał jedynie mały jego wycinek, kiedy realizując jeden z odcinków programu telewizyjnego, zapędzili się z ekipą w bliskie sąsiedztwo przyjaciela i zostali u niego na noc. Hubert zmęźniał, chodził we flanelowej koszuli i wysokich, kowbojskich butach. Widać było, że doskonale się czuje, pracując fizycznie. Zmienił także swój dawny, momentami irytujący sposób bycia.

– Tu żyje się inaczej... Przyjedź na dłużej, dobrze ci to zrobi! – żegnał Kosmę, kiedy ten wraz ze współpracownikami zbierał się do wyjazdu. – Wpadnij jesienią, pomożesz przy ślimakach.

Początkowo Makarski pomyślał, że się przesłyszał, ale kiedy Hub przesłał mu pierwszą fotorelację, zrozumiał, że przyjaciel ma nową pasję. Nie zawsze miał czas, a często nie był po prostu w formie, by z nim rozmawiać na temat hodowli, ale zazwyczaj sumiennie oglądał zdjęcia i przysyłał krótki komentarz. Tyle był mu winien – Kosma praktycznie cały rok przed rozpoczęciem kuracji przewaletował przecież w starym mieszkaniu Huberta i Agaty; byli w ciągłym kontakcie, a Hub często konsultował z nim różne kwestie. Teraz ich zakres powiększył się o hodowlę ślimaków *Helix aspersa*. Makarski z konieczności zaczął więc

o nich czytać i wkrótce mógł już powiedzieć o sobie, że nie jest kompletnym dyletantem w tym temacie. Przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że w tym biznesie równie ważne jak sama hodowla jest dobre miejsce zbytu. Już wtedy pomyślał o Vincencie, swoim przyszywanym francuskim kuzynie. Ale zanim zdążył pomóc przyjacielowi i poszukać kontaktu na miejscu, w kraju nad Loarą, wciągnął go alkoholowo-straceńczy wir i wiele rzeczy przestało mieć znaczenie. To było w czasie, kiedy dążył do samounicestwienia. Ślimaki nie były w stanie go przed tym uchronić.

Ślimaki nie, ale ona tak! Dlatego kiedy poczuł się już gospodarzem w nowym miejscu, postanowił wrócić do tematu.

– Polecimy do Genewy, a stamtąd do Chamonix to jakaś godzina samochodem. Odbiorą nas z lotniska...

– Co? Mówiłeś coś? – Matylda wydawała się nie rozumieć, myślami błądziła zupełnie gdzie indziej. Różanka była dziś trochę marudna, jej matka modliła się, by druga córka nie poszła w ślady siostry.

– Francja, Alpy, mój kuzyn, pamiętasz? – Spojrzał na nią z wyrzutem.

– A, jasne, przepraszam. Widzę, że wszystko zaplanowałeś? – zapytała, przytulając się do jego ramienia. Leżeli na dole, nasłuchując, czy z pokoju dziewczynek nie dobiegają niepokojące dźwięki. Helmut wałęsał się po okolicy, Gabrys bujał się w fotelu, świńskim zwyczajem chrząkając cicho przez sen.

– Vincentowi urodziła się córka. Myślę, że to znakomita okazja, by ich odwiedzić. To głupie, ale jego polską żonę widziałem tylko raz, na weselu. A oni ciebie w ogóle...

– Kiedy mielibyśmy lecieć? Muszę wiedzieć z wyprzedzeniem, pamiętaj – poprosiła, chowając dłoń pod jego policzkiem. Leżeli teraz twarzą w twarz i za nic w świecie żadne z nich nie chciało przerwać tej błogiej chwili. Kosma tylko przewrócił oczami, co

najprawdopodobniej miało znaczyć: kiedy chcesz.

– To poszukaj tanich biletów – powiedziała i pocałowała go w usta. Odwzajemnił ten pocałunek, licząc na dużo więcej, ale wtedy z góry dobiegł płacz dziecka.

– Ty idziesz! – ubiegła go Matylda, widząc, że chce powiedzieć dokładnie to samo. – Byłam pierwsza, teraz twoja kolej – dokończyła ze śmiechem.

– Jasne! – Nie miał potrzeby protestować. Pobiegł do pokoju dziewczynek z taką ochotą, jakby brał udział w harcerskim zdobywaniu sprawności.

Chcę być supertatą, uśmiechał się w myślach, pokonując kolejne stopnie.

Umył i dokładnie wytarł dwie filiżanki po kawie. Schował je do szafki nad kuchennym blatem, a wilgotną ściereczkę starannie rozwiesił na metalowej ręczce od piekarnika. Świeże ciasto, które Xenia przyniosła im godzinę temu, przekroił na dwie duże części, zawinął w folię spożywczą i wsunął do zamrażalnika. Zażyła przyjaźń między jego żoną a życzliwą sąsiadką wielokrotnie ułatwiała mu życie w chwilach, kiedy nieobecność Matyldy wyjątkowo mocno dawała mu się we znaki. Przetarł blat pachnącą chusteczką, po czym rozejrzał się po uporządkowanej kuchni. Na wsi pozostawienie odrobiny jedzenia na wierzchu choćby na kilka godzin skutkowało pewną inwazją mrówek. Wolał nie dokładać sobie dodatkowego zajęcia zaraz po powrocie. Dla większej pewności na podłodze przy drzwiach balkonowych wysypał wąskim paskiem proszek do pieczenia. Ten domowy odstraszacz mrówczych pielgrzymek miał już dokładnie przetestowany. Walizkę dziewczynek i swoją przesunął w kierunku wyjścia. Musiał jeszcze tylko zajrzeć w jedno miejsce i mogli ruszać.

Xenia wprawdzie zaofiarowała się, że zostanie z dziewczynkami przez te trzy dni, które były mu potrzebne, żeby zrobić kilka zaplanowanych hurtem nagrań w warszawskim studio, ale doskonale wiedział, że to była kurtuazyjna propozycja. Pojutrze Xenia rozpoczynała pierwszy w tym sezonie plener malarski. Kilku uczestników imprezy przyjeżdżało już dzień wcześniej. Nie chciał jej obarczać opieką nad bliźniaczkami w momencie, kiedy musiała dopilnować swoich spraw. Natomiast państwo Radeccy nie narzekali na nadmiar zajęć; częściej na to, że widują wnuczki za rzadko. Za każdym razem więc, kiedy Kosma i Matylda byli zmuszeni załatwić coś w stolicy, chętnie korzystali z ich gościny. Problem stanowił tak naprawdę ich późniejszy powrót do domu. Zarówno rodzicom żony, jak i dzieciom trudno było się rozstać. Dziś też na trójkę Makarskich czekały gościnne progi na Sadybie.

– Potrzebuję dwóch pomocników! Są tu tacy? – zawołał Kosma do córek, biorąc do ręki pilota do telewizora i wyłączając urządzenie. Dziewczynki bez grymasów zgramoliły się z kanapy.

– Ja będę pomagać! – Halszka pierwsza podbiegła do ojca. Grube raciczki Gabrysia zastukały w ślad za nią; prosiak chyba liczył na zabawę.

– Ja też! – Różanka szybko poszła w ślady siostry.

– Pomożecie mi sprawdzić, czy wszystko jest w porządku u naszych przyjaciół, i jedziemy do dziadków. – Zlustrował ubrania dziewczynek na podróż i rozejrzał się za ich kurtkami przeciwdeszczowymi. Wprawdzie na kilka kolejnych dni w stolicy nie zapowiadano opadów, ale aura mogła się zmienić w każdej chwili.

Dziewczynki pobiegły w podskokach w głąb podwórka, zanim zdążył zamknąć drzwi domu na klucz, zostawiając w środku zdezorientowaną świnkę, która natychmiast podniosła kwiczące larum.

– Daj spokój, wiesz, że to nie miejsce dla ciebie – powiedział

przepraszająco Kosma, po raz kolejny łapiąc się na tym, że tłumaczy się świnie wietnamskiej.

Ruszył za dziewczynkami.

– Mogę jednego? Tato, mooogę? – zaczęły nagabywać ojca zaraz po przekroczeniu progu pomieszczenia, które zostało wygospodarowane kosztem części malarskiej pracowni Matyldy.

– Zobacz, córeczko; one są takie maleńkie, że łatwo mogą się zgubić. I jak potem odnajdą drogę do domu? – tłumaczył cierpliwie, trzymając maluchy za rączki.

– Tylko jednego... – Dziewczynki nie dawały za wygraną.

– Pod warunkiem, że dokładnie sprawdzicie wszystkie pudełka. – Kosma w końcu ustąpił. Spokój w samochodzie przez kilka godzin był dużo cenniejszy niż dwa maleńkie ślimaki, nie większe od paznokci na paluszkach dzieci.

Postawił córki na niskich stołeczkach i pilnując, żeby z nich nie spadły, pomógł im przyjrzeć się małym pojemnikom zaklejonym przezroczystą taśmą. Niewielkie szczeliny w kilku spęczniałych pudełkach wystarczyły, żeby maleńkie jeszcze ślimaki przedostały się przez nie i rozpełzły po bokach opakowań. Dziewczynki wskazywały ojcu te pudełka, które ich zdaniem należało zabezpieczyć dokładniej. Tak naprawdę Kosma zrobił to już wczoraj, kiedy położył dzieci do łóżek. Dziś przypilnował tylko ich cotygodniowego rytuału. Bliźniaczki rozpierała duma, że ojciec pozwala wykonywać im „dorosłą” pracę, jak maluchy nazywały swoją pomoc przy zajęciu rodziców, Kosma zaś był nie mniej dumny z zaangażowania córek w ich rodzinny interes, który od pewnego czasu rozwijał się wcale nie w ślimaczym tempie.

Pozwolił dzieciom przyglądać się mikroskopijnym żyjątkom aż do momentu, w którym same znudziły się tym zajęciem i bez ociągania pobiegły do samochodu, zapominając zupełnie o swojej prośbie sprzed kilkunastu minut. Kosma sprawdził jeszcze, czy elektroniczny termometr na ścianie wskazuje

wymaganą dla tego etapu hodowli temperaturę w pomieszczeniu. Niewielki błąd mógł ich dużo kosztować.

Zaryglował dokładnie drzwi ślimaczego mieszkania i podążył za dziewczynkami.

Usnęły w swoich fotelikach, zanim wyjechał z puszczy. Po drodze podrzucił jeszcze klucze sąsiadowi, który pod ich nieobecność miał zatroszczyć się o cały inwentarz.

– Zakładam, że prosiak już kwiczy, jakby go zarzynali! – przywitał go pan Witold, wychodząc mu naprzeciw.

– Nie lubi zostawać sam, musi go pan poprzytulać wieczorem – zażartował Kosma, prowokując trochę starego rolnika.

– Niedoczekanie! Już ja go poprzytulałam! – zaśmiał się pan Witold, który jak większość rdzennych mieszkańców wsi nie mógł zrozumieć, po co komu taka mała świnka i dlaczego buja się we własnym fotelu na werandzie. – Rachu-ciachu i będzie na grilla.

– Panie Witoldzie... – upomniał go Kosma, na co stary mrugnął okiem, dając do zrozumienia, że jak zawsze żartuje. Lubił Gabrysia nie mniej od innych zwierzaków, którymi przyszło mu się opiekować.

– Zostańcie z Bogiem.

– Jedźcie i wracajcie szczęśliwie – odpowiedział mężczyzna, odbierając klucze. Przez chwilę stał jeszcze, wpatrując się w znikający samochód, po czym ruszył w kierunku domostwa sąsiada. Żałosny kwik Gabrysia niemal łamał mu serce. Nie mógł pozwolić, by pocieszne i wesolutkie zazwyczaj zwierzę umierało z tęsknoty.

Droga do Warszawy mijała bez niepokojących zdarzeń; Halszka i Różanka spały, Kosma mógł więc spokojnie poukładać myśli.

Kiedy po raz pierwszy powiedział Matyldzie o ślimakach,omal nie zabiła go śmiechem. A przynajmniej tak mu się wtedy zdawało. Wolałby mieć ją teraz na siedzeniu pasażera, nawet gdyby całą drogę żartowała ze ślimaczego biznesu, jak miała w zwyczaju nazywać ich, nie – jego pomysł na życie, co robiła prawie codziennie. Do pierwszych zbiorów...

– Co my z tym zrobimy? – spytała przerażona, kiedy pokazał jej dziesiątki koszy ze ślimakami zebranych z trudem przez kilkanaście zatrudnionych w tym celu kobiet z pobliskiej wsi.

– I w tym miejscu pojawia się on, cały na białło... – zażartował.

– Kto? – Spojrzała, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– Vincent, przecież to jasne!

Wycieczka do Francji miała ukryty cel, o którym nie chciał jej mówić bez wprowadzenia w temat. Na dobrą sprawę nie było przecież głupszego pomysłu od hodowli ślimaków i był przekonany, że Matylda powie krótkie i stanowcze: nie. Musiał znaleźć sposób, by choć trochę w to uwierzyła.

W Genewie wylądowali późnym wieczorem. Wielonarodowy tłum przemieszczający się po korytarzach lotniska oszałamiał kolorami strojów, rodzajami fryzur, zapachów i dźwięków. Makarski z trudem dostrzegł Vincenta, który doskonale zdając sobie sprawę z liczby pasażerów, przygotował nawet tabliczkę z napisem: „Kosma, to ty?”.

Baran, pomyślał kuzyn, kiedy tylko go zobaczył, ale szeroki uśmiech pół Francuza, pół Polaka natychmiast poprawił mu humor. Padli sobie w objęcia, a później nastąpiła dłuższa prezentacja. Kosma był już do tego przyzwyczajony, ale Matylda ze zdumieniem zorientowała się, że ich francuski gospodarz mógłby tam stać jeszcze dłużej, prowadząc niezobowiązującą gadkę na sto różnych tematów. „Francuzi są mistrzami small

talków” – uprzedzał ją Makarski w samolocie, ale dopiero teraz zrozumiała, co miał na myśli. Z ulgą odetchnęła, kiedy Vincent pchnął ich wózek z bagażami i skierował się w stronę wyjścia na parking. Nie przestawał przy tym mówić, ale przynajmniej byli już w ruchu.

Te kilka dni we francuskich Alpach później wspominał bardzo ciepło; Regina, polska żona gospodarza, i Matylda przypadły sobie do gustu, a panowie nadrabiali czas, jaki minął od ostatniego spotkania. Vincent prowadził całkiem dobrze prosperujący biznes stolarski, który z hobby w krótkim czasie rozwinął się w spore przedsiębiorstwo.

– My tu kochamy młode kobiety, stare wino i jeszcze starsze drewno – tłumaczył, oprowadzając Kosmę po halach, w których jego pracownicy przywracali życie zniszczonym deskom. – Popatrz, to wszystko przyjechało z Polski, gdzieś tam zmarnowałyby się na deszczu, a moi sąsiedzi zapłacą mi za nie dobre pieniądze.

Makarski nie był w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób stara szopa z podwarszawskiej wsi może być tak pożądana w zachodniej Europie. W tej nieświadomości tkwił do momentu, w którym kuzyn uruchomił maszyny i po niewielkiej obróbce stara deska uśmiechnęła się do niego żywym kolorem, z jakim kojarzył wszystkie górskie budynki w tej części Alp.

– Nazywamy to czesaniem drewna. – Vincent zadowolony obserwował reakcję polskiego gościa. – W zależności od tego, jak głęboko wgryzę się w materiał i jak dużą warstwę zdejmę, barwa będzie inna. Widzisz?

Kosma widział doskonale, a dodatkowo przed oczami przesuwwały mu się te wszystkie szopy, stodoły i drewniane kurniki, obok których bezrefleksyjnie przejeżdżał, realizując programy dla NTV. Pomyślał o ich liczbie; Vincentowi jeszcze długo nie groziło bezrobocie. Czy znajdzie czas, by pomóc i jemu w biznesie?

– Mam pomysł... – Postanowił zaryzykować. – Ja poszukam ci w Polsce materiału do dalszej obróbki, a ty znajdziesz u siebie bezpośredniego odbiorcę ślimaków.

– *Escargots?* – Vincent lekko się zdziwił. – Chcesz sprzedawać Francuzom ślimaki?

– Nie śmieć się, tak mi się uwidziało. Matylda nic jeszcze nie wie, więc się nie wygadaj. Na razie to tajemnica, rozumiesz? – Spojrzał na kuzyna uważnie.

– *Bien sûr*, ani słowa Matyldzie! – Francuz mrugnął porozumiewawczo i odłożył obrobioną deskę na bok.

– To co, pomożesz? *Avons-nous un contrat?* – Kosma postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Pomogę, tylko nie ucz się francuskiego z tłumacza Google, niech formalności i kwestie językowe będą po mojej stronie, *vous comprenez?* – Znów puścił do niego oko, na co Makarski bezradnie rozłożył ręce.

– Wus-sruz, byle interes się kręcił – skomentował pod nosem, po czym klepnął gospodarza w ramię i wrócili do dziewczyn. W samą porę; na szerokim stole podgrzewało się już naczynie do serowego fondue, obie panie kończyły przygotowywać sałatę, dla nich zostało tylko pokrojenie bagietek i odkorkowanie wina.

– Za nasz wspólny interes! – wzniósł pierwszy toast Vincent, ale widząc zaniepokojone spojrzenie Kosmy i rosnącą ciekawość Matyldy, przerwał roztropnie. – Chciałem powiedzieć: za nas i za naszą polsko-francuską rodzinę.

Kosma odetchnął z ulgą, ale do końca wieczoru przytomnie kontrolował ilość wina wypijanego przez jego nowego współnika. Nie wydarzyło się jednak już nic nadzwyczajnego, choć kiedy kładli się spać, Matylda zapytała, co razem kombinują.

Nie odpowiedział, najpierw chciał ją zawieźć do większego miasta, w którym mogłaby zobaczyć stoisko z mnogością regionalnych przysmaków, w tym także ślimaków. Może wtedy

zrozumie, że jego nowy pomysł ma rację bytu...

Restauracja, do której wybrali się na pożegnalną kolację, nie należała do szczególnie wyszukanych, ale każde z nich zwiedziło świat na tyle, by wiedzieć, że najlepiej zje się tam, gdzie stołują się miejscowi. A oni zazwyczaj nie wybierali najdroższych lokali, z najbogatszym menu. Wnętrze było przytulne, pełne zapachów dobiegających z kuchni, przykurzonych butelek po miejscowym winie i drewnianych ozdób z dyskretnym logo *Atelier Creation Bois*.

– To wasza, prawda? – zauważył Kosma i wskazał na jedną z pięknych ław, na której właściciele lokalu ustawili naczynia z przekąskami. Pyszniły się wśród nich pasztety, rozmaite wędliny i ogromny wybór serów.

– Tak, nie tylko odnawiamy stare drewno, ale i robimy z niego meble, ozdoby, a nawet budujemy domy – odezwała się Regina, przesuwając w kierunku męża kartę z winami. – Ja zajmuję się logistyką, odpowiadam za sprowadzenie surowca z Polski, a Wincenty działa tu, na miejscu.

– I w okolicy – dorzucił jej mąż znad menu, po czym zaproponował butelkę czerwonego szato coś tam. Żadnemu z nich nazwa nie mówiła zbyt wiele, więc po prostu zgodnie kiwnęli głowami.

– Zjadłabym coś stąd, jakiś specjał miejscowej kuchni... – Matylda uśmiechnęła się do Reginy, prosząc o pomoc w wyborze.

– Dobrych żabich udek o tej porze raczej nie dostaniemy, ślimaki już prędeż. Spróbujesz? – Regina wskazała którąś z pozycji w niezbyt rozbudowanej karcie dań, przez co obie panie nie zauważyły porozumiewawczego spojrzenia Kosmy i Vincenta.

– O, dobry pomysł! – podchwycił ten pierwszy, ale nieco stracił rezon, orientując się w cenie dania. – Matko, te robaki są tu droższe niż u nas...

– A co mi tam, niech będą. – Matylda postanowiła wykorzystać to, że ma okazję spróbować czegoś nowego. Jadała już potrawy w różnych miejscach świata, ale do tej pory nie skosztowała tej popularnej, przynajmniej w tej części Europy, przystawki.

– I dobrze! – skwitował Vincent. Podrapał się po czole, jakby się nad czymś zastanawiając. – A wiesz, że one przyjechały tu za wami? To są polskie ślimaki!

– Nie rozumiem... – Matylda wydawała się zbita z pantałyku. – Jak to możliwe, że wozimy do was stare deski i ogródkowe szkodniki? I ktoś na tym jeszcze zarabia?

– O właśnie, i to niemało – wtrącił Kosma, znakomicie wykorzystując moment. Puścił przy tym oko do kuzyna, co nie uszło uwadze Matyldy. Nie zareagowała jednak, najwyraźniej uznawszy, że zapyta o to później.

Po kolacji panowie wymknęli się przed lokal. Vincent chciał pokazać Kosmie inne budynki, na których miał przyjemność zaznaczyć swój architektoniczny ślad. W Saint-Gervais-les-Bains ich nie brakowało, mieszkał tu przecież od urodzenia, a stolarką zajmował się od czasów zakończenia służby w Legii Cudzoziemskiej.

– Będzie już dobre piętnaście lat – mruknął, kiedy Kosma zapytał go o staż we własnym atelier. – Popracuję jeszcze trochę i pomyślę o czymś innym, bo zdrowie już nie to.

Kosma przytaknął ze zrozumieniem, miał na ten temat dużo swoich przemyśleń.

– Coraz trudniej przychodzi mi dźwiganie filarów, a wiesz, że jak sam tego nie przypilnujesz, to... – kontynuował Francuz, przerywając na chwilę, bo doszli do przejścia przez jezdnię i samochód z wesołą gromadą turystów zagłuszał jego słowa –

to różnie później wychodzi.

– Pańskie oko konia tuczy – skomentował Kosma, na co rozmówca uniósł brew pytająco.

– *Quoi?* – Raczej nie znał tego polskiego wyrażenia.

– A, takie tam, o konieczności nadzoru i w ogóle, nieważne...

Ale Vincent był innego zdania i doskonale zapamiętał przysłowie wypowiedziane przez gościa z Polski. Tak mu się przynajmniej zdawało. Dał temu wyraz, kiedy żegnali się na lotnisku.

– Od teraz zapraszam was tu nie tylko turystycznie – powiedział, ściskając dłoń Kosmy. – Pamiętaj, końskie oko panu buczy, *c'est OK?*

– Mniej więcej – odrzekł Kosma, po czym serdecznie objął kuzyna. – Będziemy w kontakcie.

Kiedy silniki samolotu nabierały już mocy i za chwilę maszyna miała oderwać się od płyty, Matylda przysunęła się do niego.

– O co chodziło z tym koniem? – zapytała.

Kosma westchnął głęboko i zamyślił się na chwilę.

– Posłuchaj, bo to było tak – zaczął ostrożnie. – Tu nie chodzi o konia, tylko o ślimaki...

W miarę jak rozwijał opowieść, przez pokład dreamlinera przetaczał się śmiech jego towarzyszki. Śmiała się jeszcze długo po wylądowaniu. Ale i tak był szczęśliwy. Wiedział, że będzie to ich wspólne zajęcie. Nawet gdyby ona miała te pieprzone ślimaki tylko malować na swoich płótnach.

Jego stare volvo 244 doskonale trzymało się drogi. Odzyskał samochód po powrocie z kuracji. Kilka miesięcy użytkowania pojazdu przez najstarszą córkę nie odbiło się na kondycji

szwedzkiego potwora. Makarski miał jednak wrażenie, że Michalina oddała mu kluczyki z wyraźną ulgą. Auto było wygodne i bezpieczne, ale miało też spory apetyt i spalało stanowczo za dużo. Jak każdy potwór wydawało się nienasycone. Kosma udawał, że tego nie zauważa, a sugestią córki, by założyć instalację gazową, zbył pobłażliwym uśmiechem.

– Nie będziemy tu nikogo gazować! – dodał, kończąc dyskusję. Michalinie nie pozostało nic innego, jak pogodzić się z decyzją ojca, ale przezornie pomyślała już o kupnie własnego, bardziej ekonomicznego samochodu.

Fabryczny sprzęt grający, lekko tylko podrasowany przed laty przez Kosmę, przyjemnie wypluwał z pokładowych głośników *Into the Mystic* Vana Morrisona. Przez chwilę Makarski nucił wraz z artystą piosenkę, która powstała jeszcze przed narodzinami tego pierwszego. Miał wrażenie, że mimo upływu lat, nadal przyjmuje ją z tymi samymi emocjami.

I don't have to fear it

I want to rock your gypsy soul

Just like way back in the days of old

And together we will float into the mystic

Come on girl...[\[1\]](#)

Chyba zapomniał się na moment i zaśpiewał zbyt głośno. Różanka obudziła się pierwsza. Widział, jak tarmosi za ogon Helmuta, który próbował jakoś ułożyć się na przednim siedzeniu. Biorąc pod uwagę jego gabaryty, miejsca miał tu jak na lekarstwo, mimo że kanapa pasażera w szwedzkim krążowniku była szeroka i wygodna. Wilczarz irlandzki musiał

podróżować z podkulonymi łapami, głowa zwisała mu gdzieś w okolicach dźwigni zmiany biegów. Przy każdym manewrze kierowcy budził się i czujnie rozglądał wokół. Halszka nadal chrapała w najlepsze. Kosma uśmiechnął się do córki, ustawiając lusterko tak, by mogła widzieć jego twarz.

– Nie śpisz? – zapytał.

– Daleko jeszcze? – odpowiedziała pytaniem, a chwilę później dołączyła jej siostra.

– Tato, pić!

Uśmiechnął się do nich i szturchnął psa, który natychmiast usiadł na baczność i położył łeb tuż przy zagłówku. Obserwował teraz obie dziewczynki i przez chwilę był spokojny. Jechali w milczeniu, gdzieś tam daleko widać już było światła Warszawy.

– Tęsknię za mamą – odezwała się nagle Halszka. Van Morrison skończył już swój przebój z 1969 roku, w radiu trwały wiadomości.

– Ja też, ja też tęsknię. – Różanka nie chciała być gorsza od siostry.

– Wiecie, że i ja się już bardzo stęskniłem?

W sumie to ja też, pomyślał Helmut. Tym razem oparł łeb na podłokietniku, tak by ręka Kosmy mogła go trącać mimochodem. Chciał zdecydowanie więcej pieścizot. Jak wszyscy w tym samochodzie...

Kosma ze schowka w podłokietniku wyjął złożony starannie zwitek listów od żony. Wybrał jeden na chybił trafił, po czym zjechał na pobocze. Przydrożny parking był prawie pusty, jeśli nie liczyć dwóch sportowych motocykli zaparkowanych w głębi i odjeżdżającego właśnie dostawczaka. Makarski przechylił się nad Helmutem i otworzył mu drzwi.

– Jeśli masz ochotę, to wyskocz na chwilę – zachęcił psa, ale ten ani myślał ruszyć się z miejsca. Nie teraz, kiedy jego

doskonały węch wyczuł dobrze znany zapach.

– Przeczytam wam list od mamy, zgoda? – Kosma nie skomentował zachowania psa, odwrócił się do córek, które potakująco kiwały głowami. – No to uwaga...

Spiesz mi się do domu. Pierwszy raz tak bardzo spiesz mi się do domu... Z rozkoszą zajmę się praniem i poczytam dzieciom. Zamiast pamiątek upycham w walizce włoskie bajki na dobranoc. Pamiętaj, musisz nałożyć Halszce odżywkę na umyte włosy, bo inaczej nie rozczesziesz loków. A Róży trzeba zalakować ząbki. Będzie czekać na nagrodę, więc wierzę w Twoją pomysłowość, Tato!

Lubię się Wam przyglądać. Wiesz o tym, prawda? To takie moje małe misterium. Gdy sprawdzasz, czy mają zapięte guziczki w sukienkach, kiedy tłumaczysz im świat i smarujesz chleb masłem. Kiedy uczysz je rozróżniać kolory, emocje i dobro od zła. Kiedy słuchasz, co do nas mówią... Jesteście jak jeden organizm, jak całość, z której niepodobna uszczknąć czegokolwiek, żeby nie zabolęło. Mnie boli za każdym razem, kiedy oddalam się od Was dalej niż na wyciągnięcie ręki. Jak jeden świat może być tak różny? Jest inny, kiedy nienawidzimy, inny, kiedy czekamy na cud; jeszcze inny, kiedy od niego uciekamy albo kochamy do ostatniej kropli krwi. Ten ostatni... trzymam właśnie ostrożnie w dłoniach. Ogrzewa mi palce, wchłaniam go przez skórę. Wypełnia mnie całą kolorami, zapachem, obietnicami i śmiechem naszych córek... Jest przesycony Tobą, Wami! Wszystko jedno, w jakim jego zakątku się znajdę. To nie tylko nasze cztery pary rąk, Kosma. Nie tylko ciepło naszych oddechów, nasz dom i miks naszych małych wielkich szczęść. To tchnienie sensu ludzkiego bytu zawieszona gdzieś wyżej na zawsze, jak błysk kamyczka na Mlecznej Drodze, co nie zapierałaby tchu w piersiach z zachwyty, gdyby nie było ich na niej tak wiele.

Uśmiechasz się... To dobrze. To bardzo dobrze.

Obserwując po czasie efekty swojej pracy, Kosma cieszył się, że wiosną nie próżnował i całą energię poświęcił na organizację nowej zagrody. Walka z chwastami, przygotowanie podłoża i siew odpowiednich roślin, które w przyszłości będą pokarmem małych ślimaków, okazały się dla mieszcucha sporym wyzwaniem. Hodowla tych żyjątek nie była najwdzięczniejszym zajęciem na świecie, ale polubił codzienny trud, który pozwalał mu się porządnie zmęczyć, nakładał na niego obowiązek systematycznej pracy i – w czym niemały udział miał Vincent – od trzech lat przynosił dobry dochód. Kuzyn sprawdził się w roli agenta handlowego, a kiedy do oferty dołączyli też zbiory Huberta, początkowo małe przedsięwzięcie urosło do dużego ślimaczego interesu. Hub zajął się logistyką, bo przy kilkudziesięciu tonach zbiorów, jakie uzyskiwali z obu hodowli, magazynowanie i transport wymagały już sporo zachodu. Ale kiedy ciężarówki pełne skrzynek z pakowanymi w specjalne siatki ślimakami właśnie wyruszały na Zachód, czuli dumę i ogromną radość.

Do tegorocznych zbiorów pozostało jeszcze cztery, może pięć miesięcy, Kosma musiał się więc koncentrować na hodowli. Ze zdumieniem obserwował, jak łatwo swój własny kalendarz podporządkował cyklowi rozwoju ślimaka. Nie bawił się w reprodukcję i inkubację jaj, gotowe kuwety z wyklutymi podrostkami przywoził mu Hubert, który wziął na siebie i ten element ślimaczego biznesu. Zakupiony przed laty teren po dawnym pegeerze w Boćkach był stworzony do tego typu działalności. Wiele budynków, co do których wykorzystania Hub nie miał wcześniej pomysłu, aż prosiło się, by przeznaczyć je na wylęgarnie. Niewielkim nakładem kosztów dostosował je do wymagań ślimaczego miotu i od tej pory byli już praktycznie niezależni – niemal cały biznes opierał się wyłącznie na ich

zasobach. Kosma szybko zdał sobie sprawę, że ani Matyllda, ani małe jeszcze dziewczynki nie zapewnią odpowiedniej liczby rąk do obsługi rozwijającej się hodowli. Na szczęście we wsi nie brakowało chętnych na dodatkowy zarobek, a pan Witold zaoferował nawet codzienną pomoc.

– Matuś mówiła, że dawniej to ślimaki tu jadano chętnie... – opowiadał, kiedy odpoczywali po robocie. – To było dworskie jedzenie, ale i prości ludzie od niego nie stronili.

– I co się popsuło? – Kosma lubił opowieści starego sąsiada, podobnie jak Halszka z Różanką. Nawet jeśli niewiele z nich rozumiały, to nie odstępowały „dziadka Wita” na krok. Z czasem i Gabrys przekonał się do niego i z ciekawością obwąchiwał nogawki Witoldowych spodni.

– Co się popsuło?... – powtórzył cicho staruszek i na moment odpiął myślnymi. – Była wojna, później komuna przysłała i wmówili nam, że fantazja w kuchni jest zła. I kazali jeść karpie zamiast pstrągów...

Pan Witold codziennie zaglądał do tuneli, w których odbywał się wstępny tucz. Kosma w tym roku zaszalał i postawił aż trzy wielkie foliowe namioty, w których od marca do maja spokojnie żerowały podrostki. Nie wymagały specjalnych zabiegów, wystarczyło podsypać im paszy, podlać wodą, sprawdzić ogólny stan. Prawdziwa zabawa zaczynała się na przełomie maja i czerwca, kiedy z foliówek ślimaki trafiały do właściwych zagród. To właśnie takie zagrody przygotowywał wcześniej Kosma. Obsiane jarmużem, koniczyną i perko, wyposażone w specjalne drewniane platformy, czekały na swoich lokatorów. Ślimaki nie były już takie małe.

Lubili zachodzić do nich całą rodziną i obserwować, jak żerują.

– Dobrze, dobrze, niech jedzą, będą większe!

Kosma pamiętał, jak Matyllda uśmiechnęła się na widok wiecznie głodnego stada. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się zbite

z desek niby-tarasy, pod którymi podczepione były setki zwierząt.

– One wcale nie muszą być ogromne – wyjaśnił. – O ich wartości handlowej nie decyduje waga, ale kształt i twardość skorupki.

– Nie rozumiem, przecież skorupek się nie je! – zaprotestowała.

– Ale to skorupki cieszą oko konsumenta w restauracji, już zapomniałaś? – nawiązał do ich wizyty we francuskiej knajpce z Vincentem i Regina. – Muszą się pięknie prezentować na talerzu, to jest główny wymóg.

Ostrożnie podniosła jedno z żyjątek i przesunęła bliżej krzaka koniczyny, dokładnie sprawdziwszy stan ślimaczego domku. Skorupka była nienaruszona. Kosma przyjął jej zabiegi z zadowoleniem. Jeszcze kilka miesięcy temu śmiała się z jego pomysłu, dziś po prostu chciała pomóc. Był jej za to wdzięczny...

Przez jej włoski kontrakt musiał pogodzić hodowlę z opieką nad dziećmi i resztą zawodowych obowiązków. Był tatą na dwóch albo trzech etatach. I kochał ten stan – nie dlatego, że nie miał wyjścia. Uwielbiał go, bo czuł się potrzebny, mógł wziąć odpowiedzialność, a niedługo później udowodnić także sobie, że każdy koniec jest też początkiem czegoś nowego. Ożenił się z artystką, to musiało mieć konsekwencje.

Ten temat był nad nimi zawieszony jak *nomen omen* weselny balonik; Kosma wiedział doskonale, że Matylda będzie czekać na jego ruch. Tak, zdecydowanie powinien zrobić go pierwszy, ona od samego początku dawała mu przecież znaki, że jest gotowa. Tylko jak to zrobić? Niezależnie od jego rozterek, czas był już najwłaściwszy. Ale nie znosił wesel i przygotowań z nimi

związanych, najchętniej zabrałby ją gdzieś daleko i w pierwszym lepszym urzędzie złożył podpis pod przysięgą małżeńską. I tak w zasadzie liczyło się tylko to, co powiedzieli sobie dawno temu. Żaden pracownik USC nie był w stanie usankcjonować ich miłości bardziej niż oni sami. Kosma czuł, że nie ma potrzeby odwlekać tego dnia. Przynajmniej mieli pełną zgodność co do liczby gości i samej ceremonii. Miało być kameralnie, nic więcej się nie liczyło. No, może jeszcze pora roku – lato uznali za najlepszy wybór.

– Zróbmy to szybko... – zaproponował któregoś razu.

– Zróbmy co? – W pierwszym odruchu Matylda pomyślała, że chodzi o coś związanego z ich nowym zajęciem. Tylko po co pośpiech w łapaniu ślimaków?

– Wesele! Nie mów mi, że o tym nie myślisz!

– W zasadzie to nie myślę – odparła. Uśmiechnęła się przy tym zalotnie. – Może ty pomyślisz o wszystkim? Zaskocz mnie! – dodała.

Nie pozostało mu nic innego, jak zrobić to, o co prosiła. I naprawdę chciał się postarać, by wszystko było dograne w najdrobniejszym szczególe. Najpierw zatelefonował do Huberta. W zasadzie teraz byli niemal sąsiadami i choć żaden z nich nie miał tyle wolnego czasu, by – jak za dawnych lat – przesiadywać u przyjaciela, to nadrabiali zaległości długimi posiadówkami telefonicznymi.

– Kiedy przyjedziecie? – zapytał Hub po zwyczajowych grzecznościach. Zawsze tak pytał, a Kosma za każdym razem musiał uciekać się do wymówek. Teraz miało być inaczej.

– Coś mi mówi, że to wy pofatygujecie się pierwsi do nas – odparł, po czym przedstawił przyjacielowi powód, dla którego tym razem ich spotkanie już na pewno dojdzie do skutku.

– Mam być świadkiem? Znowu? Ostatnio nie miałem szczęśliwej ręki, nie sądzisz? – Hubertowi, kiedy tylko usłyszał

skierowaną do niego prośbę, zapaliła się w głowie czerwona lampka. Był drużbą na jego pierwszym ślubie, dwadzieścia kilka lat temu. Od tego czasu zdążył już wyłysieć, a Kosma rozwieść się i prawie stracić życie. Jakubowicz był przesądny, dlatego po części obwinał za to siebie, a właściwie swoją karmę.

– Teraz już nic złego się nie stanie. Zresztą z Kaśką nadal żyję w zgodzie. Najgorsze za nami – próbował uspokajać go Kosma. – Nie możesz mi odmówić. Nie w tym wypadku...

– Nie mam zamiaru ci odmawiać, oszalałeś? – Głos w słuchawce zabrzmiał o kilka tonów głośniejsze i dało się w nim wyczuć lekką pretensję. – Masz już wszystko poustalane? Kiedy, gdzie i za ile?

– Nie... – zgodnie z prawdą odpowiedział Makarski. – Postanowiłem zacząć od kwestii kluczowych!

– O, teraz gadasz mądrze! – ucieszył się jego przyjaciel. – To posłuchaj, zrobimy weselisko u nas, tu na wsi. Panie z koła gospodyń ugotują takie dania, że się goście od stołu nie ruszą...

– U was? Dlaczego? – Kosma nie był ani za, ani przeciw. Po prostu chciał znać więcej szczegółów.

– Bo mamy do tego przygotowaną dużą salę po dawnej pegeerowskiej świetlicy – wyjaśnił Hub. – Zdążymy jeszcze odmalować, co trzeba. Właśnie wymieniamy sanitariaty, zaplecze kuchenne, będzie nawet mała scena.

– Nie rozumiem, idziesz w gastronomię? Agroturystykę?

– Nie, skąd! Zgłosili się do mnie chłopcy z naszej jednostki OSP z pytaniem, czy nie wydzierżawiłbym tej sali strażakom. Wiesz, oni robią różne imprezy, a ich własne lokum jest dużo mniejsze... Zgodziłem się, oni wzięli na siebie remont, ja kupiłem materiały. Sala będzie gotowa na wasze wesele.

– Nasze wesele... – powtórzył Kosma i zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś. Hubert nie przerywał mu, wiedząc, że przyjaciel właśnie teraz podejmuje decyzję.

– Posłuchaj – odezwał się wreszcie ten drugi – to świetny pomysł i jestem ci wdzięczny za tę propozycję. Będziemy weselić się u was. Tylko żeby Agata nie dowiedziała się na samym końcu!

– Zaraz jej wszystko przekażę! – obiecał Hubert. – Ona działa w tym kole, prawdziwa z niej gospodyni. Zresztą sam wiesz, jakie wieś ma uroki...

Kosma pożegnał się z przyjacielem i w wyraźnie dobrym nastroju nalał sobie drinka. Tak przynajmniej zwykł nazywać witaminowo-suplementowy koktajl, jaki wypijał wieczorami w ramach kuracji. Każdy kończy dzień takim shotem, na jaki zasłużył – podsumował w myślach, ale nie tracił humoru. Wpadł bowiem na pomysł, który, gdyby nie propozycja Huberta, byłby trudny do zorganizowania. Teraz wszystko pod względem logistycznym układało się znakomicie. Od nowego domu Huba do Czeremchy było przecież bardzo blisko...

A więc jednak się spotkamy ponownie, uśmiechnął się w duchu. Muszę tylko pamiętać o dobrej czekoladzie...

Kosma patrzył na usta Matyldy uniesione w uśmiechu; na kosmyki włosów, łagodnymi falami zakrywające policzek i piersi, drżące przy każdym uderzeniu jej serca.

– Czujesz ten zapach? – Wciągnęła głośno powietrze. – Oszałamia! Jestem jak pijana...

Upał całego dnia zelżał nieco po tym, jak krótka burza przetoczyła się przed zmierzchem nad ich skrawkiem ziemi. Podbite wilgocią zapachy zlały się w jedną woń życia – na przekór wszystkiemu. Posadził ją sobie na kolanach, twarzą do siebie. W ciszy przesyconej zapachem jej skóry i swojego pożądania nie potrzebował niczego więcej. Kochali się cicho, długo i spokojnie. Musiał jednak zrobić w swoim życiu coś,

czym przysłużył się Bogu. Cokolwiek to było, dostał duży kredyt zaufania... Pomyślał, że jest gotów spłacić każdy możliwy procent, kiedy zmęczeni o świcie brali kąpiel. W takiej samej ciszy.

– Zostaniesz moją żoną? Wiesz, z mocy prawa... – zapytał, kiedy przebudziła się z płytkiego snu, zaniepokojona płaczem jednej z dziewczynek. Bezbłędnie rozpoznawała, które z maluchów postanowiło dać znać o sobie. On jeszcze uczył się tej umiejętności.

– No, jak z mocy prawa, to nie mogę odmówić – zażartowała, całując go w czoło. – Ale zanim to nastąpi, sprawdź, co u Halszki. Dlaczego płacze?

– Pobierzemy się równo za miesiąc – rzucił jeszcze w jej kierunku, posłusznie zbierając się do sypialni dziewczynek.

– Za miesiąc? To lepiej już wstanę, zostało mało czasu...

Przygotowania ruszyły pełną parą. Agata, żona Huberta, stanowczo zażądała, żeby „młodzi” nie skupiali się na organizacji przyjęcia i pozwolili jej zadbać o wyjątkowy przebieg tego szczególnego dnia.

– Macie wystarczająco na głowie! – tłumaczyła podczas jednego z połączeń na Skype; Jakubowicz siedziała w kuchni, a Hub zaglądał jej przez ramię, kiwając potakująco głową. Ustaliły z Matyldą listę priorytetów, podzieliły się zadaniami, przy czym to po stronie gospodarzy było ich zdecydowanie więcej. Matylda i Kosma mieli skoncentrować się na szybkim zaproszeniu gości, zakupie odpowiednich kreacji i dbaniu o to, by przyjechać do Boćków, gdzie mieszkali Jakubowiczowie, nie tylko na czas, ale i w jak najlepszym nastroju.

– Bułka z masłem... – podsumowała Matylda i zgodnie z ustaleniami zabrała się do realizacji swojej części

harmonogramu. Szaleńcze tempo sprawiło, że listę zaproszonych ograniczyli do najbliższych. Rodzice jej i Kosmy nie mieli jeszcze okazji się poznać; dziadkowie Makarscy tylko raz widzieli też dziewczynki. Odwiedzili ich niedługo po powrocie Kosmy z kuracji w Szwajcarii.

To nie była do końca udana wizyta. Starszym państwu trudno było zrozumieć, dlaczego ich syn nie pisał słowem o swojej chorobie i kompletnie pominął opowieść o stanie, w jakim znajdował się przez ostatni rok.

– Nie chciałem was martwić, wystarczyło, że ja musiałem się z tym zmagać – próbował tłumaczyć główny winowajca zamieszania.

Efekt był mizerny. Kiedy rodzice Kosmy wracali do domu, Matylda miała wrażenie, że są wręcz przytłoczeni zmianami, jakie zaszły w życiu ich syna. Do tej pory poruszali się w bezpiecznych granicach informacji przekazywanych przez Michalinę, kilka razy rozmawiali telefonicznie z Kaśką. Obie jednak nie były zbyt wylewne, woląc, by to Kosma wyjaśnił, co trzeba. A Makarski konsekwentnie tego unikał, więc po tak długim czasie ta pierwsza, szczerza rozmowa musiała zostawić w jego rodzicach mocny ślad.

– Nie przejmuj się – powiedział, patrząc jej w oczy, kiedy już zostali sami. – Nic tu więcej nie da się zrobić. Wyfrunąłem z gniazda dość dawno, nie daj się zwieść pozorom.

– Co to znaczy? – Matylda wołała, żeby wytłumaczył jej to wprost, nie chciała się domyślać, wysnuwać fałszywych wniosków.

– Znaczy tylko tyle, że dobrze nam osobno...

– Co ty wygadujesz, przecież to twoja najbliższa rodzina! – Nie mogła zrozumieć jego dystansu i tej chłodnej relacji. Sama, mimo tego, że wychowała już dwóch dorosłych synów, w kuchni swojej matki nadal czuła się jak mała dziewczynka. Bezpieczna i spokojna.

– Nie zawsze jest tak, jak mówią w kolorowych gazetach. Nie każdy z wiekiem nabiera sympatii do ojca i matki. – Spojrzał na nią, jakby sprawdzał, czy rozumie. – Czasem z upływem lat wystarczyć musi coraz bardziej szorstka przyjaźń. I właśnie byłaś jej świadkiem – dokończył.

Przylgnęła do niego i chwilę trwali tak w bezruchu. Chciała mu powiedzieć, że ich rodzina będzie inna – że nikt nikogo z tego gniazda nie wypuści przed czasem – ale dobrze wiedziała, że nie musi mówić ani słowa. Znała go na tyle dobrze, by mieć pewność, że nikt tak szybko jak on nie uczy się na własnych błędach. Zwłaszcza teraz...

Na trzy tygodnie przed weselem zostawił całą wesołą gromadkę pod opieką Matyldy, choć tak naprawdę kilka ważnych wskazówek szepnął do ucha również Helmutowi. Pies przyjął wytyczne bez kiwnięcia ogonem, co oznaczać mogło tylko tyle, że nie ma uwag i jak prawdziwy mężczyzna dopilnuje spraw na miejscu. Kosma musiał spędzić w podróży kilka dni dłużej niż zwykle, bo do nagrań w warszawskim studiu postanowił też dodać wizytę w Łodzi i szybki wyjazd na wschód, do Czeremchy. Ten ostatni punkt wycieczki trzymał w tajemnicy; zaproszenie na swoje wesele szeptuchy Paraskiewy uważał za obowiązek i niespodziankę dla Matyldy. Kiedy opowiadał jej o wizycie u starowinki, miała łzy w oczach.

– Nie przypuszczałam, że takie miejsca jeszcze istnieją... – przerwała mu w pewnym momencie. – Chciałabym poznać tę kobietę!

– Coś mi mówi, że będzie ku temu okazja! – odpowiedział, uśmiechając się tajemniczo.

Kiedy Hub wyskoczył z propozycją, by ich wesele odbyło się w Boćkach, Kosma od razu pomyślał o Paraskiewie. Stamtąd do jej miejscowości było naprawdę niedaleko, więc mogłyby być ich gośćmi honorowym. A błogosławieństwo szeptuchy w taki dzień z pewnością zapewniłoby im spokój i szczęście na kolejne lata.

Żeby tylko stara była zdrowa, modlił się w myślach, zbierając się do wyjazdu. Czekoladę dla szeptuchy postanowił kupić na miejscu, u – doskonale zapamiętał ją z pierwszej wizyty – czerwonoustej ekspedientki. Ale zaczął od Łodzi, bo kończyły mu się leki i Klejmann czekał już z nową porcją medykamentów.

– Co pan taki radosny? – zapytał lekarz, kiedy zasiedli w jego gabinecie. – Nie powiem, żeby mnie to martwiło, ale dawno nie widziałem u pana takiego uśmiechu...

– Zmiany, zmiany, panie profesorze! – Kosma zastanawiał się, na jak bardzo otwarte wyznanie może sobie pozwolić. Klejmann uratował mu życie, ale w końcu to lekarz, nie bliski przyjaciel.

– Na lepsze, tego pan nie ukryje! – drażył medyk, wyraźnie zainteresowany.

– Zacząłem od hodowli ślimaków; to śmieszne stworzenia, chodzą z własnym domem na grzbiecie. – Kosma prawie zaczął rysować ślimaka na kartce, powstrzymał się w ostatniej chwili. – A teraz buduję swoje własne miejsce na ziemi. I wreszcie czuję się bezpiecznie.

Stary lekarz nie skomentował. W tym gabinecie padały już różne wyznania, choć mógłby przysiąc, że historia o ślimakach – po raz pierwszy.

– Wciąż musi pan uważać na siebie. Przypominam o ograniczeniach i zapraszam za miesiąc.

– Za miesiąc? Czuję, że będę wtedy jeszcze szczęśliwszy... – Kosma podniósł się z fotela i pożegnał profesora szerokim uśmiechem. Ten stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, kontemplując zmianę nastroju swojego pacjenta.

A może rzucić to wszystko i też zająć się ślimakami? – pomyślał. Spojrzał na stos kart chorobowych i szybko porzucił tę myśl; podnosząc słuchawkę, połączył się z recepcjonistką.

– Pani Lidio, proszę wprowadzić następnego pacjenta...

Był zły na siebie, bo najmniej czasu zaplanował na spotkanie z najstarszą córką. Michalina nie robiła mu żadnych wymówek, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że ta krótka wizyta na starych śmieciach przy Tymienieckiego to kropla w morzu ich potrzeb. Na szczęście miał dla niej niespodziankę, która mogła nieco załagodzić sytuację.

– Za niecały miesiąc chcemy się pobrać – zaczął bez specjalnego wstępu. Stała tyłem do niego, więc nie mógł obserwować reakcji, ale kiedy po chwili się odwróciła, na twarzy miała uśmiech.

– Znowu jest w ciąży i musicie się spieszyć? – zażartowała, podchodząc bliżej.

– Co będzie, to będzie – skwitował i również się uśmiechnął. – A poważnie, przyjedziesz sama czy, jak to się mówi przy takich okazjach, z osobą towarzyszącą?

– W ten sposób pytasz mnie, czy ze mną już wszystko w porządku? – Michalina spojrzała na ojca pytająco. Kosma nie odpowiedział, więc kontynuowała: – Będę sama, tato. Nie czuję jeszcze potrzeby, zresztą... – urwała. Kosma objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

Rok przed jego wyjazdem do Szwajcarii zmarł na glejaka chłopak Michaliny, ta strata położyła się cieniem na życiu ich wszystkich. Jaromir był niemal członkiem rodziny.

– Przepraszam, powinienem być delikatniejszy – szepnął, po czym pocałował ją w czoło.

– Daj spokój, to nie o to chodzi. – Michalina odsunęła się lekko. – Radzę sobie całkiem dobrze. Po prostu to jeszcze nie jest ten czas...

Został z nią dłużej, niż początkowo zamierzał; ustalili, że przyjedzie na Mazury już za tydzień, góra dwa, i zostanie do

samej uroczystości.

– Nic nie mów przy Helmucie! – Puściła oko do ojca, kiedy się rozstawali. – On wszystko rozumie, a tak zrobię mu niespodziankę...

Zanim Kosma wyjechał z Łodzi, zjrzał jeszcze do byłej żony. Tłoku w aptece nie było, a większość osób z kolejki wybierała specyfiki gwarantujące zdrowe opalanie; zbliżał się okres urlopowy, leki na przeziębienie poszły w ką. Kaśka dostrzegła go już w drzwiach, skinęła głową i wywołała z zaplecza jedną z ekspedientek. Kiedy dziewczyna przejęła jej klienta, Makarska podeszła do Kosmy i pocałowała go w policzek.

– Dawno cię nie widziałam.

– Właśnie widzę, że jesteś wyraźnie nie w sosie – zażartował, oddając pocałunek. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

– Dobra, nie przeginajmy! – Kaśka przywołała go do porządku.
– Czego chcesz?

– O, taką cię właśnie lubię najbardziej.

– Mów, bo widzę, że aż cię skręca. Znów będziesz ojcem? – Ujęła się pod boki i spojrzała na niego wyczekująco.

– Umówiłyście się czy co? – Kosma nie mógł uwierzyć, że niemal identyczne pytanie zadała mu tego dnia ich córka. – Nie, co to w ogóle za pomysł? Michalina pytała o to samo.

– No to gadaj, będziesz dostarczał te swoje ślimaki brytyjskiej królowej? Co jest takiego ważnego, że fatygujesz się osobiście do byłej żony?

– A właśnie, à propos żony... – Zacerpnął tchu i cofnął się o krok. – Żenię się!

– I co ja mam z tym wspólnego? – Spojrzała na niego zdziwiona, choć oboje doskonale zdawali sobie sprawę, że to zdziwienie jest udawane.

– Jesteś zaproszona!

– Że co, kurwa? – prawie krzyknęła i odruchowo zakryła po przekleństwie usta dłonią.

– Chciałbym. Chcielibyśmy – poprawił się – żebyś była obecna. Wiem, że to może wyglądać dziwnie albo być dla ciebie trudne, ale...

– Ale co? – powtórzyła za nim, kiedy milczał przez chwilę.

– No nie mam zbyt wiele bliskich mi osób. Przyjedziesz?

Odwróciła się do niego plecami, zajęta porządkowaniem papierów na biurku. Nagle ta właśnie czynność wydała się jej najpilniejsza i wymagająca skupienia całej uwagi.

To kutas, myślała, przylaź tu po tym wszystkim i ma czelność... Niedoczekanie twoje!

– Kiedy? – zapytała jednak całkiem spokojnie.

– Na koniec miesiąca.

– Czyli jednak jest w ciąży? – Miała jeszcze więcej pytań, ale przerwał jej machnięciem ręki.

– Kasiu, nikt nie jest w ciąży. Matylda wyjeżdża do Włoch na dłużej, ja i dziewczynki zostajemy na Mazurach. Chcę dopełnić formalności i mieć spokojną głowę... – tłumaczył.

– Widzisz, nie wytrzymała z tobą za długo! – triumfalnie spuentowała Kaśka. – Mówiłam, że się na tobie szybko pozna!

Kosma odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi.

– Poczekaj! – zawołała. Odwrócił się powoli i spojrzał wyczekująco. – Po co te nerwy? Przecież wiesz, że przyjadę. Także dlatego, że zżera mnie babska ciekawość. Ale nie licz na drogi prezent, złamasie!

Miał wielką ochotę przytulić ją na pożegnanie. Mimo tego, że jej docinki zdawały się nie mieć końca, była mu bliska.

– Przyjedź z Michaliną, wybiera się wcześniej. Będziemy

czekać! – Kiwnął jej i wyszedł z apteki. Zrobiło się późnawo; żeby zdążyć do Warszawy o rozsądnej porze, powinien być już dawno w drodze.

Wysoki, nowoczesny gmach NTV pulsował życiem niezależnie od pory dnia i nocy; setki osób kręciło się po korytarzach, windy wciąż wypluwały lub połykały kolejnych pasażerów, nawet parkingowy szlaban zdawał się w ciągłym ruchu. Kosma nie przepadał za tym budynkiem, właściwie lubił tu przebywać tylko w dwóch miejscach. Pierwsze z nich znajdowało się w piwnicy – dobrze wytłumione, skutecznie blokowało hałas z zewnątrz. Nagrywał tu kolejne *sety*, które w procesie produkcji dołączone zostaną do reszty montowanych materiałów. Realizator nagrań do spółki z reżyserem programów, w których wykorzystywano jego głos, zwykle starali się tak układać grafik, by za jednym razem nagrać materiał na kilka odcinków. Kosma doceniał to i starał się nie utrudniać nikomu życia, rezygnując z udziału w tych projektach, które wymagały większej mobilności. Nie zmieniło się tylko jedno – w cichym studiu, przy mikrofonie, wciąż czuł radość z tego, co robi. Dyskretne światło, pluszowa wykładzina na podłodze oraz brak okien sprawiały, że zdarzało mu się zgubić poczucie czasu.

Drugie z tych ulubionych miejsc mieściło się na trzecim piętrze i było gabinetem Edmunda Kiszczaka. Tu również Makarski mógł zapaść się w wygodnym fotelu, z tą różnicą, że zamiast do mikrofonu mówił do żywego człowieka. I czerpał z tego nie mniejszą radość.

– Nie było okazji, ale noszę się z tym zamiarem już od dawna. Chciałem ci podziękować za wskazówkę. – Siedzieli naprzeciw siebie, Edmund sączył coś ze szklanki z grubo rżniętego szkła.

– Wskazówkę? Nie przypominam sobie... – Stary wykorzystał moment, w którym jego gość zamilkł na chwilę.

– Całkiem możliwe, to było dawno. Skierowałeś mnie do Paraskiewy.

Kiszczak odłożył szklankę i przysunął się do Kosmy tak blisko, że prawie czuł, jak tamten oddycha. Patrzył na Makarskiego oczami, które w jednej chwili zwilgotniały i nabrały smutnego wyrazu. Kosma poczuł się nieswojo.

– Ed, wszystko w porządku? – zapytał cicho.

– I tak, i nie, długo by opowiadać... ale dobrze, że do niej pojechałeś, czułem, że może ci pomóc – odpowiedział Kiszczak. Wrócił do poprzedniej pozycji i znów sięgnął po napój. – Ta kobieta ma moc i umie zrobić z niej użytek.

– Widzisz, przyjechałem tu dziś z zaproszeniem na moje wesele, na Mazury. I prosto ze stolicy jadę do Czeremchy, żeby zaprosić i Paraskiewę. Myślisz, że to dobry moment? – Kosma spojrział wyczekująco na dyrektora.

– Zaraz, po kolei! – Stary jak zwykle lubił mieć wszystko pod kontrolą. – Przede wszystkim dziękuję za pamięć, oczywiście przyjadę. Przyjmij moje gratulacje już teraz. – Mówiąc to, podniósł się z fotela i wyciągnął rękę do Kosmy. Męski uścisk dłoni uzupełnił przyjacielskim klepnięciem w ramię.

– Dziękuję w imieniu swoim i Matyldy – powiedział Makarski. – I dziewczynek.

– Jak one się mają? – Kiszczak wciąż był pod wrażeniem wcześniejszych informacji o niespodziewanym, podwójnym ojcostwie swojego pracownika.

– Rosną, pięknieją, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Jestem dumnym ojcem. Znowu! – Kosma uśmiechnął się i puścił oko do Edmunda. – Każdemu to polecam!

– Nie, na to mnie nie namówisz! – zachnął się stary. – Ale mam propozycję, która pozwoli ci zaoszczędzić czasu. Jadę do Czeremchy za kilka dni, jeszcze w tym tygodniu. Jak chcesz, zaproszę Paraskiewę w twoim imieniu.

Kosma już chciał zapytać, po co Kiszczakowi spotkanie z szeptuchą, ale w porę ugryzł się w język. Zamiast tego

podziękował i poprosił, by dyrektor w jego imieniu zakupił w miejscowym sklepiku kilka tabliczek mlecznego wedla.

– Wiem, wiem, stara przepada za czekoladą. Kupię jej tyle, ile zdołam unieść. Nie musisz się martwić.

Pożegnali się, pozostawiając na później szczegółowe ustalenia. Kiszczak obiecał, że odezwie się, jak tylko ustali z Paraskiewą, czy jej stan zdrowia pozwoli na podróż. Kosma jeszcze raz podziękował i ruszył do windy. „Nie musisz się martwić” – głos starego brzmiał mu jeszcze przez chwilę gdzieś z tyłu głowy. Nie był mocno przesądny, ale zdążył się już zorientować, że kiedy padają takie słowa, los w odpowiedzi lubi komplikować nawet proste rzeczy. Głupie myślenie, skarcił sam siebie.

Machnął ręką na pożegnanie dziewczynom z recepcji i ruszył w stronę auta, zadowolony z niespodziewanego skrócenia zaplanowanej trasy. Stęsknił się za Mazurami i trójką mazurskich piękności, które tam na niego czekały.

Przez całe życie bliscy mu niegdyś ludzie gubili się jak zapodzione podczas przeprowadzek lektury. I tak jak z książkami, które kojarzył po latach jedynie z kolorowych okładek czy chwytliwych tytułów – o wielu zapomniał, a w podręcznej biblioteczce pielęgnował jedynie kilka wyjątkowych egzemplarzy – tak było i z przyjaciółmi; układając listę weselnych gości, Kosma wiedział, że będzie krótka, ale za to interesująca. Poza tym oboje musieli ograniczyć się jedynie do tych spośród znajomych, których nie obrazi zaproszenie wystosowane w zasadzie w przeddzień uroczystości.

– Michalina, Kaśka chyba sama, Edmund z żoną... – Z trudem rozszyfrowywała jego tworzone naprędce bazgroły.

– Nie ma tych osób zbyt wiele – powiedział Kosma, odwracając się w jej kierunku. Dużym nożem skrobał trzy szczupaki,

poranną zdobycz, którą przyniósł pan Witold. Sąsiad miał pozwolenie na wędkowanie w ich stawie, za które odwdzięczał się częścią połowu. Tym samym rozwiązała się kwestia dzisiejszego obiadu.

– Skąd wiesz, że przyjedzie sama? – Znów spojrzała na kartkę, wyraźnie czymś zaniepokojona.

– Przecież z nią rozma... No nie wierzę, jesteś zazdrosna? – Jej pytanie wyraźnie go rozbawiło.

– Może nie tyle zazdrosna, ile... Lubię trzymać rękę na pulsie!
– odpowiedziała, podchodząc do niego i obejmując wpeł.

– Jesteś głupiutka – spuentował.

– Ale jednocześnie kochana? – przymilała się dalej.

– Z przewagą głupiutkiej! – powiedział ze śmiechem, ale w sposób, który nie pozostawiał złudzeń co do prawdziwej intencji.

– Chcę się z tobą kochać! – Przysunęła się do niego jeszcze bliżej.

– Naprawdę? Muszę częściej korzystać z imienia byłej żony! – Śmiał się coraz głośnie.

– Już nie chcę się z tobą kochać. Odwołuję!

– Mówiłem, głuptas! – Kosma przerwał te przekomarzania, bo na końcu drogi dojazdowej zamajaczył znajomy samochód. – Kaśka? – zapytał zaskoczony.

– Przestań, nie bawię się już w to! Żadnego seksu przed obiadem! – Matylda odsunęła się lekko i udała obrażoną.

– To auto Kaśki. Spójrz! – Wskazał ręką coraz większą sylwetkę nadjeżdżającego pojazdu. – To dopiero niespodzianka!

Matylda chciała coś powiedzieć, ale w porę ugryzła się w język. Zamiast dokończyć, podała Kosmie papierowy ręcznik, by mógł wytrzeć dłonie, i razem wyszli przed dom. Auto właśnie wtoczyło się na posesję, płosząc wietnamską świnkę, która

z kwikiem schowała się w krzakach. Helmut szczeakał z radości; znał ten samochód bardzo dobrze.

– To była świnka? Kupiłeś sobie świniaka? Na wesele czy tak dla towarzystwa, żeby poczuć się swojsko? – zapytała Kaśka, wyskakując z pojazdu. Kosma tylko przewrócił oczami, nie komentując tej błazenady.

– To Gabryś, jest z nami od niedawna. – Dziwnie się czuł, rozpoczynając prezentację od warchlaka. – Przyjechałaś sama?

– Aaaa... – Kaśka na chwilę się zawiesiła. – No dobrze, nie będziemy się zgrywać! Młoda, wysiadaj! – krzyknęła i otworzyła tylne drzwi.

Ze środka gramoliła się już ich córka. Przyciemniane szyby doskonale maskowały wnętrze, więc niespodziankę udało się utrzymać do samego końca.

– Sama bym tu chyba nie trafiła tak szybko – powiedziała Kaśka, podchodząc do Matyldy z wyciągniętą ręką. – Przepraszam za to, że jesteśmy bez uprzedzenia, ale te kilka dni chyba nie zrobi nikomu różnicy?

– Dobrze, że jesteście, naprawdę. – Matylda uścisnęła jej dłoń; z sympatią odnotowała fakt, że odbyło się to bez zwyczajowej próby sił. – Niespodzianka tym większa, że chwilę wcześniej wspominaliśmy cię w kuchni.

– W kuchni? To dobre miejsce! Prowadź, gospodarzu, bośmy głodne! – Odwróciła się w poszukiwaniu Kosmy, który wciąż obściskiwał Michalinę. – Dawać tu Gabrysia!

– Hmmm, to może ja podejść jednak do pana Witolda, to będzie lepsze rozwiązanie – szybko zaproponował Kosma, rzucając jednocześnie uspokajające spojrzenie w kierunku zarośli, w których skrył się rzeczony prosiak. Nie był pewien, czy Gabryś zna się na żartach. – Był dziś na rybach, żal tego nie wykorzystać.

Zawołał psa i ruszyli po nadprogramową dostawę ryb. Znał

zdolności wędkarskie starego sąsiada i wiedział, że tamten musiał mieć w zapasie jeszcze kilka dorodnych sztuk. Reszta towarzystwa zajęła się bagażami; Kaśka i Michalina głośno dzieliły się wrażeniami z podróży i planowały popołudnie. Matylda nawet nie próbowała ich uciszać, choć lekko obawiała się o drzemkę Halszki i Różanki. Porę przed obiadem dziewczynki powinny spokojnie przespać, inaczej po południu stawały się marudne. Ale przecież niecodziennie zjawia się starsza siostra i przyszywana ciocio-mama. Machnęła więc ręką i wprowadziła gości do środka. Gabryś przezornie został na dworze. Jego poczucie humoru wymagało jeszcze małej pracy.

Z zewnątrz wszystko wyglądało sielsko i spokojnie, w środku czuć było jednak lekkie napięcie, przynajmniej u niego. Znał swoją byłą żonę doskonale, odczytywał jej niewypowiedziane komunikaty i ledwo dostrzegalne sygnały. Kaśka bardzo się pilnowała, by przez te kilka dni, jakie dzieliły ich od wesela, nie sprawić im przykrości jakąś niepotrzebną uwagą, aluzją czy wspomnieniem. Ale na pewno nie przychodziło jej to z łatwością, zwłaszcza kiedy zajmowała się bliźniaczkami. Czasem łapał jej spojrzenie, w którym widać było zdziwienie i żal. Kosma obawiał się o rozwój wypadków.

– O co chodzi? – Matylda zauważyła jego podenerwowanie. – Jesteś nieswój!

– Trochę przerasta mnie sytuacja – odpowiedział, uciekając wzrokiem.

– Zaprosiłeś ją przecież. – Dobrze domyślała się powodów jego stanu. – Już tu jest, za późno na takie rozterki.

– Nie chodzi o mnie, myślę, jak ty się z tym czujesz. – Powoli obrócił głowę i spojrzał na nią wyczekująco.

– Jestem już duża, wszyscy jesteśmy – odparła spokojnie. –

Jakoś to poukładamy.

Pocałował ją w ulubione miejsce za uchem, uznając, że ma rację. Kaśka nie przyjechała tu przecież, żeby robić sceny. Między nimi wszystko było skończone; rany które sobie zadali, nie były aż tak głębokie, by nie mogły się zabiżnić. Przepracowali ten czas od rozstania bardzo solidnie, każde na swój sposób. Właśnie dlatego mogła tu przyjechać, jego nowy dom był otwarty także dla niej. Matylda potwierdziła to jeszcze tego samego dnia.

– Posłuchaj, jeśli moja obecność ci przeszkadza, to ja... – zaczęła ostrożnie Kaśka, kiedy zostały z gospodynią same w kuchni i nikt im nie mógł przeszkodzić w rozmowie.

Matylda siedziała przy stole, wycierając do sucha talerze. Teraz spojrzała na nią zaskoczona.

– Twój przyjazd był... niespodzianką, ale dobrze, że tu jesteś. Nie mam nic przeciwko, naprawdę – odpowiedziała.

– Jestem tu, bo chciałam się przekonać, czy on, czy wy... – plątała się lekko. – Nie przyjechałam, by was oceniać, po prostu martwię się jego zdrowiem i chciałam być pewna. Rozumiesz?

– Pewna czego? – Matylda przerwała wycieranie i odłożyła ścierkę.

– Że trafił na właściwą kobietę, która go uzupełni i da to, czego ja nie mogłam dać.

Przez chwilę milczały. Matylda myślała intensywnie nad tym, co usłyszała. Kaśka przyglądała jej się przez chwilę, po czym lekko się do niej nachyliła.

– Macie wspaniałe córki, uratowałam go. Kilka lat temu pewnie bym wam zazdrościła, dziś mogę szczerze życzyć szczęścia – powiedziała cicho. – Nie wiem, czy zostanę do ślubu, chyba nie jestem aż tak silna; nie bierz tego do siebie. Ja naprawdę życzę wam dobrze.

– Wierzę ci i jestem wdzięczna. – Matylda uśmiechnęła się do

niej lekko. – Tym bardziej zależałoby mi, żebyś jednak została. Może to nie najbardziej typowa rodzina pod słońcem, ale jesteśmy w tym razem, wszyscy.

– Daj mi chwilę, muszę się z tym trochę oswoić.

– Nie spiesz się. Chociaż nie! Nie zostało zbyt wiele czasu do namysłu! – Matylda spojrzała na Kaśkę, po czym obie wybuchnęły śmiechem. Harmonogram obmyślony przez Kosmę rzeczywiście nie zostawiał zbyt dużego marginesu. Decyzję trzeba było podjąć naprawdę szybko. Chwilowo wróciły jednak do przerwanego zajęcia, skupiając się na sztucach i talerzach, co uspokoiło przycupniętego czujnie pod stołem Helmuta i uspokoiłoby też pewnie Gabrysia, gdyby ten nie pochrapywał obok swoim zwyczajem. Pies zrezygnowany pokręcił łbem i trącił prosiaka łapą, domagając się uwagi. Na próżno, błogie kwiknięcie to jedyna reakcja, jaką udało mu się uzyskać w tym momencie. Gabryś najwyraźniej nie rozumiał powagi tego, co właśnie się wydarzyło w ich przytulnej kuchni.

Dość szybko okazało się, że mazurska stodoła pomieścić musi następnych gości. Dwa dni później, kiedy wracali przed południem ze ślimaczych zagród, przed dom zajechało kolejne auto.

Ruch jak na Piotrkowskiej! – szczechnął Helmut, wspominając dawne, łódzkie czasy.

– Nie wierzę! – dopowiedziała Matylda i przyspieszyła kroku, bo na tych gości czekała najbardziej. Z samochodu wychodzili właśnie obaj jej synowie, dostrzegła też kobiecą postać.

– Znowu bliźniaki? – zapytała cicho Kaśka, przysuwając się do Kosmy. – Ale się dobraliście, macie jakiś patent na dublety czy co?

– Uspokój się! – Kosma uśmiechnął się pod nosem. – I nie

przestawaj być miła.

– Będę jeszcze miłsza, jeśli z tego auta wysiądzie tata tych młodzieńców! – Puściła do niego oko, na co Kosma zareagował machnięciem ręki.

– O czym gadacie? – zbliżyła się do nich Michalina. – Co to za młodzi ludzie?

– Zamówiłem do towarzystwa, żebyś się nie nudziła – wyjaśnił Kosma.

– Ojciec, ty jednak masz coś z garem, prawda? – Michalina lustrowała sylwetki chłopaków. – Skoro zamawiałeś dla mnie, to po co ta lala z nimi?

– Jak my was wszystkich pomieścimy? – Jej ojciec był już myślami gdzie indziej, odezwał się w nim duch gospodarza. – Trzeba będzie się jakoś zagęścić.

Michalina z matką spojrzały po sobie i pokręciły głowami.

– Sam się zagęszczaj, nam jest całkiem wygodnie!

Helmut z Gabrysiem byli oczywiście pierwsi przy gościach, głośno wyrażając swoje zadowolenie z powiększenia gromadki. Helmut szczególnie upodobał sobie jednego z braci, więc obślinił mu twarz szorstkim językiem. Chłopak przyjmował te pieszczoty jak coś normalnego, widać było, że są w dobrej komitywie.

– Co ten pies wyrabia? – zdziwiła się Michalina, przyglądając się psotom tej dwójki. – Zachowuje się, jakby się razem wychowali.

– Lubią się, Marek czasem tu wpada odwiedzić siostry. Marcel rzadziej, bo ma dziewczynę, czyli więcej obowiązków. – Kosma się uśmiechnął.

– A Marek nie ma? – Michalina spojrzała uważniej na turlającego się po trawie chłopaka. Pies nie dawał mu spokoju.

– Czemu to cię tak interesuje? – Kaśka trąciła ją łokciem.

– Nie interesuje, tylko wiele tłumaczy – odpowiedziała

Michalina, wskazując ręką Witeckiego. Jego jasne spodnie zabarwiły się na zielono, a ślady psiego uwielbienia znać było na całej garderobie. – To naprawdę sporo tłumaczy ...

Kosma i Kaśka spojrzeli po sobie i porozumiewawczo pokiwali głowami. Może jeszcze za wcześnie, by odśpiewać *Love Is in the Air*, ale coś tu się najwyraźniej zaczynało dziać.

Mazury rządzą się swoimi prawami, pomyślał Helmut, odrywając się od nowego przyjaciela. Pierwszy krok zrobiony, dalej poradzą sobie sami!

Przez te kilkanaście dni, jakie pozostały do wesela, żyli trochę jak w cygańskim taborze. W cieniu drzew stanęły namioty, przywiezione przez chłopców, którzy nie chcąc przysparzać kłopotów, zatroszczyli się o polowy kwaterunek.

– Jest tyle miejsca w środku, nie musicie koczować w ogrodzie – próbowała ich przekonać Matylda, ale z mizernym skutkiem. Wynegocjowała chociaż tyle, że ubrania rozwiesili porządnie na wieszakach w jej pracowni. No i odwiodła ich od pomysłu kąpieli przy studni!

Marcel z dziewczyną zaanektowali obszerną dwójkę z przedSIONKIEM, nieco z boku swój jednoosobowy namiot rozbił Marek. Kosma zorganizował w pobliżu palenisko, na którym wieczorami płonęły ogniska; w dzień jadaliby obiady na powietrzu i pomagali przy ślimakach. Młodzież, nawet gdyby chciała trzymać się z dala od starszej części towarzystwa, nie miałaby ku temu zbyt wielu możliwości. Maluchy i domowa menażeria gospodarzy łączyły dwa pokolenia i dwie rodziny jak w klasycznej hollywoodzkiej produkcji. Zaskakującą zmianę wprowadzał czas, który wspólnie pożytkowali, pracując pod dyktando Kosmy w ślimaczym parku, chętnie zamieniając trampki na kalosze. Częściej też niż o szczegóły szybkimi krokami zbliżającej się ceremonii powtarzały się pytania o czas

inkubacji jaj *Hellix aspersa* albo o ceny zbytu właściwej części hodowli na europejskich rynkach.

Gospodarze dwoili się i troili, żeby żadnemu z gości niczego nie zabrakło. I chociaż nie mieli zbyt dużo czasu, żeby sam na sam zastanowić się, czy wystarczająco dobrze spełniają swoją funkcję, to nie umknęło ich uwadze, że wietnamskiej śwince odpowiada całe towarzystwo, bliźniaczki wyraźnie preferują gości, natomiast starsza córka Kosmy i prawdopodobnie przyszła synowa Matyldy są skupione na młodszej części męskiego grona. Szczególnie Michalinie śmiały się oczy na widok jednego z bliźniaków, którego Helmut zdawał się nie odstępować na krok. Kosma mógłby przysiąc, że powody, dla których pies prawie stale towarzyszył Markowi, nie były dla jego starszej córki zupełnie bez znaczenia. Dla niego istotny był fakt, że uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Czegóż mógłby chcieć więcej? Może jeszcze tylko znać odpowiedź na pytanie, kto tu tak naprawdę ma farta, ale i to niekoniecznie.

Do Boćków wybrali się już w środę, w trzy auta. Matylda nalegała, by dotrzeć tam odpowiednio wcześniej i przypilnować przygotowań przed weekendem. Kaśka postanowiła nie opuszczać wesela, czym ucieszyła nie tylko córkę, ale i byłego męża.

– Nie odmówię sobie tej przyjemności, niecodziennie twój były bierze ślub – tłumaczyła ze śmiechem.

– Dobra decyzja. – Kosma pochwalił jej wybór i zręcznie zmienił temat: – Zajmiesz się dziewczynkami?

– Powaliło cię? Chcesz ze mnie zrobić niańkę? Bardziej myślałam o tańcach z tym, jak mu tam, Wiktorem?

– Wiktora nie będzie.

Ta odpowiedź najwyraźniej ją zaskoczyła, przez kilka sekund

trawiła ją w ciszy.

– Jak to, tylko ja jestem taka głupia, żeby lecieć na ślub byłego?

– Czyli jednak masz z tym kłopot? – zaatakował ją Kosma.

– No kurwa, trochę mam i wcale mi tego nie ułatwiasz! – odparowała. – Dlaczego go nie będzie?

– To sprawa między nimi i nic nam do tego – wytłumaczył Kosma.

– A ty? Nie chciałeś go zaprosić? To ma być ta rodzina po nowemu? Będą wyjątki?

– Czemu tak ci na tym zależy? – dociekał Kosma.

– Jak to czemu? Nie chcę wyglądać jak kwiatek do kożucha. Myślałam, że będą wszystkie zainteresowane strony, a tak... – urwała gwałtownie.

– Tylko się nie wycofuj teraz! – Kosma podszedł do Kaśki i spojrzał na nią wyczekująco. – No, bądź mądra! Jest między nimi jakaś zadra, która nie pozwala mu złożyć nam szczerych życzeń. Nie bierz tego do siebie, proszę.

– Jesteś pewien? Rozmawialiście o tym z Matyldą? – Kaśka wciąż nie pozbyła się wątpliwości.

– Rozmawialiśmy. Sprawa z Wiktorem ma inny ciężar gatunkowy, może z czasem będzie to wyglądało lepiej – przekonywał spokojnie. – Nie psujmy atmosfery zamartwianiem się czymś, na co nie mamy wpływu.

– Nie uspokoiłeś mnie zupełnie – powiedziała po chwili.

– A na tyle, żebyś zajęła się dziewczynkami? – wrócił do wcześniejszego pytania.

– Spieprzaj, dziadu – odpowiedziała ze śmiechem. – Wciąż wiesz, jak mnie przekonać!

Rzeczywiście polubiła te dwie małe kruszyny o śmiesznych

imionach. I choć pomysł z późnym rodzicielstwem, jak w przypadku Matyldy, budził w niej sporo obaw, gdzieś w głębi duszy była otwarta i na takie wyzwanie. Może i dla niej nie wszystkie drzwi były już zamknięte? Brakowało tylko jednego niezbędnego elementu, który by dopełnił jej życiowe puzzle. Przydałby się facet, taki z krwi i kości. Od dawna nie umawiała się z nikim, a ostatnio trafiała na kompletne odpady. Po ostatecznym rozstaniu z Kosmą wiedziała, że nie będzie jej łatwo znaleźć kogoś odpowiedniego. Tu przecież nie chodziło tylko o nowszy model.

– O czym myślisz? – przerwała jej rozważania Michalina. – Ojciec ci nie mówił? Musimy się pakować!

– Myślę o życiu. Ale też i o seksie.

– Że co? – Dziewczyna aż zachłysnęła się napojem, który popijała z kartonu.

– Wiesz, co mówią Francuzi o seksie? Że w seksie najważniejsze jest to, co się dzieje, kiedy wchodzisz po schodach na górę. Ta część jest najlepsza.

– I co chcesz przez to powiedzieć? – Michalina nie łapała przesłania tej opowieści.

– Że najważniejsze to znaleźć kogoś, kto będzie z tobą po tych schodach umiał wchodzić. Reszta to już tylko dodatek.

– Znajdziemy, mamo. – Dziewczyna przytuliła matkę i przez chwilę trwały tak bez słowa.

Głośnie nawoływania z dołu zmusiły je w końcu do działania; cała grupa czekała już tylko na nie. Posłusznie zebrały bagaże i po chwili mogli wyruszać. Kwadrans później w obejściu zostali już tylko pan Witold i zdezorientowany Gabryś.

Kochana,

Kiedy Edmund powiedział, że stara Paraskiewa nie przyjedzie na nasz ślub, pomyślałem, że to zły znak. Pytałaś, co się ze mną dzieje i dlaczego tak nagle posmutniałem. Jej wizyta miała być prezentem ode mnie; cieszyłem się na to spotkanie. Wiem, że to mogło nic nie znaczyć, po prostu starsi ludzie słabną i chorują. A przecież ona była już w złej kondycji, kiedy zawitałem do niej po pomoc przed laty. Liczyłem na jej błogostawieństwo, chciałem, by poszeptała nad naszymi głowami, dając znak Temu na górze, że tu wszystko układa się jak należy.

Tego nam najwyraźniej zabrakło...

Wiesz, tam, w Szwajcarii, nie mogłem się skupić. Przez cały lot ścisnąłem kartkę, na której zapisałaś imiona dziewczynek. Odczytywałem je raz za razem, odmieniając w myślach i snując plany. Dałaś mi nie tylko córki, ale i nadzieję na nowe życie. Nie mogłem uwierzyć, że spotkało mnie takie szczęście. W Boćkach poczułem to raz jeszcze, powtarzając słowa przysięgi. Kiedy ten człowiek z urzędu stanu cywilnego powiedział wreszcie, że ogłasza nas mężem i żoną, chciałem pociągnąć Cię za rękę i biec byle dalej, choć przecież wokół były tylko bliskie nam osoby. Chciałem jednak, byśmy ten moment przeżyli we dwoje. Dziś żałuję, że coś mnie przed tym powstrzymało.

Odczuwam ciągły niedosyt Ciebie.

Dawałaś mi wszystko, a ja i tak upominałem się o więcej. Musiałem stale mieć Cię w zasięgu ręki. Ciągłe głodny Ciebie, Twoich ust, kolan. Wtedy myślałem, że to już na zawsze, że nic i nikt, że nigdy więcej!

Dzisiaj... Nie zmieniło się nic. Jestem tak samo głodny jak pierwszego dnia.

Przyjedź i przekonaj się sama!

[\[1\]](#) Van Morrison, *Into the Mystic* (sł. Van Morrison).

chodź...

pościel pachnie obietnicą

brzemienną jabłonią

wiatrem

i okruchami dnia

uwolnij

zadziwiaj

baw moje zmysły

niech tańczą

ROZDZIAŁ DRUGI

Kochana Viola. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi jej brakowało. Pierwszej nocy w ogóle się nie kładłyśmy, musiałam opowiedzieć jej o nas. O tym, że wszystko się wreszcie układa, że dzieci zdrowo rosną, że moje ciało jest barometrem Twoich pragnień; że przejęło rytm przyrody, która wyznacza nam puls zdrowego snu, pracy i czułości. O tym, że tylko ogrom nowych obowiązków i mój wiek powstrzymują mnie przed uwolnieniem życia, które rozpycha się we mnie łokciami... Już dawno nikt tak uważnie mnie nie słuchał, wiesz? Zabiorę ją do nas na całe lato! Tutaj o tej porze roku trudno jest wytrzymać z gorąca. W ogrodzie między drzewami rozwiesimy hamaki. Będzie czytać dziewczynkom, uczyć je malować i układać zielniki. Pokażemy jej Stańczyki, Wilczy Szaniec i to duże żeremie za domem. A Ty będziesz mógł ją zapytać, ile jest prawdy w Rigoletcie Verdiego. My dwie... To taka przyjaźń, na którą czeka się lata. Lgnę do niej jak do szczeliny w ciemnej jaskini, przez którą sączy się czyste powietrze.

Dobrze jest wrócić w to miejsce. Oglądam je kolejny raz, ale znów inaczej. Teraz jest tak, jakbyśmy byli tu oboje. Dopiero dziś dostrzegam wszystkie detale form, kompozycje barw, bezbłędnie

rozróżniam ziota, sycę się energią ukrytą w prostych słowach. Dostrzegam, jak dużo dał mi ten dom. I ona. Warto było słuchać jej godzinami, rozcierać dłońmi sztywny kark i z pokorą wracać do błędów. Teraz jesteśmy jak baldachy przekwitających mleczy. Przyszedł czas, żeby wzbić się wyżej, dalej! Ona to wie, a my widzimy to w jej zmęczonych oczach. Zmęczonych i szczęśliwych. Marco i Sophie kupili dom w Mantui. Za miesiąc urodzi im się drugi syn. Viola jest dumną matką chrzestną pierwszego! Poprowadzą tutaj filię mediolańskiego atelier batiku Violi i kiedy tylko Sophie będzie mogła wrócić do pracy, przejmą pieczę nad interesami obu pracowni. Signora Mancini pozostanie naszym mentorem do momentu, kiedy znajdzie mojego następcę albo firmę, która zdecyduje się na kupno całej marki.

Tęskniłam za tym! Chyba tak naprawdę nigdy nie przestałam. Uwielbiam moment, kiedy już wybrzmiały ostatnie słowa zadania i możemy zabrać się do pracy. Wiesz, że kiedyś musiałam być we wszystkim pierwsza? Jakby tylko z tego miejsca w szeregu był najlepszy widok. Dziś na nowo odkrywam urok różnorodności...

Do zespołu dołączył Leo, prawdziwy wizjoner w kreowaniu przestrzeni, do której trafia wszystko, co wychodzi spod naszych rąk. Jest odpowiedzialny za szczegóły wystaw, pokazów i sesji zdjęciowych. Zna chyba wszystkie miejsca we Włoszech, gdzie to, co robimy może nabrać rumieńców. Jedną z krawcowych zastąpiła Ana, która wespół z Violą zbiera nasze szaleństwa w całość i ubiera w prawdziwy projekt. Tworzenie nowych wzorów na tkaninach trzyma w garści Marco, a ja i Sophie jesteśmy jego ciałem wykonawczym. Mamy wprowadzić pod sobą Milę i Julię, malarki z Madrytu, które musimy trochę prowadzić za rękę, ale tak naprawdę to my możemy się od nich uczyć. Dziewczyny potrafią pracować z każdym materiałem, łącząc techniki w wyrefinowany i zjawiskowy sposób. Odnosi się wrażenie, że żadna materia nie jest w stanie ich ograniczyć. W takich rękach wszystko zaczyna oddychać! W dodatku mają historię sztuki w małym palcu i we krwi. Są jak otwarta

w najciekawszym miejscu książka.

Po pracy prowadzimy niekończące się rozmowy o stylach, wartościowaniu i przyszłości sztuki, mnogością form i rozwiązań przebijające całą wiedzę, którą dotychczas nas karmiono.

Żeby wrócić do tej pierwotnej potrzeby, trzeba zwyczajnie uciec... Sterowana samotność jest najprostszą drogą. W ciszy najlepiej słyszeć samego siebie. Samego siebie! Człowiek jako gatunek stadny wciąż ma z tym problem. Często wracam myślami do Boznańskiej. Bardziej do jej biografii niż obrazów. Zadziwiają mnie niezmiennie jej konsekwencja w wyborach, talent, niezależność w malarstwie i w życiu. Osiągnęła sukces i uznanie. Być może dlatego, że prawie całe swoje życie szła samotnie. Czuła, że rodzina i miłość artystycznie ją ograniczą? A może dlatego, że po śmierci Paula Nauena, swojego nauczyciela i największej miłości, przestała już czekać na kolejną, zatracając się w sztuce, która stała się po prostu elementem przetrwania... Bo przecież wydaje się niemożliwością, żeby mogła zastąpić bliskość drugiego człowieka. Wydaje się niemożliwością, prawda? Jeśli samotność na trwałe wpisana jest w proces tworzenia, to oddam za darmo wszystko! Wszystko, co wyszło spod moich rąk, za jeden dzień spędzony z Tobą.

Mój dawny system wartości zniknął gdzieś bezpowrotnie. Słowa: ambicja, kariera, samozadowolenie stoją teraz daleko w szeregu za pojęciami: równowaga, dom, miłość... To ostatnie definiuje człowieka. Precyzyjnie pozwala odnaleźć mu swoje miejsce w czasie i przestrzeni. To takie proste, a musiało upłynąć mnóstwo czasu, żebym zrozumiała prawdziwe znaczenie tych słów... Viola mówi, że w moich gestach, spojrzeniu i niewymuszonym uśmiechu dostrzega nasze noce i dni. Muszę jej o nich wtedy często opowiadać, żeby, jak mówi, przypomniła sobie, w jakim celu człowiek chodzi po świecie. Robię to z podwójną przyjemnością, chciwie chłonąc obrazy wspomnień. Nie mówię jej tylko, że teraz i każda z nocy warta

jest oczekiwania i że wśród nich wiele jest takich, kiedy świt zawsze przychodzi za wcześnie...

Domyśliłam się, kiedy tylko stanęliśmy suchą stopą na Murano. Nasze tkaniny mają być tłem dla weneckiego szkła. Podkreślić ponadczasowość, podbić kolor i wydobyć jego niewątpliwą magię. To nasze zadanie na najbliższe tygodnie. Ono ma być punktem wyjścia i grać pierwsze skrzypce, które ostatecznie wybrzmiają na wybiegu. Mieliliśmy w swoim rytmie przemierzyć wyspę, a właściwie siedem mniejszych, tak jak podpowiadały nam instynkt i zwyczajna ludzka ciekawość; mogliśmy pytać do woli i dać się prowadzić naszemu twórczemu pierwiastkowi. Wyspy zajmują tylko półtora kilometra kwadratowego. Czy to przypadkiem nie tyle co powierzchnia gospodarstwa Huba?!

Pierwsi byli Egipcjanie, po nich – Grecy i Rzymianie, pozostała część Europy dostała w spadku technologię wytopu szkła dużo później. Ale to właśnie tajemnice weneckich pieców wciąż budzą emocje. Do dwunastego wieku Wenecja była centrum tego rzemiosła na Starym Kontynencie. Dopiero po kilku pożarach w samym sercu miasta całą produkcję przeniesiono na sąsiednie wyspy. Niecały wiek później podążyły za nią wszystkie liczące się szklarskie rodziny. Większość miała wysoki status społeczny i dodatkowe przywileje: jednym z nich była możliwość zawierania małżeństw ze starymi weneckimi rodami. Ale cena tej nobilitacji była dużo wyższa: pod groźbą kary śmierci rzemieślnikom nie wolno było opuszczać murów miasta, a ich córki mogły wychodzić za mąż tylko za Wenecjan. Wszystko po to, żeby tajemnice produkcji jak najdłużej pozostawały w rodzinie. Wyobrażasz sobie? Miłość, której biletem do szczęścia jest tafła kruchego szkła?! Ile tych starych warsztatów kryje w swoich murach receptury i wpisane w nie rodzinne tragedie? Ludzkie pożądanie chodzi dziwnymi drogami... Krew ścina się w żyłach na samą myśl o tym, ale wyobraźnia rozpala się do białości! Połączyć całą tę wiedzę w jedną historię opowiedzianą ruchem, grą faktur i form. Cieszę się na to. I chcę

spróbować!

Spędziliśmy mnóstwo czasu, podpatrując małe rodzinne manufaktury. Nie należałam do najpilniejszych obserwatorów. Bardziej zajmował mnie efekt końcowy, ale atmosferę tych miejsc zabiorę z sobą do domu. Razem z paroma drobiazgami, którym nie mogłam się oprzeć... W granicach zdrowego rozsądku, zapewniam Cię! Każde z nas wybrało coś, co posłuży nam za inspirację kolekcji.

Mówiłam Ci już? Atelier Violi świętuje czterdzieste urodziny. Tym razem ma to być jej osobiste święto. Kameralne i bez zwyczajowego blichtru. Rezygnuje z Mediolanu i Mantui na rzecz weneckiego placyku na Dorsoduro, z daleka od głównych tras vaporetto i turystycznego zgiełku. Kilka małych restauracji i rodzinnych sklepików posłuży za naturalną scenografię wybiegu wplecionego we włoską codzienność jak ricciarelli i fragolino. To miasto ją ukształtowało, tutaj ma wielu przyjaciół. Lepszego miejsca na swój jubileusz nie mogła znaleźć. Na pamiątkę dostaniemy portfolio z całej pracy nad kolekcją, sygnowane pieczęcią pracowni, jako bilet wstępu na artystyczne szlaki, bez terminu ważności.

Po moich biszkopkach nie ma już śladu, ale dłonie wciąż pachną mi migdałami. Dla mnie dolci to są prawdziwe Włochy...

To prawda, że nie musimy tworzyć tego, co nam się sugeruje, narzuca, co się optaca, czego się pożąda... W jakiś sposób jednak steruje się naszym umysłem, twórczym procesem, mając, że tylko to jest sztuką, co odnosi sukces, najlepiej taki, o którym się mówi. Ilu jest wśród nas takich, którzy odhaczą wszystko z tej listy żądań i – doceniani – nadal pozostaną sobą? Wcale nierzadko bywa, że warsztat przestaje mieć znaczenie. Zaczyna liczyć się pomysł, obliczony na szokowanie odbiorcy i przekonanie go, że smakuje czegoś, co ma ponadczasową wartość. „Ubogacać sztuką” zaczyna zastępować termin: „zaskakiwać”, i to w tym gorszym znaczeniu. Jedno i drugie często kompletnie nie idzie w parze. My chcemy być wierni sobie

i odbiorcy. On coraz częściej jest jak rozkapryszone dziecko, płaczące z nudów w pokoju pełnym zabawek! Pojawiają się pytania: po co? dla kogo? jak? A razem z nimi frustracja, która bywa, że grzebie tę energię żywcem. Jeśli jeszcze pragniemy żyć ze sztuki, koło się zamyka.

Viola należy do tego grona artystów, którzy mają już to szczęście tworzyć bez frustracji. Ma również coś, do czego ja jeszcze nie doszłam. Dotarła do miejsca, w którym to ona wyznacza trendy i to ją się naśladuje. Stworzyła coś osobistego, niepowtarzalnego i uniwersalnego, łącząc w jedno tak dalekie od siebie kultury. Jest rozpoznawalna i może poszczycić się jakością. Ale pracowała na to niemal... pół wieku. Cechuje ją spokój spełnionego twórcy, znającego swoją cenę i wartość tego, co tworzy. Pozbyła się też tego dziewiczego wstydu, kiedy zaprasza do swojej intymnej przestrzeni obserwatora. Wszystko jedno, kim jest, odbiorcą czy uczniem. Ona już wie, że etap negacji i uplastyczniania jej artystycznych wyborów ma dawno za sobą. Otwiera szeroko drzwi i opowiada. My słuchamy, patrzymy jej na ręce i próbujemy zrozumieć. Lubię przyglądać się jej wyprostowanej sylwetce, kiedy do nas mówi, wyjaśnia coś czy wytyka błędy. Jest całkowicie niezależnym artystą, który z niczego nie musi się już tłumaczyć. Ta część życia odkryła przed nią swoją tajemnicę. Dzieli się nią z nami jeszcze z jednego powodu – to czas. Ma go coraz mniej. To też widać w jej oczach, kiedy z nostalgią w głosie wspomina początki szukania swojego sacrum w sztuce i w miłości. Im trudniej jej wstać od sztalu, im dłużej odpoczywa w swoim pokoju, tym głębiej patrzy nam w oczy. Próbuje zgadnąć, czy jesteśmy gotowi, czy chcemy spożytkować tę wiedzę w sposób, który pozwoli jej trwać nawet wtedy, kiedy sama tkanina się wydrze, postrzępi i zblaknie. Ten czas tutaj to ciągłość materii. Z tej podróży wracamy do domu, dźwigając dużo więcej niż pamiątki i zniszczone buty...

W modzie jest coś więcej niż tylko forma i kolor. Dochodzi jeszcze pierwiastek ludzki, który pozwala jej wtopić się w codzienność człowieka tak, że zaczynają istnieć w niezwyklej

symbiozie. Modę definiuje odbiorca, i to chyba w modzie właśnie ma on największe znaczenie. Natomiast sam zyskuje element własnej tożsamości, który staje się często kropką nad i w poszukiwaniu określenia siebie. Fascynująca zależność! Jeśli jeszcze dodać do tego całkowitą wolność, która dziś jej towarzyszy, to dochodzimy do momentu, kiedy słowa: „brak barier” nabierają całkiem nowego znaczenia.

Nie mogliśmy pojechać do Mediolanu, więc Mediolan zjawił się u nas – w postaci jednego z pierwszych uczniów Violi, których wypuściła spod swoich skrzydeł. Sisto od dziesięciu lat pracuje dla Moschino, tego Moschino! Od początku swojego istnienia ten dom mody budzi tyleż samo kontrowersji, co zachwyty. Muszę przyznać, że jego stylistykę omijałam zawsze szerokim łukiem, bo wyjątkowo daleko mu do mojej ulubionej klasyki. Ale może człowiek musi dorosnąć do pewnych rzeczy? I chyba właśnie doszłam do tego, żeby nie bronić się przed inspiracją, którą może być dosłownie wszystko. Że najgorsze, co może przytrafić się artyście, to ślepotą na jej bogactwa. Trzeba tylko umieć patrzeć i eksperymentować. Tworzyć wariacje na temat najprostszych rzeczy, mogących okazać się motywem przewodnim zaskakujących rozwiązań. Każdy detal w tej modowej stajni ma w swojej definicji swobodę i odwagę, bezkompromisowość i kreatywność. I funkcjonalność. Wymyka się schematom. O tak! Ale przynajmniej nie tkwi w szponach nudy, która jest wrogiem twórczego umysłu i początkiem artystycznego końca.

Podczas takich lekcji mam wrażenie, że zaczynam coś po raz kolejny. Zabieram się do pracy od nowa, wzbogacając ją o elementy codziennych podszeptów i podniet. Tak naprawdę wystarczy tylko szerzej otworzyć oczy i brać... Gauguin w poszukiwaniu swoich olśnień przeniósł się na Tahiti, a Monet do ukochanego wodnego ogrodu w Giverny. Ja czuję, że wystarczy mi nasz przydomowy sad. Chcę, żeby moje pędzle już zawsze mieszały się z dziecięcymi kredkami, żeby kolory moich farb spletały się z radością Twoją i dzieci, jak pory roku łączą się w jedno życie. Pragnę się starzeć, patrząc, jak gubią pisklęcy

puch. I wcale nie muszę daleko szukać właściwych odcieni. Już nie.

To już ostatnia prosta! I chwila oddechu, którą podarowała nam szefowa. Przystawką okazało się Sirmione – największa turystyczna atrakcja regionu położona nad jeziorem Garda, tłumnie odwiedzana również przez samych Włochów. Bardzo tłumnie! Dla mnie za bardzo. Wszechobecny ludzki ścisk dosłownie zagarnia jak morska fala w czasie odpływu. I hałas! Nie tylko na wąskich uliczkach, ale i nad samą wodą. Włosi, nawet odpoczywając, muszą mieć towarzystwo! Upalną część dnia przesiedziałam w miejscu prawie cudem wysuptanym z mnóstwa podobnych do siebie sklepików z pamiątkami, gdzie wypala się i oferuje ceramiczne cuda wykonane techniką rezerważu, która ma swoje korzenie w batikowaniu właśnie! Pierwsze batikowane w Europie tkaniny powstały wprawdzie w Amsterdamie, w sercu Holandii, ale w okresie międzywojennym jawańską techniką posługiwał się niemal cały Stary Kontynent, posilkując się jej zasadami nie tylko przy dekoracji tkanin, ale też drewna, metalu i właśnie ceramiki. Podobno opanowanie rezerważu na glinie po klasycznej szkole batikowania przychodzi już dużo łatwiej. Kiedyś to sprawdzę!

W Vigevano, w którym zakochałam się od pierwszego wejrzenia, nie było mowy o żadnym samowolnym oddaleniu się od grupy. Gdybym tak zrobiła, nie dowiedziałabym się, że miasto – od setek lat rozmiłowane w modzie – słynie z produkcji butów, którym poświęcone jest tutejsze muzeum; a przy prawdziwym włoskim espresso usłyszeliśmy od Violi historię wprowadzenia batiku do kreacji wieczorowych. Pierwszy był Paul Poiret, paryski projektant, który fascynował ją od samego początku, odkąd zetknęła się z modą i zdobieniem tkanin. Pochodził z rodziny handlarzy tekstyliami i od początku marzył o karierze projektanta. Jego pierwszym wielkim sukcesem okazał się projekt dla francuskiej aktorki Gabrielle Réjane, z malowanej ręcznie tkaniny. Potem były coraz śmielsze w krojach, połączeniach materiałów i kolorów stroje sceniczne.

A ponieważ suknie stawiał na równi z malarskim dziełem sztuki, w krótkim czasie on i kreowana przez niego moda stali się częścią artystycznego stylu życia Europy. Nie poprzestając tylko na projektowaniu ubiorów, Poiret założył również szkołę zdobnictwa, mecenasował młodym malarzom, a nawet zajmował się projektowaniem wnętrz. Był też pierwszym w historii krawcem, który wylansował swoje perfumy. Królował w modzie aż do wybuchu pierwszej wojny światowej, która zmusiła go do zamknięcia pracowni. Kiedy kilka lat później próbował wrócić do porzuconego zajęcia, nie potrafił już odnaleźć się w świecie szybkich zmian i nowych kobiecych potrzeb. Podobno w tamtym czasie spotkał gdzieś Coco Chanel ubraną w czarny kostium. Zapytał wtedy swoją ówczesną konkurentkę, po kim nosi żałobę. Odpowiedź miała brzmieć: po panu. Niedługo potem zlicytowano majątek i ogłoszono bankructwo Poireta, który zmarł w czterdziestym czwartym roku jako nędzarz... Po takiej dawce wiedzy doszłam do wniosku, że samotne wyprawy do serc włoskich miasteczek zostawię sobie na kiedy indziej. Może na rocznicę naszego ślubu? To już blisko przecież...

W Lodi prowadziła nas za rękę Ana, bo tam się urodziła, więc nie szukaliśmy innego przewodnika. Wycieczkę zakończyliśmy deserem, czyli Como leżącym nad jeziorem o tej samej nazwie, jednym z najgłębszych na naszym kontynencie. Kiedyś wypoczywali tu Napoleon i Juliusz Cezar, w końcu przyszedł czas i na nas! Odpoczynek był krótki, bo naszym punktem docelowym było fotograficzne studio przy Piazza Giuseppe Verdi. Tam powstały nasze portfolia, dzięki pracy wespół z makijażystami i stylistami. Mam teraz wrażenie, że całe moje dossier wciąż pachnie gorącym, dolinnym breva, focaccia al rosmarino i tartufi al cioccolato!

Moja suknia otwierała pokaz. Kolor skóry tutejszych modelek wyszlachetnił naszą pracę w niezwykły sposób. Tłem były papierowe lampiony, tematy z Pucciniego i zapach domowego pane. Bo taki właśnie charakter miał ten wieczór. Niecodzienny, ale z rysami każdego z nas. Ezoteryczny, choć osadzony mocno

w tym, co potrafią ludzka dłoń, wyobraźnia i wrażliwość. Dla Violi niósł z sobą coś jeszcze. Oddała nam swój pierwiastek, a tego dnia utwierdziłmi ją w przekonaniu, że potrafimy go mnożyć... Teraz niech odkrywa go ktoś inny, kto w szarości, jednostajności i banalności życia pragnie dostrzec coś więcej. Bo jest w nim coś więcej.

Legenda ze Wschodu, na którą tu trafiłam, opowiada o wędrowcu wrzuconym do studni solnej. On odkrywa w niej podziemny pałac pełen dziewczic, ogrodów i drzew owocowych i żyje tam szczęśliwie dwanaście lat. Aż do dnia, kiedy otwiera małe, zapomniane drzwi prowadzące go do jeszcze piękniejszego pałacu... Kiedy dotarłam do niej, pomyślałam o sobie. To ja jestem tym wędrowcem, Kosma. Tym, który dotykał cudów życia w każdej możliwej postaci. Który przemierzał pokój za pokojem, wzbogacając się o zachwyty, doświadczenia, zdolności. Nie brakowało mi niczego, co dla większości nie jest niczym innym jak szczęściem. Nie dostrzegłabym tych skromnych drzwi, gdyby wszystkie wokół były takie same, nie pragnęłabym ich dotknąć, gdybym nie była na to przygotowana i nie uwiódłby mnie widok za nimi, gdybym nie miała go do czego porównać. Dostałam czas, żeby nauczyć się świata i ludzi, a potem żeby poznać i siebie; nie tylko to, co zaspokaja każdy mój głód. Jestem pewna, że gdybym zapukała do nich wcześniej, nikt by mi nie otworzył, nawet gdybym szarpała za klamkę. Ale w końcu puściły... Nie ma tam tylu skarbów, że trzeba mrużyć oczy od ich blasku, nie ma wielkich uniesień, gotowych rozwiązań ani porządnego bruku. Są ręce brudne od pracy, zgięty kark i oczy przekrwione od nieprzespanych nocy. Ale do tych drzwi pasuje mój klucz. Jest taki sam jak Twój, ze wszystkimi wygięciami i skazami. Taki sam.

To był ten dzień, kiedy obydwie dziewczynki złapały zapalenie ucha. Pamiętasz, prawda? Mielśmy pójść całą czwórka. To mnie cieszyło, ta nasza wspólna wyprawa; ciut mniej, że wybieramy się na mój wernisaż. Ale kto by w to uwierzył? Kłóciłeś się ze mną, że sobie poradzisz. Że to przecież Sadyba, a nie nasz

koniec świata, i że mają tylko trzydzieści osiem i sześć. Prawie wypchnąłeś mnie za drzwi, przyjrzawszy się wcześniej, jak poprawiam włosy i makijażem próbuję przykryć cienie pod oczami po nieprzespanej nocy. Wieczorem myślałeś, że milczę, bo martwi mnie spadek gorączki tylko o trzy kreski.

Ten ktoś podszedł do mnie chwilę po otwarciu wystawy. Z kieliszkiem w dłoni. Uśmiechałam się, spodziewając się gratulacji. „Brak warsztatu, brak stylu, połączenia barw wiejące nudą i całkowity brak profesjonalizmu. Żałosna próba nadania jakości miernocie...” Kimkolwiek był, mówił to tak pewnie, że zmartwiałam. Kieliszek palił mnie w dłonie, a szpilki w stopy. Chciałam uciec. Dlatego wróciłam tak wcześnie, choć już dawno nie usłyszałam tylu miłych słów, ile tamtego wieczoru. Które z nich były szczerze? Patrzyłam tym wszystkim ludziom w oczy i zastanawiałam się, kto z nich mówi prawdę, a kto tylko to, co chcę usłyszeć. Może szczerze mówił tylko ten obcy człowiek, który nie miał żadnego interesu w tym, żeby karmić mnie pochlebstwami. Może ja sama dawno temu uwierzyłam w swój talent i wszystkim dookoła umiejętnie wmówiłam, że go mam? A oni przysli tu, żeby nie wyprowadzać mnie z błędu; tylko dlatego, że mnie lubią? To nawet byłoby miłe! Ale wołałabym, żeby przysli, bo dają im coś więcej niż tylko swój czas i uwagę.

Jeszcze nigdy tak mocno jak wtedy nie wątpiłam, że jestem właściwą osobą na właściwym miejscu. I po raz pierwszy tak wyraźnie usłyszałam w swojej głowie: te długie godziny, dni, miesiące spędzone przy sztalugach, z rękami brudnymi od farb, były straconym, nikomu niepotrzebnym czasem, który kradłam najbliższemu. Aż tak jestem zapatrzona w siebie, że tego nie dostrzegłam? Patrzyłam na obrazy i widziałam tylko to, co mogłam zrobić lepiej. Widziałam niedociągnięcia, niestaranności... Żeby chwilę później w tych uchybieniach i gwałtownych pociągnięciach pędzla przypomnieć sobie lepsze i gorsze dni, których te kreski były zapisem. Zadałam sobie wtedy pytanie: czy było warto? A zaraz potem drugie, wcale nie łatwiejsze: czy jestem tutaj, bo to ja tego potrzebuję? A jeśli inni

mają taką samą potrzebę i tylko nie potrafią jej wyartykułować, wypuścić na wolność? A to, co robię, jest dla nich jak odczytanie ich myśli, zrozumienie ich? Nie za każdą cenę – tak brzmiała odpowiedź. Dlatego wróciłam wcześniej i czuwałam przy dzieciach do rana. Robiłam to cicho, żeby Cię nie obudzić.

Postępuj... Coś takiego jak pogodzenie kariery z macierzyństwem nie istnieje. To mit! Sztuczny twór spreparowany na potrzeby współczesności ogłupiałej mnogością dóbr. Jedno i drugie można upchnąć w grafiku. Ale co z tego? I tak zawsze któreś ucierpi. Zawsze. Czasami pojawia się szansa, żeby zrobić z nim porządek. Ja dostałam podwójną. My! Musielibyśmy być głupcami, żeby ją zlekceważyć. Z punktu widzenia praw fizyki czas, który w okolicach pięćdziesiątki kosmicznie przyspiesza, to absurd. Ale ci, którzy tak twierdzą, mają rację. Niestety... Ja ten moment przyspieszenia rejestruję codziennie szóstym zmysłem. Pięcioma pierwszymi również, kiedy omijam wieszaki z rozmiarem trzydzieści sześć i lustro w łazience! Jednak bardziej niż kontemplowanie wpływu grawitacji na moją pupę zajmuje mnie liczba książek, o których istnieniu nic jeszcze nie wiem, i kolejne dni liczone centymetrami rosnących szybko stópek. Natomiast ogólna teoria względności ma dla mnie znaczenie tylko w takim kontekście: gdy myślę, że teraz czas mógłby się zatrzymać. Przynajmniej na jakiś... czas.

Ale czasami... Czasami czuję, że przegrywam. Mam wtedy wrażenie, że coś na mnie runie i pogrzebie mnie w jednej chwili, bez szansy na ostatni oddech. Dlaczego wciąż przeszywa mnie ten dreszcz chłodu? Przecież jesteś! Ty i wszystkie moje zdrowe dzieci. Nie potrzeba mi niczego więcej. Więc dlaczego? Spłacam dług? Za miłość?

Mój mediolański kontrakt – na taką propozycję wielu artystów czeka latami. Nie przedłużyłam go. Przebukowałam bilet. Wracam do domu.

szept
twojego westchnienia
śni na moich wargach
rozpoznaję go
wśród tysięcy innych
zasypiam
kołysany jego rytmem
wibrującym
w palcach
naszych splecionych dłoni

ROZDZIAŁ TRZECI

Z przyjemnością rozejrzała się po znajomym wnętrzu. Dyskretna obsługa i doskonałe słodkości. Spotykali się w tym miejscu w przerwach między wykładami ojca, historyka sztuki na krakowskim UJ, zanim rodzinne miasto zamieniła na stolicę. Rozsiedli się wygodnie w oczekiwaniu na zamówienie. Każde jej odwiedziny w Krakowie celebrowali w podobny sposób; kawiarenka była ich swoistym łącznikiem z przeszłością, do której obydwójce lubili wracać.

- Zarezerwuj dwa bilety. Będziemy tylko we dwoje, jak kiedyś.
- Uśmiechnęła się.
- Będę cię miał na wyłączność?
- Tak, tato. Cieszysz się?

Pamiętała, jak ojciec przygaśł, kiedy powiedziała mu, że złożyła papiery na kulturoznawstwo, ale w Warszawie. Miał ją tylko jedną. Odkąd skończyła trzy lata, wychowywał ją sam. Na córkę przelał całe swoje uczucie, którego nie mógł już dzielić ze zmarłą nagle żoną. Ona zaś nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek przyszło jej do głowy powiedzieć mu: czegoś mi brakuje, tato. Nie miała takiej potrzeby. A jednak zamieniła tę

enklawę na pierwszą dorosłą miłość, która pognała ją gdzieś dalej. Zrozumiał. Za drugą poniosło ją nawet na południe Europy. Był starszym o kilka lat Andaluzyjczykiem i terminował w zakładzie jubilerskim należącym do wieloletniego przyjaciela ich rodziny, właściciela sklepiku w sercu Granady, gdzie co roku gościli. Dla tej znajomości wzięła roczną dziekanę, przedłużając sobie w ten sposób wakacje, z których ojciec wrócił do Krakowa sam. Z tamtej podróży wyniosła też umiejętność obsługi kilku restauracyjnych stolików naraz, z wdziękiem i uprzejmym uśmiechem na twarzy. Dorabiała i szlifowała hiszpański. Wchodził jej do głowy tak szybko, jak kroki flamenco, których całkowicie bezpłatnie uczył jej przyszły złotnik. No, może nie całkiem bezpłatnie...

Raz w tygodniu zabierał ją w miejsce, gdzie odreagowywał całe napięcie tanecznego show, którym zarabiał na życie. Było tam widać Europę w pigułce bardziej niż gdziekolwiek indziej. Muzycznie również, a na pewno tanecznie. Na parkiecie klubu królował dancehall, ale o palmę pierwszeństwa musiał walczyć z Mateem. O ile flamenco wciąż jeszcze ją onieśmiało, o tyle taniec nowoczesny całkowicie naturalnie zmuszał ją do improwizacji, której poddawała się bez zahamowań, z codziennie nową dawką endorfin magazynowanych tak w dzień, jak i w nocy. Zanim jej nauczyciel zdążył skupić się na nowej uczennicy, wróciła do Warszawy, z kiełkującym jeszcze w samolocie pomysłem na taneczny biznes.

Zdecydowała się zamienić dzienny tryb studiów na zaoczny. Znalazła całkiem dobrze płatną pracę w dość ruchliwej śródmiejskiej kafejce i pieczołowicie odkładała z pensji, co tylko się dało, rozglądając się za odpowiednim miejscem, które nie pogrzebałoby jej finansowo na starcie. Skorzystała z unijnego dobrodziejstwa w postaci dotacji dla zakładających po raz pierwszy własną działalność. Potrzebowała też wspólnika, w biznesplanie nijak nie dało się go obejść.

Postawiła na pracę z dziećmi. I miała nosa. Były wdzięcznym –

w podwójnym tego słowa znaczeniu – i wprost idealnym materiałem do artystycznej obróbki. Konstatowała często, że pracując w ten sposób, nie czuje na sobie jakiegoś wyjątkowego ciężaru niemożliwej misji, a jedynie radość i mnóstwo energii, której poziom rósł, ilekroć obserwowała postępy u swoich podopiecznych, ich roześmiane buzie i aprobatę w oczach ich rodziców.

Planowana wspólnie z ojcem podróż była jej pierwszym od trzech lat prawdziwym urlopem. Jeszcze wiele razy później zastanawiała się, jak to się stało, że zaufała komuś, kto tak łatwo wyprowadził ją w pole. Janek, jej współnik, skądinąd doskonały tancerz, okazał się utalentowany również w dziedzinie szemranych interesów. Zanim to do niej boleśnie dotarło, zdążyła powierzyć mu finanse szkoły, sama zaś skupiła się na dopilnowaniu przestrzeni, w której codziennie poruszały się dzieci, na jej atrakcyjności i bezpieczeństwie. Sobie przydzieliła też wszystkie sprawy dotyczące zajęć i postępów maluchów, a więc i codzienny kontakt z rodzicami małych tancerzy.

Za resztkę swoich skromnych oszczędności zdążyła opłacić zaległe rachunki za prąd, zanim go odcięto. Obrotnego kolegi po fachu nie udało jej się namierzyć na czas. Zniknął tak szybko, jak się wcześniej pojawił, z pieniędzmi za dziesięciomiesięczny czynsz. Jakiś czas później dowiedziała się, że nie tylko ją oszukał w ten sposób. Zanim wpadł, zdążył omamić swoim profesjonalizmem i fantastycznym podejściem do dzieci kilka szkół tańca w Trójmieście, Szczecinie i Wrocławiu.

Przez kolejne trzy lata spłacała dług właścicielowi budynku – uprosiwszy go uprzednio, żeby przedłużył jej okres korzystania z lokalu – pracując dłużej, również w weekendy. Przyzwyczyła się do tych czterech kolorowych ścian i zdążyła zżyć się z maluchami, dla których była kochaną panią. Zawalczyła o klub siłą rozpędu, wykorzystując instynktownie pokłady złości, których miała w nadmiarze po tym przykrym

doświadczeniu.

Kiedy w końcu z obliczeń wynikało, że wreszcie jest na plusie, odtańczyła taniec radości na środku swojej wynajętej kawalerki, ze swoistym rodzajem satysfakcji. To doświadczenie nauczyło ją daleko idącej ostrożności, dzięki której udało jej się zatrudnić później kogoś pewniejszego, tym razem z polecenia, a nie z pechowej łapanki. Sama się sobie dziwiła, że nie zwariowała przez ten czas, prawie w ogóle nie odpoczywając. Że spóźniła się na zajęcia tylko raz, i to tylko dlatego, że złamała klucz w zamku, przekręcając go w pośpiechu, a potem długą godzinę czekała na ślusarza.

Może czuła się ostatnio trochę bardziej zmęczona, ale nie na tyle, żeby narzekać. I żeby odmówić sobie odrobiny przyjemności, do których zaliczała czas spędzony z ojcem.

– Nie możesz zostać jeszcze jeden dzień? – Profesor Adam Stawski spojrzał na córkę znad pachnącego kawałka sernika.

– Nie, tato! – Oblizła dokładnie swoją łyżeczkę i położyła ją na spodeczku od filiżanki. – Przepraszam cię, ale muszę się porządnie wyspać. Zanim wyjadę z miasta, zacznie się ściemniać – dodała z westchnieniem. – Jutro mam ostatnie zajęcia przed konkursem. To tylko rywalizacja szkółek z dzielnicy, ale dla tych dzieciaków to wielkie wydarzenie. Są podekscytowane jak przed występem w *You Can Dance!* – Uśmiechnęła się na myśl o swoich podopiecznych. – Za dwa tygodnie mam warsztat w Hucie; jednodniowy. Wtedy możemy się spotkać. I w zasadzie wtedy będę już wolna. Jeśli do tego czasu uda ci się kupić bilety, mogę spakować większą walizkę i nie wracać do Warszawy – dokończyła, szukając portfela w torebce.

– Zapłacę, córeczko. – Pan Stawski podniósł rękę, żeby przywołać kelnera. – Polecimy jak zwykle z Wrocławia, rozglądałem się już.

– Już się nie mogę doczekać! – Cieszyła się jak kiedyś, kiedy

jedynym zmartwieniem było to, że lalka i dwa misie nie mieszczą się w bagażu podręcznym.

– Nie potrzebujesz niczego?

Podziękowała ojcu uśmiechem. Kiedy została z długami za klub, po raz pierwszy, odkąd się usamodzieliła, poprosiła ojca o pomoc finansową. Dzięki niemu mogła przez jakiś czas smarować kanapki czymś więcej niż dżemem.

– Dziękuję, naprawdę. Jestem na czysto od dwóch miesięcy – powiedziała z ulgą i z nieskrywaną satysfakcją. – Złapali drania... ale pieniędzy nie odzyskam.

– Wiedziałem, że sobie poradzisz. – Profesor odczytał wysokość rachunku przyniesionego przez kelnera i odwzajemnił uśmiech córki.

– Też cię kocham, tatusiu. – Cmoknęła go w szorstki policzek. – Ale jeśli teraz ktoś wejdzie mi w drogę... Wyostrzyły mi się zęby!
– Zaśmiała się głośno, pokazując w uśmiechu swoją śnieżnobiałą broń. – Będę gryźć.

Na kilka dni przed warsztatami musiała powalczyć z przedłużającym się osłabieniem. Łączyła je z wcześniejszym ostrym przeziębieniem, którego – trzeba przyznać – uczciwie nie wyleżała. Musiało się na niej zemścić chodzenie do pracy z bólem głowy i stanem podgorączkowym. Przysięgła sobie solennie, że już nigdy nie przedłoży pracy nad własne zdrowie. Dobra forma wróciła dosłownie w ostatniej chwili przed wyjazdem. Nie mniej uwagi niż przygotowaniu się do tej muzycznej dawki pozytywnych wibracji poświęciła niewielkiej walizce, do której oprócz sportowego obuwia i lekkiego dresu do tańca wrzuciła kilka letnich sukienek i olejek do opalania z wysoką ochroną. Po swoich gościnnych występach w Hucie nie planowała już wracać do Warszawy. Postanowiła wykorzystać ten czas, żeby poszwendać się spokojnie po znajomych zaułkach i odwiedzić wreszcie ciotkę Zofię, ukochaną siostrę profesora Stawskiego. Starsza pani po

przedwczesnej śmierci swojej bratowej matkowała dziewczynie z oddaniem, chociaż sama miała na głowie własne, niemałe stadko. Składało się ono z czterech urwisów, później mężczyzn, którzy czuli się w prawdziwym obowiązku nauczyć swoją najmłodszą siostrzyczkę wszystkiego, co ich zdaniem powinna umieć każda kobieta. Z czasem okazało się, że dziewczyna lepiej radzi sobie z wymianą zużytej uszczelki w kranie czy naprawą roweru niż z pieczeniem pasztetów, serników i wiosennymi porządkami. Zawsze miała za to obstawę w nocnych klubach, rzadziej chłopaka, bo potencjalni kandydaci w jej opiekunach widzieli tylko wianuszek wielbicieli.

Lata spędzone w domu ciotki mieszkającej ze swoją rodziną drzwi w drzwi ich mieszkania na krakowskim Kazimierzu były czasem beztroskiego dzieciństwa, do którego razem z braćmi wracała chętnie we wspomnieniach podczas rodzinnych spotkań. Na znajomych skwerach, w tak dobrze znanym zgiełku, zamierzała pozytywnie nastroić się przed wycieczką na południe. Może nawet zainwestuje w siebie trochę więcej i dorzuci do walizki coś seksownego? To był dobry plan.

Uwielbiała ten moment, kiedy po zejściu na płytę lotniska musiała szybko nałożyć przeciwsłoneczne okulary i mogła wciągnąć głęboko do płuc gorące powietrze ciężkie od południowych zapachów. Czuła wtedy, jakby ktoś podał jej dożylnie solidną dawkę endorfin. Tym razem jechali bez jakiegoś konkretnego planu. Mieli zamiar po prostu przyjemnie wykorzystać te kilka dni, bez narzucania sobie wzajemnie jakiegoś sztywnego scenariusza. Czuła się bezpiecznie, szczęśliwa z powodu wyjątkowego towarzystwa w miejscu, w którym była jak dzieciak w sklepie z zabawkami. Wystarczyło tylko wyciągnąć ręce i sięgnąć...

Pierwszego wieczoru nie dane im było wyspać się po podróży. Trafili na wielkie rodzinne święto u gościnnych przyjaciół ojca. Stary złotnik w gronie najbliższych celebrował fakt zostania dziadkiem po raz siódmy. Wyjątkowa atmosfera tej uroczystości

towarzyszyła im aż do końca pobytu w Andaluzji. Pikantna mieszanka przeróżnych rytmów rozbrzmiewających w nocnych klubach, rozrzuconych gęstą siecią po całym mieście, kusila turystów, ale przecież ona nie po to leciała taki kawał świata, żeby mijać się z ojcem tylko w drzwiach łazienki. Po późnych śniadaniach delektowali się więc kawą w granadyjskich kafejkach, myszkowali po antykwariatach w poszukiwaniu perełek, które pyszniły się prawie na każdej półce wewnątrz pachnących przeszłością. Pan Stawski celował w albumy ze zdjęciami biżuterii pochodzącej z czasów świetności Nasrydów. Jego córce wystarczył sam fakt buszowania po sklepach. Przebywanie w tym innym świecie pozwalało w zupełności odetchnąć jej umysłowi i przygotować sobie przestrzeń do rozwinięcia skrzydeł. A raczej do poderwania ich. I to w dosłownym znaczeniu.

Po raz setny próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nie przyszło jej do głowy, żeby tutaj osiaść. Granada była prawie jej drugim domem. Warszawę znała dużo mniej niż tę perłę w koronie światowej architektury. Tu fascynowało ją wszystko: kolorowy tłum, życie tętniące na najmniejszym skwerze, możliwości, inspiracje wpadające w ramiona prawie na każdym rogu, rozbudzające zmysły ciepło, zapachy i smaki potęgujące chęć poznania wszystkiego, co jeszcze ukrywało przed nią to miasto zagadka, miasto – tygiel ludzkich dążeń, umiejętności i uporu w pokonywaniu własnych ograniczeń. Ale nie myślała o nim jak o nowym domu z pewnością nie dlatego, że było jednym z najbardziej zanieczyszczonych miast Europy, ale przede wszystkim dlatego, że jego uroda gasła w blasku rodziny, którą musiała mieć gdzieś w zasięgu ręki. Nawet tak gorące miasto jak to nie byłoby w stanie ogrzać smutku, jaki zapewne by poczuła, gdyby na prawdziwą polską szarlotkę musiała gnać przez pół kontynentu. Ta bajadera kultur aż tyle nie była warta...

– Odżyłaś, skarbie – przerwał jej wtedy podróżnicze rozważania ojciec.

Długi potrafią być ciężkie jak kłamstwo. Teraz czuła się lekka jak nigdy.

– Dobrze widzieć cię wreszcie z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Mhmmm... – Pstryknęła telefonem zdjęcie jednej z uliczek Sacromonte, którą się właśnie przechadzali.

– Co planujesz latem?

– No, aż tak dobrze jeszcze nie jest, żebym mogła zamknąć drzwi klubu na całe wakacje. Część dzieci zostanie w mieście. Będzie dużo mniejszy ruch, ale to mi pozwoli zebrać siły przed jesiennym sezonem. Praca z dziećmi to prawdziwy poligon!

– Czasem nawet regularna wojna! – dorzucił profesor, przecierając dłonią spocony kark.

Spojrzała na ojca i obydwójce roześmiali się głośno.

– Nie masz ich jeszcze dość? – zapytał z ciekawością.

– Pytaj mnie, a ja ciebie! Pewnie, że mam – pośpieszyła z odpowiedzią. – Ale satysfakcję mam równie dużą. Chociaż są chwile, kiedy wróciłabym za... bar.

– Naprawdę?! – Na twarzy profesora Stawskiego oprócz wyraźnego zmęczenia upałem malowało się zdumienie.

– Ale tylko swojej knajpy, tato. Kiedy już raz zostajesz kapitanem, zawsze będzie cię korcić, żeby ster był w zasięgu rąk. Tyle że gastronomia to jeden z pierwszych interesów na liście tych, na których można połamać sobie zęby, do korzeni!

– Ale nie wszyscy przegrywają, córeczko.

– Zapamiętam to sobie, tato, jako motto naszej podróży. – Uśmiechnęła się do ojca.

– Dorzucimy jeszcze do tego kilka nowych smaków – dodał profesor. Zatrzymali się przed niewielką restauracją, która w jednej chwili wzięła we władanie ich wszystkie kubki smakowe.

– *Patatas bravas* i podwójne *gaspacho*? – zaproponowała szybko.

– Zmieścisz też *crema catalana*?

Ależ miała apetyt... Na życie – szczególnie.

Zamknęła drzwi i postawiła walizkę pod ścianą. Była zmęczona lotem i podróżą z Wrocławia do Warszawy; marzyła już tylko o kąpielu i spokoju w swojej pachnącej pościeli. Rozebrała się szybko i weszła pod prysznic. Ciepłe strumienie wody rozluźniały napięte ze zmęczenia mięśnie. Wróciła myślami do zgiełku Granady. Czuła, jak skumulowane w skórze całe ciepło tych paru dni rozprzestrzenia się przyjemną falą od czubka głowy do koniuszków palców. Pomyślała sobie, że nabrała wystarczająco wiatru w żagle, żeby powrócić do kontynuowania czegoś, co przez ostatnie trzy lata musiała odłożyć na półkę. Przysłowiowy ster, który przewinął się podczas jej rozmowy z ojcem, nie miał li tylko symbolicznego znaczenia.

Od dziecka marzyła, żeby dźwżyć w swoich dłoniach prawdziwy wolant. Miłość do tańca, a właściwie do energii, jaką wyzwalał, razem z perswazjami ojca, zaniepokojonego marzeniami jedynej córki, nie były w stanie zupełnie ostudzić jej lotniczych zapaleń. Odwiesiła je tylko chwilowo na wieszak tak, żeby ojciec tego nie zauważył, a ona nie musiała patrzeć na jego lęk o swoje bezpieczeństwo. Pamiętała, jak niemal z dnia na dzień skurczył się w sobie, kiedy jeszcze na długo przed maturą zakomunikowała mu, że chce latać. Po kilku ostrych wymianach zdań i po tym, jak ojciec na długie tygodnie odplłynął myślami gdzieś daleko od niej, skapitulowała. Poszła na miłe sercu ojca kulturoznawstwo, a szukaniem wrażeń, czasem w męskich ramionach, próbowała zamknąć usta pragnieniu, które w końcu musiało dojść do głosu. Podczas finansowej bessy, w którą dała się wciągnąć Jankowi,

pozostawało jednak w postaci powracającej uparcie fatamorgany. Do teraz.

Miała poczucie, że wreszcie ma przed sobą nieograniczoną przestrzeń, z dobrą pogodą, która ma szansę utrzymać się naprawdę długo.

Wtarła w skórę chłodzący kremowy mus o zapachu mango, umyła zęby, a zaraz potem wyszczotkowała włosy. Położyła odrobinę wazeliny na spierzchnięte od słonej wody usta i narzuciła na nieco lepkie ciało cienką bawełnianą piżamę. Ze szklanką świeżo wyciśniętego soku z marchwi i selera usiadła na sofie. Aromat i smak warzyw uprzyjemniały relaks, jaki zafundowała sobie na dobranoc. Zanim zdecydowała się położyć, uruchomiła laptopa i w wyszukiwarce wpisała adres strony internetowej zapisany w notesie sprzed kilku lat. Postanowiła zweryfikować i uaktualnić dane z notatnika. Pod literką „P” zanotowała: PPL{A}, z trzema wykrzyknikami. Pod skrótem pogrubiała każdą literkę kolejnych wyrazów: Ventum Air Flight Academy, Kaliskiego 57.

Kolejny dzień poświęciła na prześwietlenie wydatków klubu. Koszty systematycznie rosły, a i Olkowi należała się podwyżka. Zasługiwał na nią. Nie mogła nie docenić jego zaangażowania w pracę i profesjonalizmu. Ze skrupulatnych obliczeń wyszło jej, że ten konieczny manewr nie zachwieje jednak finansową kondycją szkółki. Było dobrze. W lokalu, który wynajmowała, nie szykowały się żadne większe naprawy, nie miała też zaległych płatności, za to więcej chętnych na zajęcia po ostatnim małym sukcesie klubu w rywalizacji, w której znalazła się razem z dziećmi w finałowej trójce. Wreszcie będzie mogła latać częściej, a dokładniej mówiąc – od nowa, bo tych kilka lotów, na które udało jej się wygospodarować pieniądze przez ostatnie trzy lata, nie wystarczyło, żeby zaspokoić jej ogromny apetyt na ten rodzaj wrażeń. Poczowała podniecenie, które przez

tyle miesięcy musiała od siebie odpychać. Znowu doświadczy przyjemnego dreszczu napięcia, kiedy założy słuchawki na uszy, wprawi w ruch śmigło diamonda DV20 i poczuje na dłoniach delikatny opór drążka sterowniczego, gdy będzie podrywać maszynę do lotu! Odetchnęła głęboko, jakby już była w górze i obserwowała kwadraty pól oraz wstążki ulic, malejące z każdą chwilą, im wyżej się wznosiła. Uśmiechnęła się sama do siebie, pozwalając swobodnie opaść głowie na oparcie kanapy.

Nie przyznała się ojcu, kiedy kilka lat temu rozpoczęła przygotowania do zaliczenia lotniczej teorii. O swojej decyzji powiedziała mu dopiero po kilku pierwszych lekcjach w powietrzu, podczas których ostatecznie upewniła się, że chce kontynuować tę pasję. Odniosła wtedy silne wrażenie, że ojciec nie jest zdziwiony tym, co z rodzajem jakiejś niepewności w głosie mu zakomunikowała. Jakby zdawał sobie sprawę, że ten moment musi kiedyś nadejść, a on powinien być na to przygotowany. Mogłaby przysiąc, że słyszy nawet nutkę dumy w jego głosie, kiedy pytał ją o szczegóły kursu i wrażenia z pierwszych zajęć. To wtedy właśnie pomyślała sobie, że ma najlepszego ojca na świecie, a każdy kolejny krok w chmury, jaki przyszło jej później robić, był pewniejszy i coraz śmielszy. Profesor Stawski towarzyszył jej podczas egzaminów państwowych i to z nim świętowała pozytywny wynik jego praktycznej części. Chyba jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa jak wtedy, i wdzięczna, że ojciec tę radość dostrzega i rozumie. Kiedyś to ona zaprosi go do kokpitu, pomoże zapiąć pasy bezpieczeństwa w fotelu pasażera i opowie mu świat swoimi oczami. Czowała, że będzie chciał słuchać z wypiekami na twarzy.

Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, co w jakikolwiek sposób zachwieje jej budżetem, będzie mogła sobie pozwolić na kilka godzin w powietrzu bez specjalnych wyrzeczeń, które w nieprzyjemny sposób odbiłyby się na jej codziennym trybie życia. Pokiwała głową, w duchu przyznając sobie rację, i zamknęła notatnik z rachunkami.

„Kino?”

„Nie dziś”. Przerzucała się krótkimi esemesami z Zużą.

„Spuchłam niemiłosiernie i straszę”.

Rzeczywiście, po niefortunnym upadku na ruchomych schodach w centrum handlowym wyglądała koszmarnie. Zupełnie nie wiedziała, jak to się stało, że się potknęła i z całym impetem runęła do przodu. Rozcięła wargę, lądując na czyimś łokciu. Kiedy upadała, modliła się w duchu, żeby nie powybijać sobie zębów. Na szczęście nie ucierpiały, ale nie obyło się bez paru szwów na najbliższym pogotowiu. Teraz siniaki na jej twarzy zmieniały kolory z godziny na godzinę. Żadnego jednak nie dało się przykryć makijażem. Zdecydowała, że przez kilka dni będzie wystarczającym widowiskiem w pracy. Skupianie na sobie uwagi na ulicy czy w kafejce wolała sobie zostawić na inne okazje.

„W takim razie: beza, czekolada z orzechami i Julianne Moore”.

„Nie odmówię” – odpisała szybko.

Telefon piknął dodatkową wiadomością. „A może »Lot« z Washingtonem?”

Uśmiechnęła się do literek na telefonicznym wyświetlaczu.

„Wchodzę w to!” Dotknęła palcem ikonki z mrugającym okiem.

„Siedemnasta!”

Dobrze było mieć przy sobie kogoś takiego jak Zuza. Studiowały na tej samej uczelni, wspólnie stawiały też pierwsze kelnerskie kroki w Żółtej Cizemce. Dziś wprawdzie każda z nich miała swoje życie, wciąż jednak trzymały się razem, niezależnie od tego, z czym akurat musiały się mierzyć w nie najłatwiejszej rzeczywistości wielkiego miasta. Nie obawiając się, że przyjaciółka wpadnie na babski wieczór nieprzygotowana, Stawska darowała sobie przeglądanie filmowych propozycji Netflix'a i zajrzała do kuchni. Na główne danie podałyby...

Zanurkowała do lodówki.

Usiadła przy biurku. Powoli sączyła szpinakowo-pomarańczowy koktajl, przygotowany przed wyjściem z domu. Działał na nią lepiej niż kubek kawy; praca z dziećmi wymagała energii ze wszystkich możliwych źródeł...

Wróciła do przerwanej pracy. Zdecydowanym ruchem odstawiła na bok pustą szklankę i przysunęła bliżej laptopa. Zjawiała się dziś w klubie na długo przed rozpoczęciem zajęć, żeby uporządkować rachunki. Właśnie robiła ostatni przelew, kiedy usłyszała głosy pierwszych dzieciaków. Jak mogła się tylko domyślić po energicznym tupocie małych stóp, dziś we wszystkich lustrach, którymi wyłożone były ściany szkółki, będzie drgał muzyczną energią prawdziwy tłum. Na kilka minut przed rozpoczęciem lekcji z przedpołudniowej grupy maluchów nie brakowało nikogo.

– A wy co tam chowacie, bąble? – Podeszła do bliźniaczek, jednych z najmłodszych dzieci w swoich grupach. Dziewczynki, zawsze radosne i trzymające się razem, dziś również wspólnie przyglądały się swojej trenerce z zagadkowym uśmiechem na drobnych buziach, próbując coś ukryć za plecami.

– Bo mój tata mówi, że... – Halszka wysunęła się o cal przed siostrę. A może to była Róża? Wciąż miała problem z rozróżnianiem dziewczynek; bliźniaczki zjawiały się w klubie na tyle rzadko, że różnice w ich wyglądzie nie zawsze jeszcze trafnie łączyła z imionami.

– Mój tata też tak mówi. – Różanka wyraźnie również chciała mieć swój udział w dyskusji.

– Co mówi wasz tata? – Przykucnęła obok dzieci, próbując naprowadzić siostry na właściwą formę wypowiedzi i zerkając jednocześnie w okolicę odtwarzacza, przy którym robiło się

niepokojąco gęsto.

– Nasz tata mówi, że jak się kogoś lubi, to mu się dużo rysuje!
– Halszka z dumą wyprostowała się przed swoją nauczycielką.

– Nie! – Jej siostra zareagowała natychmiast.

– Tak! – Mała tupnęła nogą i zmarszczyła gniewnie nosek.

– Można rysować, można lepić... można... – tłumaczyła Róża, pomagając sobie rączką i kręcąc nią młynki w powietrzu. – Prezent można też dać!

Halszka wreszcie przytaknęła sobie i siostrze. Nachyliła się do ucha Różanki i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– No, daj...

Druga dziewczynka zamasyście wyciągnęła zza pleców kolorową kartkę papieru i podała ją Izie, wyciągając mocno dłoń w jej kierunku.

– Prezent? Dla mnie?! – Instruktorka była zdziwiona i wzruszona jednocześnie. Radosne piski i uśmiechy podopiecznych to było coś zupełnie innego niż prawdziwy podarunek. Wzięła rysunek z rączki dziewczynki i spojrzała na niego zaintrygowana. W kolorowych liniach i plamach doszukała się wizerunków kilku postaci.

– Opowiedzcie mi, kto jest na tym rysunku? – Zachęciła dziewczynki uśmiechem.

– Babcia, dziadzio, tata, Helmut... – zaczęła wyliczać Różanka.

– Różyczka, ja i mama. – Halszka stała ramię w ramię z siostrą.

– Mama ma ogromną walizkę! – W nieporadnych kreskach Iza próbowała rozpoznać kobiecą postać.

– Mama jest w dalekiej podróży. – Jedna z bliźniaczek natychmiast zaspokoili jej ciekawość. – I musi mieć wszystko do ręki.

– Musi mieć wszystko pod ręką? – poprawiła małą instynktownie.

– Tak – potwierdziła dziewczynka z poważną miną. – Tak mówi tata.

Róża przytaknęła siostrze, kiwając energicznie główką.

– Oprawię wasz rysunek w ramki i powieszę na ścianie. Jest piękny.

– Jak obraz? – dopytywała Halszka.

– Tak, jak obraz. I powiedzcie tacie...

Głośny pisk dochodzący z rogu sali poderwał ją na równe nogi. Nie tylko tę dwójkę musiała mieć na oku.

– Zaczynamy zajęcia! – głośno przywołała dzieci do porządku.
– A wam jeszcze raz dziękuję. – Odwróciła się do dziewczynek. – Tańczymy?!

Właśnie dostała zastrzyk energii o dużo większej sile niż warzywno-owocowy koktajl.

słodki smak

wierności

układam starannie

na talerzu

uwodzi

pachnie

syci

wyciągam po niego rękę

raz po raz

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wieczory szczypią jak tęgi mróz i wloką się niemiłosiernie. Minuty biegną szybko tylko wtedy, kiedy dokładam sobie pracy. Wychodzę z pracowni ostatnia. Sprzątam po kolacji i jeśli jeszcze mam siłę powłóczyć nogami, czyszczę posadzkę na błysk. Potem – długi, ciepły prysznic, i czasami udaje mi się zasnąć przed północą. Czasami się udaje... Boli brak Twojego cichego snu. I równego oddechu, kiedy pierwszy zasypiasz. Chciałabym mieć komfort wyboru, który nic nikomu nie zabiera. Nikomu, na kim najbardziej mi zależy. Kosma? Mówię do Ciebie...

Te kilka dni, które spędzał z dziećmi u rodziców Matyldy, zawsze kończyło się zdecydowanie za wcześnie – tak przynajmniej uważała pani Radecka, a dzielnie wspierał ją w tym jej mąż. Kiedy zbliżał się czas wyjazdu, oboje rozpoczynali akcję przekonywania zięcia o konieczności przedłużenia pobytu. Kosma nie oponował, wiedział, że obie córki czują się tu znakomicie, pies również wyglądał na zadowolonego. Po prawdzie, gdyby nie obowiązki hodowlane, chętnie posiedziałyby w stolicy jeszcze kilka dni. Ale przecież

były ślimaki...

– Co tam będziecie robić? Gdyby jeszcze Matyllda czekała na was na miejscu, to rozumiem – perswadowała starsza pani, jakby wyczuwając jego rozterki. – A tak? Nie ma się co spieszyć!

– Obiecuję, że następnym razem zostaniemy na dłużej. Dziewczynki wspominały o jakimś występie, do którego muszą się przygotować...? – Zmienił temat, obawiając się, że kiedy wsiądą na niego oboje teściowie, rozmowa niebezpiecznie się przedłuży.

Początkowo pomysł z zapisaniem córek na kółko taneczne uznał za stratę czasu, ale po pierwszych zajęciach dziewczynki przez całą podróż do domu nie mówiły o niczym innym.

– Ta pani jest świetna! I tak się umie kręcić na jednej nodze... – tłumaczyła Halszka, a Różanka potakiwała, machając głową. Obie podśpiewywały sobie zapamiętane fragmenty piosenek, do których układy taneczne miały przygotowywać podczas pobytu na Mazurach.

– Dużo dzieci przychodzi na zajęcia? – zapytał Kosma.

– Dużo, o tyle! – Różanka pokazała dwie wyciągnięte dłonie z rozstawionymi szeroko palcami.

– To ile to będzie, tak dokładniej? – drażył Kosma, wykorzystując rozmowę do krótkiej lekcji matematyki. Obie dziewczynki pogrążyły się w obliczeniach, myśląc się i co chwilę zaczynając od nowa.

– No, dużo, tato. – Halszka jako pierwsza poddała się, nadając jednocześnie rozmowie nowy kierunek. – I mają takie kolorowe stroje. Z falbankami, o tu!

Kosma odruchowo odwrócił głowę i chcąc sprawić im radość, pokiwał z uznaniem głową.

– I wy też chcecie takie? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź.

– Tak, chcemy tyyyyyle falbanek. – Określeniu ilości towarzyszyło szerokie rozłożenie rąk.

Dziewczynki obchodziły swoje trzecie urodziny, świętowali u dziadków w Warszawie. Matylda od niedawna przebywała we Włoszech, przyleciała tylko na weekend, więcej czasu nie udało jej się wykroić. Gdyby nie urodziny córek, nie dostałaby zgody nawet na ten krótki wypad. Państwo Radeccy jak zwykle zaproponowali, by Kosma został z dziećmi na dłużej, oferując, że zorganizują maluchom dużo atrakcji. Jedną z nich był właśnie udział w zajęciach tanecznych, jakie dla różnych grup wiekowych prowadzono w pobliskiej szkółce tanecznej.

– Nie będziesz żałował, te maluchy tańczą jak w rewii – tłumaczył mu dziadek Radecki, kiedy wracali z lotniska, pożegnawszy Matyldę. Dziewczynki zasnęły zmęczone długim oczekiwaniem na odlot samolotu.

– Nie uważasz, że to strata czasu? Może poszukam im podobnych zajęć u siebie, będą ćwiczyć regularnie? – Kosma nie był przekonany do pomysłu teściów.

– A w czym to szkodzi? – Radecki wyczuł, że opór zięcia nie jest zbyt mocny. – Jeśli im się spodoba tutaj, to i na Mazurach będą chciały tańczyć.

– A nam starym przyda się trochę radości... – dopowiedziała jego żona.

– Skoro tak, to nie mam nic przeciwko. Radość dziadków jest najważniejsza! – Kosma puścił oko do starszego pana.

I tak się zaczęło. Dziewczynki za każdym razem, kiedy przyjeżdżały do stolicy, zabierały ze sobą specjalne obuwie i kolorowe stroje z obowiązkowymi falbanami; w takie zaopatrzone zostały każdy mały uczestnik kursu.

– Gdyby wasza mama mogła was widzieć! – zachwycała się

pani Radecka, obserwując postępy dziewczynek.

– Zrób zdjęcie, babciu, zrób! – Różanka jak zwykle miała rozwiązanie na każdy problem.

– Zrobię, wnusiu, zrobię... – odpowiadała starsza pani, ocierając łzy, które ciekły jej po policzkach. – Wszystko dla was zrobię.

Kosma długo nie zaglądał do klubu, w którym odbywały się zajęcia. Każdą z rzadkich wizyt w Warszawie próbował wykorzystać do maksimum, tak by telewizyjne obowiązki nie cierpiały z powodu jego nieobecności. Nie chciał być ciężarem dla ekipy, z którą pracował. Dlatego robił dużo, czasem ponad swoje siły. Któregoś wieczoru Radecka poprosiła go jednak, żeby sam odebrał dziewczynki po zajęciach.

– Nie dam rady, Kosma, a nie chcę dziadka puszczać samego. Zdążysz? – upewniła się jeszcze.

– Tak, w zasadzie jestem już wolny, skończyliśmy pracę i miałem wracać na Sadybę – uspokoił ją Kosma i kiwnąwszy na pożegnanie realizatorowi dźwięku, wyszedł na ulicę. Schował telefon, poprawił szalik i uśmiechnął się w duchu. Do tej pory znał osiągnięcia swoich córek jedynie z nieskładnych opowieści ich samych, teraz będzie mógł na własne oczy zobaczyć, jak sobie radzą. Zerknął na zegarek; według informacji od Radeckiej do zakończenia zajęć pozostała równo godzina. Jeśli się pośpieszy, zobaczy jeszcze, jak tańczą.

Nie można było przegapić tego miejsca. Już z daleka, zza zamkniętych drzwi, słychać było dźwięki jednego z najnowszych tanecznych przebojów oraz komendy instruktorki.

– Obrót! W bok! Trzy, cztery! Raz, dwa, biodra, stop! Brawo! – Kobieta klasnęła kilka razy w dłonie, dając sobie chwilę na zaczerpnięcie oddechu. Dzieci zaczęły jej wtórować, skacząc

jednocześnie do góry i piszcząc głośno.

– Powtórzymy jeszcze... – zaczęła i nagle rączki opadły wzdłuż tułowia, a przez salę przeszedł głośny jęk niezadowolenia. – Powtórzymy! Jeszcze sam początek; pierwsze dziesięć taktów. Proszę!

– Proszę pani... – Jęk zelżał nieco, ale instruktorka była nieprzejednana. Włączyła pilotem muzykę i stanęła przed dziećmi.

– Raz, dwa, trzy, krok!

Przyglądała się uważnie maluchom, stojąc twarzą do tańczącej grupy. Trzymała ręce na biodrach i uśmiechała się do uczniów, zachęcając ich do dodatkowego wysiłku.

– Dziękuję za dzisiaj. – Podniosła rękę do góry na znak, że to już naprawdę koniec. Dzieci z piskiem rozpierchły się po rogach salki.

– Róża? Halszka! – zatrzymała głosem bliźniaczki, które w podskokach kierowały się już do szatni. Dziewczynki zatrzymały się posłusznie. Podeszła do nich, odgarniając włosy ze spoconego czoła.

– Kto was dziś odbiera? – zapytała, pochylając się w ich kierunku.

– Babcia! – zawołały jednocześnie.

– Doskonale. Kiedy się zjawi, powiedzcie jej, że...

– Myślałem, że czekają na mnie tylko dwie damy. – Pojawienie się Kosmy zaskoczyło je wszystkie. Dziewczynki podbiegły, a on pocałował je w główki.

– Tatusiu, widziałeś, jak tańczymy? – pytały jedna przez drugą.

– Widziałem, oczywiście! Dobrze, że babcia przysłała mnie tu w zastępstwie – odpowiedział i uśmiechnął się do instruktorki. Dopiero teraz zobaczył ją wyraźnie.

– Iza?

Życie to pasmo nieustannych zaskoczeń, pomyślał.

– Porozmawiam z waszym tatą; idźcie się przebrać, dobrze? – Wyciągnęła rękę do Kosmy. – Dobrze cię widzieć, Kosma...

Przyglądali się sobie chwilę w milczeniu, wykorzystując zawsze bezpieczny uśmiech. Wyglądał... dobrze. Chociaż postarzał się. Tak. Zeszczupłał i – jak miała wrażenie – przybyło mu dużo siwych włosów. Ale uroku nie miał nawet odrobiny mniej.

– Czyli pani Iza... to ty? Dziewczynki nie mogą się nachwalić i zajęć, i ciebie.

Jego głos też nie stracił nic ze swojego ciepła.

– I dlatego przychodzisz tu dopiero teraz? – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Dobrze, że w ogóle – odpowiedziała cicho.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. Duża zmiana! – Ogarnął wzrokiem wnętrze klubu, kiwając głową z aprobatą.

– Życie... – Nie przyszło jej do głowy nic bardziej wyszukanego. Patrząc na niego, prawie zapomniała, co zamierzała mu zakomunikować.

– Wszystko w porządku? – W oczach Kosmy błysnęła autentyczna ciekawość.

– Bywa różnie, ale nie narzekam. Nasza szkołka dostała zaproszenie do udziału w prawdziwym spektaklu – przypomniała sobie w porę. – Pytam każdego z rodziców o zgodę na udział dziecka w tym przedsięwzięciu. Głównie chodzi o taniec...

– Iza... – przerwał jej delikatnie. – Rozpiera mnie duma, ale nie skorzystamy z tej szansy. Zjawiamy się tutaj zdecydowanie za rzadko, a poza tym...

– Chciałam tylko powiedzieć...

– A poza tym poczekam, aż same zaczną decydować, jak

bardzo chcą się zaangażować. Wiem, że to małe dzieci, ale nie chcę postanawiać za nie.

– ...że podzielam twoje zdanie. I miałam nadzieję, że to właśnie powiesz, bo byłaby to już praca, a nie zabawa. – Skrzyżowała przedramiona przed sobą i patrzyła na Kosmę. – Ale poinformowanie cię o tym było moim obowiązkiem.

– Cieszę się, że jesteśmy zgodni. Naprawdę się cieszę.

Przyglądał się jej z uwagą. Czuła, jak przedłużające się milczenie przywołuje powoli rumieniec na jej twarzy. Zanim zdążył porządnie zakwitnąć, obydwie dziewczynki, gotowe do wyjścia, przypadły do ojca i pociągnęły go za rękę w kierunku drzwi.

– Dziękuję, Iza. I do zobaczenia. – Uśmiechnął się przepraszająco.

Kiedy? – zapytała go w myślach.

– Nie za szybko, niestety! – powiedział, jakby usłyszał jej pytanie. Jeśli chciał dodać coś jeszcze, to maluchy skutecznie mu to uniemożliwiły.

Serce drgnęło jej nieprzyjemnie. Przypomniała to sobie. To uczucie, kiedy zniknął jej z pola widzenia... Nie spodziewała się jeszcze kiedykolwiek go zobaczyć. Była pewna, że zupełnie wymazała go z pamięci. Myliła się. Poznała go kilka lat temu, kiedy przypadkiem trafił do kawiarni, w której wtedy pracowała. Zwrócił na siebie jej uwagę już na samym początku. Tym, jak wyglądał i w jaki sposób mówił. Zazdrościła kobiecie, dla której tam wracał. Odpowiedział na list, który tamta zgubiła w kawiarni któregoś dnia. A ona odpisała jemu. Korzystali z Żółtej Cizemki jak z tradycyjnej skrzynki na listy... W pewnym sensie Iza stała się ogniwem łączącym tych dwoje; przechowywała ich korespondencję do chwili, kiedy się po nią zjawili.

Spędziła z nim noc lub kilka. Zupełnie nie miało znaczenia to,

że mógłby być jej ojcem... Zawsze potem długo pamiętała jego dotyk i zapach. Kiedy patrząc w okno, pił herbatę oparty o lodówkę w jej kuchni, wiedziała, że myśli o tamtej. Nigdy o niej nie mówił.

Zapytała go o nią tylko raz; zbył ją wtedy kilkoma słowami. Potem zniknął na długo. Zjawił się w końcu niespodziewanie po kilku miesiącach nieobecności, raz albo dwa razy. Zanedbany i pijany. Nie zdołała wyciągnąć z niego, co się stało, że doprowadził się do takiego stanu. Obiecał, że wytłumaczy się innym razem, ale nigdy tego nie zrobił. Jakies dwa lata później widziała go po raz ostatni, przypadkiem. Z kobietą z listu, w jakimś centrum handlowym. Prowadził za rączkę drobną dziewczynkę. Kobieta pchała przed sobą spacerówkę z wierną kopią malucha. Iza cofnęła się wtedy zaskoczona do jakiegoś butik, żeby Kosma jej nie zauważył. I tego, czym musiało bić od niej na kilometr: zazdrością o czułość, jaką tych dwoje miało dla siebie, a którą można było jeść łyżkami. Dawno straciła całą czwórkę z oczu, mimo to wciąż nie mogła ruszyć się z miejsca, w którym stała. Dopiero kiedy ktoś ją boleśnie popchnął, ocknęła się z letargu.

Któregoś dnia natknęła się na program telewizyjny, którego Kosma był prowadzącym. Wymyśliła sobie wtedy, że powinna go odszukać. Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie: po co? Przecież nie był sam. Dzielił życie z kimś, komu – czuła to aż za dobrze – nigdy nie byłaby w stanie dorównać. A potem... Potem zwyczajnie zabrakło jej odwagi.

wodzę palcem
po wnętrzu Twojej dłoni
dotykam
żłobię ślad
mojego istnienia
linią życia
oplatam Twoje serce
dzień po dniu
od oddechu do oddechu
od spojrzenia do pieszczoty
od łez do radości
od myśli po czyn
spełniam się
wciąż od nowa...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Coś dziwnego dzieje się ze mną; czasem łapię się na tym, że zasypiam bez Twego imienia na ustach. Budzę się nieswój w środku nocy i wtedy potrzebuję chwili na odzyskanie zmysłów. Kiedy już widzę i słyszę normalnie, sprawdzam, co u dzieci. Ich twarze są takie jak Twoja, tylko w wersji mini. Ale za to w dwupaku, więc nie narzekam! Siedzę przy nich, aż sen znów zaczyna mnie ciągnąć za uszy. Wtedy już pilnuję, żeby powiedzieć na głos: Matylda. Wczoraj powiedziałem za głośno i Halszka się przebudziła. A może to była Różanka? W nocy tylko Helmut rozpoznaje je bez skuchy. Ja w tych małych oczkach widzę tylko Ciebie. Matylda, jesteś tam?

Kosma przytulił do siebie Różankę owiniętą lekkim kocykiem.

– Gotowa? – zapytał, patrząc z góry na jasną główkę córki. Mała kiwnęła nią tylko i przylgnęła mocniej do ojca. Zanim ekran telewizora rozjaśnił obraz, druga z bliźniaczek poszła w ślady siostry i zaanektowała miejsce pod drugim ramieniem Kosmy. Po chwili dołączył do nich Gabryś, kwikiem domagając

się podsadzenia na swoje poślanie; na niewielkiej sofie zrobiło się tłoczno. Helmut patrzył na nich z wyrzutem, bo nie zdążył wykazać się w porę refleksem i zawczasu zająć miejsca.

Różance dolegało coś już w drodze z Warszawy. Najwidoczniej podłapała jakieś przeziębienie, bo od samego rana nie przejawiała ochoty do jakiegokolwiek zabawy i co jakiś czas kichała głośno, a potem tarła piąstkami zażawione oczy. Obydwu Kosma zaaplikował podwójną dawkę witamin i odłożył zaplanowaną na dziś papierkową robotę. Pomyślał, że swoją bliskością zminimalizuje dyskomfort, jaki doskwierał dziecku osłabionemu przez infekcję. Dziewczynki były jak naczynia połączone. Dziś gorzej czuła się tylko jedna, druga jednak podświadomie solidaryzowała się z siostrą, wyraźnie nie czerpiąc radości z samotnej zabawy.

Przez dłuższy czas przyglądali się porankowi bocianie rodziny, której codzienność mogli obserwować dzięki niewielkiej kamerze zamontowanej przez Kosmę na dachu ich stodoły niedługo po tym, jak puste od lat, rozpadające się gniazdo wypełnił bociani klekot. To był jego prezent dla Matyldy, która w niespodziewanym pojawieniu się skrzydlatej pary upatrywała końca ich chudych lat.

– Kosma!

Podniósł głowę znad trzymanej w ręku książki.

– Kosma, chodź tutaj! – Głos Matyldy był wyraźnie słyszalny przez zamknięte okna. Wstał szybko z sofy i spojrzał w kierunku ogrodowej pracowni żony. Matylda wykorzystywała kilka porannych godzin na pracę przy sztalugach, żeby całe popołudnie móc poświęcić dzieciom i pozwolić Kosmie przypilnować ślimaczej gromady, która rosła jak na drożdżach, ogrzewana wiosennymi temperaturami.

Żona stała w drzwiach swojego królestwa, chroniąc się wielką wełnianą chustą przed wiatrem. Zaniepokojony wybiegł przed dom i w kilku krokach był przy niej.

– Popatrz... – Uniosła wzrok gdzieś ponad głowę Kosmy.

Podążył za jej spojrzeniem. Na dachu ich odnowionej stodoły para bocianów swoim tańcem godowym pieczętowała powrót na stare nowe śmieci. Kosmie, który obserwował tę scenę, rozszerzyło źrenice tylko jedno skojarzenie.

– Co ty chcesz mi powiedzieć? – wykrztusił, odwracając się do Matyldy.

– Kosma! Nie rozumiesz? – Patrzyła na niego roziskrzonymi oczami. – Dobrze się czujesz? – Zgasła na moment, widząc pełne napięcia, pytające spojrzenie męża.

– Ja tak... – Czuł, jak coś dziwnie blokuje mu przepływ powietrza przez krtani. Jego myśli przyspieszyły. Co Bóg da...

Spojrzała na niego uważniej, po czym jej twarz rozjaśniła ulga.

– To oznacza, kochany... To oznacza, że zamierzają zadomowić się tu na dłużej. To dobry znak.

Stała naprzeciw niego i dotykała dłonią jego chłodnego policzka.

– Bardzo dobry... – Mówiąc to, zagarnął ją do siebie i przytulił chyba odrobinę za mocno.

W zasadzie, nawet gdyby, to..., pomyślał i uśmiechnął się sam do siebie. Nigdy nie mów: nigdy.

– Małe bociany zjadają małe żabki? – zapytała Różanka i wciągnęła mocno powietrze zapchanym noskiem.

– W ogóle nie jedzą ich tak dużo – odpowiedział z uśmiechem, dotykając chłodnych rączek córek. – Częściej żywią się

owadami, polnymi gryzoniami i jaszczurkami.

Czuł, jak maluchy mocniej wtulają się w jego ramiona.

– A kto je karmi, kiedy ich mamy nie ma w domu? – dopytywała dziewczynka.

– Ich mama zawsze jest w domu. Ale nawet jeśli jej nie ma... – zająknął się na ułamek sekundy – ich tata się nimi opiekuje.

– Jak ty? – Halszka spojrzała ufnie w oczy ojcu.

– Tak, kochanie, jak ja.

Poczuł przyjemny dreszcz wzruszenia.

– Namalujecie potem naszą bocianią rodzinę? – skierował rozmowę na inne tory.

– I damy później mamie?

– Tak... damy mamie.

Dobłą godzinę zgłębiali jeszcze we trójkę bocianie menu. Wolał tę ornitologiczną dyskusję od powracających jak bumerang pytań o Matyldę, za którą obydwie tęskniły tak samo mocno. Kosma, przyglądając się córkom, podwójnie. Ale tę historię zostawiał już tylko dla siebie...

Mimo całej swojej miłości do tańca, Iza na mapie stolicy preferowała niewielkie kluby, gdzie jakoś muzycznych propozycji podlegała starannej selekcji. Nie przeszkadzało jej to, że mały parkiet częściej zapełniał się dopiero przy okazji kameralnych, akustycznych koncertów, które po wielogodzinnym wysiłku i męczących decybelach dziecięcego hałasu były dla niej idealnym zakończeniem dnia. Dodatkowo plątały się jej jeszcze po głowie siła ciągu, altocumulusy czy prędkość przyziemienia, próbując wcisnąć się między przyjemnie rozluźniający klubowy szum i słowa *Angel Like You*, coveru Uny Healy, z którym doskonale radziła sobie na scenie

drobna dziewczyna z gitarą.

– Jest rewelacyjna. – Zuza sączyła duże mohito, przypatrując się śpiewającej nastolatce. Przez dłuższy czas obie przysłuchiwały się w skupieniu improwizacjom młodej wokalistki.

– Spójrz, ona nie ma więcej niż osiemnaście lat! A wydaje się w pełni świadomą artystką – przerwała chwilę milczenia Iza.

– Wszystko przyspiesza, takie czasy. Te dzieciaki muszą być zawsze krok do przodu. Inaczej będą się ciągnąć w ogonie. A to oznacza, że mogą już nie zdążyć wskoczyć do tej pędzącej kolejki.

– Mają tego świadomość – wtrąciła Iza.

– I możliwość podglądania tego wyścigu w każdym zakątku świata. Biorą pełnymi garściami – uzupełniła Zuza, strzelając jednocześnie oczami w kierunku pobliskiego baru, skąd trzech mężczyzn przyglądało się im ostentacyjnie. Świetlistość dźwięków i prosty tekst piosenki sprawiły, że Iza poczuła jakiś rodzaj tęsknoty, która ścisnęła ją nagle za serce. Potrafiłaby odpowiedzieć sobie na pytanie, dokąd sama tak pędzi? Co tak naprawdę czuła pod skórą? Czy nie to, co wszyscy, mniej lub bardziej dążący w jednym kierunku?

Dopiła szybko drinka.

– Robi się zbyt sentymentalnie. – Zakrzyczała to uczucie, które po raz pierwszy tak mocno oplotło ją ramionami. – Zbieramy się.

Zuza zdawała się nie słyszeć wyraźnego komunikatu.

– Zuza! – Iza zbliżyła usta do ucha przyjaciółki.

– Wolałabym zostać...! – Zuza wpatrywała się zachłannie w grupkę mężczyzn na barowych stołkach.

– To młode wilki z Mordoru, zachłyśnięte pierwszymi zerami na koncie.

Trzech obserwatorów lustrowało ich sylwetki jak klacze na wybiegu.

– Mają na sobie koszule wyprasowane rano przez żony, które teraz czekają na nich ze stygnącym obiadem. Są podnieceni przeprowadzoną właśnie, długo oczekiwaną fuzją albo widokiem błyszczących damskich dekoltów tudzież jednym i drugim... Tak czy siak, wrócą dziś grzecznie do domu. Po udanym polowaniu.

– Ale...

– Nawet nie zadali sobie trudu, żeby zdjąć obrączki. – Iza sączyła słowa w ucho przyjaciółki, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

Zuza westchnęła i obejrzała się za siebie w poszukiwaniu torebki.

– Nikt tu nie będzie na mnie polował... – mruzczała pod nosem, marszcząc czoło. – Ale ty masz wzrok... Jesteś pilotem doskonałym – powiedziała głośniej w kierunku swojej towarzyszki.

– Dzięki.

Dziewczyna nie była pewna, czy Iza dziękuje jej za szybką decyzję, czy za komplement.

Wyszły przed klub, najpierw jednak musiały się przepchnąć przez ciasne wnętrza wypełnione amatorami wieczornych wrażeń. Odetchnęły przesyconym świeżą wilgocią powietrzem. Pachniało ozonem i kwiatami z pobliskiego straganu – najwidoczniej wiosenną burzę przesiedziały w środku. Czasami to miasto doprowadzało Izę do szału. Jak kilka minut wcześniej, kiedy dotarło do niej, że czyjś uśmiech jest obliczony tylko na zysk, któremu daleko było do satysfakcjonującego ją zakończenia wieczoru. Innym razem znów nie wyobrażała sobie poruszania się w innej przestrzeni, gdzie nie miałyby do wyboru tylu rozrywek i możliwości szybkich zmian bez konieczności wywracania swojego życia do góry nogami. Niemniej nie mogła

się pozbyć wrażenia, że jej pociąg nie zatrzymał się jeszcze na właściwej stacji, a i pasażerom wciąż przyglądała się z uwagą, jakby w tym bezimiennym tłumie miała za chwilę kogoś przeoczyć...

Zrobiły sobie leniwy spacer z Krakowskiego Przedmieścia aż do Marszałkowskiej. Chrupiąc resztki wielkich lodowych wafli, mijały właśnie oświetloną witrynę Kwadratu.

– Może załapiemy się na wejściówki? – Zuza pociągnęła koleżankę w kierunku wejścia do teatru.

– Jutro latam, Zuza. Chcę się porządnie wyspać. – Nie dała się wciągnąć przyjaciółce do środka. – Ale możesz iść sama, jeśli masz ochotę. Ja muszę już wracać do domu.

– W takim razie spróbuję. Zobacz, Gajos! – Zuza zatrzymała wzrok na plakacie reklamującym spektakl. – Sama rozumiesz...

– Ciebie? Zawsze. Baw się dobrze! – Iza machnęła koleżance ręką na pożegnanie, zastanawiając się jednocześnie, czy nie dokupić sobie jeszcze czegoś lekkiego na kolację. Jeśli chce być jutro w formie, skromny posiłek powinien jej wystarczyć, a myśl o godzinach w powietrzu w zupełności zastąpić deser.

Wolał nie kusić losu, dlatego unikał spotkań z Izą. Już wtedy, przy tej pierwszej, niespodziewanej wizycie na zajęciach, zauważył, jak bardzo rozwinęła się jej kobiecość. Stała przed nim dojrzała, atrakcyjna i świadoma swojego czaru piękność, z którą łączyła go dziwna, niezdefiniowana do końca relacja. Wracając z dziewczynkami do domu ich dziadków, praktycznie nie odezwał się ani słowem. Jeśli i na niej to spotkanie wywarło podobne wrażenie, to będą z tego kłopoty, pomyślał, parkując pod bramą przytulnego domu na Sadybie. A kłopoty jak mało co wolał zostawić za sobą. Natarczywy głos z tyłu głowy zadawał nieustannie pytanie o to, co mogłoby pójść nie tak. Stawała mu

wtedy przed oczami rozgrzana tańcem Iza, w rozciągniętych trykotach, z luźnym topem, pod którym falowały piersi. Piersi, o których przecież nie zapomniał. I miał gotową odpowiedź – tu wszystko może pójść w złym kierunku. Jednocześnie drugi głos, równie głośno co poprzednik, zadawał pytanie, czy naprawdę chce przegapić swoje życie. Nie chciał, ale do momentu, w którym poczuje, że rzeczywiście coś ważnego go w życiu omija, nie zamierzał robić nic, po czym nie mógłby spojrzeć sobie w oczy.

O tej porze marzysz już pewnie tylko o przytuleniu głowy do poduszki.

Przyglądam Ci się. Wiem, jak to brzmi. Jak to banalnie brzmi! Ale tak jest. Gdybym wyliczyła Ci wszystkie chwile, kiedy o Tobie myślę, zasnąłbyś znużony. Ja lubię tę monotonię i wiele jej twarzy; tę z ogniem pożądania w oczach szczególnie. Jest tylko moja. Ja... powinnam być przy Tobie, Kosma. Czekam na Twój dotyk jak na rozgrzeszenie. I będę modlić się o nie głęboko, żarliwie! Gdybyś zechciał mnie wysłuchać...

Ostatnie tygodnie wypełniły jej praca i godziny w powietrzu. Zajęcia z dziećmi kończyła wcześniej niż zwykle, zostawiając sobie wolne momenty na popołudniowe albo wieczorne loty. Wciąż unikała nocnych, chociaż rozszerzyła sobie uprawnienia do możliwości ich wykonywania. Zwyczajnie wolała latać w ciągu dnia. Pełniej odczuwała wtedy przyjemność płynącą z obserwacji przestrzeni pod kołami samolotu, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że noc dla każdego pilota jest bezpieczniejszą porą. Dzielne loty jednak w wystarczającym stopniu podnosiły jej poziom adrenaliny, żeby bez żalu rezygnowała z nocnych wycieczek w przestworza. Żadnego

weekendu nie spędziła też samotnie w swojej kawalerce. Pogoda zachęcała do wypadów za miasto albo do wieczornego wyjścia na przyjemne o tej porze roku Pola Mokotowskie. Czuła, że wszystko wreszcie idzie jak trzeba i że ten rok będzie należał do niej.

Tak, pomyślała o Kosmie kilka razy... Bardziej w kontekście życiowych niespodzianek niż z intencją pogłębiania znajomości. Tym razem dziwnie ją onieśmielał. Nie był tym samym facetem, którego poznała kilka lat wcześniej. Zniknął gdzieś rodzaj nonszalanckiego luzu, dawniej wyraźnie widocznego w jego zachowaniu. Wyczuwała też drobny dystans, który – była tego pewna – nie miał nic wspólnego z jej osobą. Ta zmiana w jego sposobie bycia intrygowała ją chyba jeszcze bardziej, ale i w jakiś sposób dawała sygnał, że relacja, która narodziła się między nimi już wtedy, będzie musiała wejść na jakiś inny poziom. W tej chwili nie potrafiła go jeszcze dostrzec. On w żaden sposób nie był centrum jej świata, więc codzienne sprawy szybko przesłaniały jej chwile rozważań na jego temat. Działo się dużo i tak wiele jeszcze mogło się wydarzyć, że te momenty były jak błyski nagłych zmian pogody. A przecież nie mogła być pewna, czy nawet ta nie najlepsza nie może się jej przysłużyć...

Dźwięk mieszanych, ciepłych głosów niósł się w gęstniejącą ciemność, potęgowany brakiem barier i wyjątkową atmosferą wieczoru. Wykonywany jedynie z akompaniamentem gitary utwór robił wrażenie na wszystkich słuchaczach. Śpiewającą dwójkę, drobną blondynkę i jej brodatego partnera, musiało łączyć coś więcej niż wspólne występy; to było słyhać, mówiły o tym wyraźnie ich spojrzenia i czułość, z jaką podawali kolejne wersy tekstu.

Take this sinking boat and point it home
We've still got time
Raise your hopeful voice
you had a choice
You've made it now
Falling slowly sing your melody I'll sing along...[\[2\]](#)

Kosma przysiadł na pieńku, tak by dobrze widzieć występujących. Bezbłędnie rozpoznał *Falling Slowly*, piosenkę, która znalazła się na ścieżce dźwiękowej do filmu *Once* i zdobyła Oscara podczas osiemdziesiątej ceremonii wręczenia nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej. Śpiewająca para była jakby żywcem wyjęta z tego obrazu, a na pewno nie ustępowała Glenowi Hansardowi i Markecie Irglovej w umiejętności budzenia u odbiorcy wielkich emocji. Dzięki nim, trzaskającemu ogniovi i skupionej wokół niego sporej grupie osób noc zyskiwała niemal mistyczny charakter. Kosma z chęcią przyjął dziś zaproszenie od swoich sąsiadów. Po całym dniu kręcenia się po ślimaczym parku i biegania między hodowlanym polem a domem z przyjemnością relaksował się, od czasu do czasu sięgając po smakołyki przygotowane przez gospodarzy. Sam nie znalazł czasu, żeby również coś upichcić, ograniczył się więc do prezentu w postaci butelki wina z zapasów – zabłąkanej pozostałości jeszcze z podróży do Chamonix.

W siedlisku trwało w najlepsze ognisko wieńczące kolejny warsztatowy tydzień. O tym, że się kończył, a nie zaczynał, świadczyły ożywione rozmowy i wyraźnie luźna atmosfera, charakterystyczna dla miejsc, w których większość ludzi zdążyła się już dobrze poznać. Część uczestników pleneru wyjechała po obiedzie, ale zwolnione przez nich w ten sposób pokoje prawie natychmiast zapełniły się nowymi gośćmi,

przyjaciółmi Xeni i Grzegorza, którzy przez kilka kolejnych dni zamierzali korzystać z uroków mazurskiej głuszy. Część z nich zabrała ze sobą swoje pociechy, Kosmie to zaproszenie było więc podwójnie na rękę. Zajęty rozmową z którymś z uczestników kursu przeoczył moment, kiedy córki przytuliły główki do koców rozłożonych na plażowych leżakach i mocno zasnęły. Przez część dnia maluchy dzielnie asystowały mu przy uzupełnianiu drewnianych rynienek krążkami soli, tworzącymi naturalną barierę ochronną przed ucieczką ślimaków w ogrodzonej w ten sposób hodowli. Wieczór przy ognisku w towarzystwie kilkorga innych dzieci dopełnił dzieło.

Kosma właśnie otulał maluchy szczelniej kocami, kiedy podeszła do niego pulchna, mocno opalona brunetka. Zwrócił na nią uwagę już wcześniej, bo raczej niemożliwe było ominięcie jej wzrokiem. Była głośna, dominująca i próbowała zaznaczyć swoją obecność w nieprzyjemnie nachalny sposób. Jeden z typów osób, od których Makarski trzymał się z daleka. Przyglądająca mu się od dłuższego czasu kobieta zadbała o to, żeby znalazł się na jej orbicie.

– Słyszałam, że pracujesz w radiu i w telewizji. Nie pomyliłam się? – rozpoczęła ostrzał bez ostrzeżenia.

– Nie.

Nie był nawet ciekaw, jak kobieta ma na imię. Szybko zrozumiał, że jego personalia też nie będą obiektem zainteresowania. Ale inne już tak.

– Musisz mieć sporo cennych kontaktów.

Natarcie przybierało na sile. Tak, to był ten typ. Już czuł się zmęczony tą rozmową.

– Mam gotowy materiał na płytę... – Zamilkła na chwilę, wyraźnie czekając na jakieś „och” albo „ach” z jego strony, ale zniechęcająco trwał w ciszy. Kobieta zignorowała ten jednoznaczny sygnał. – Gdybyśmy wymienili się telefonami...

No, jasne, pomyślał. Głęboki dekolt falował potężną pierśią zdecydowanie za blisko jak na pierwszy kontakt.

– Nie interesuje mnie show-business.

Chyba ją zaskoczył. Kobieta teatralnym gestem odgarnęła gęste włosy z ramion na tył głowy i wyprostowała się, sprawiając, że jej duży biust wydał mu się jeszcze większy. Flirt z nieznajomą był dziś ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Kobieta przez chwilę bawiła się otwartą puszką redsa i przypatrywała się Kosmie spod firanek doklejonych rzęs. Nie doczekawszy się ciekawszej odpowiedzi, odetchnęła głęboko z zamiarem kontynuowania rozmowy.

Kosma wypił szybko ostatni łyk swojego napoju i wskazując wzrokiem pusty kieliszek, podniósł się z wyraźnym „przepraszam”. Zamknął tym gestem usta osłupiałej brunetce, która wydeła je w grymasie niezadowolenia. Chwilę później zniknęła Kosmie z oczu, wychodząc z oświetlonego ogniskiem kręgu.

– Gaweł! – Przy stole z napojami, pieczywem i sałatkami wyrósł dobrze zbudowany, szpakowaty mężczyzna. Już bez gitary, ale z tym samym ciepłym głosem, którego próbkę dał przed chwilą.

– Kosma. – Makarski z zadowoleniem przyjął zmianę towarzystwa. – Znakomity występ! – zaznaczył z uśmiechem, pochylając się nad stołem.

– Poczekaj! Nic nie widać...

Mężczyzna zapalił szybko kilka dodatkowych świec, które rozjaśniły pole widzenia na tyle, żeby nie pomylić żadnego z rozstawionych na stole produktów spożywczych.

– Z ust radiowca? Miło to słyszeć. – Wierna kopia Glena Hansarda odwzajemniła się uprzejmością. – Moja żona! – Gaweł odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce kobiecie, która do nich dołączyła.

– Zośka. – Zdecydowanym ruchem wyciągnęła dłoń do Kosmy. Pozwoliła, żeby mąż napełnił jej pusty kieliszek i z uśmiechem przyglądała się rozmówcy.

– Nie umiem pływać, ale do dźwięków mam dobre ucho...

– Za tę wyjątkową noc! – Gawęł toastem spuentował komplement Kosmy. Stuknęli się wszyscy troje pełnymi kieliszkami. Kosma... z wiśniowym sokiem.

– W Gdańsku nie ma tylu gwiazd. – Kobieta zawtórowała mężowi, podnosząc głowę i przyglądając się rozgwieżdżonemu do granic możliwości niebu. – Widać nawet Drogę Mleczną! Niesamowite...

Chwilę przyglądali się idealnie czystemu firmamentowi. Makarski miał nieodparte wrażenie, że wśród migających punktów pojawi się za chwilę jakiś pozaziemski obiekt latający. Po lampce soku? – zaśmiał się sam do siebie.

– Pogoda nam sprzyja.

– Turystom na pewno! A jak hodowcom *Helix aspersa* Muller?

– W tym roku liczymy na doskonały zbiór... – odpowiedział Kosma po krótkim namyśle. Gawęł wyraźnie go zaintrygował.

– W Gdańsku prowadzimy restaurację, małą ale w dobrym turystycznie punkcie miasta. Myślimy też o zupełnie nowym lokalu – tłumaczyła uzdolniona wokalnie restauratorka. – Klientela jest coraz bardziej wymagająca, więc pilnowanie jakości i oryginalności to nasze pierwsze przykazanie

– Chcemy dobrze karmić, ale i nie popłynąć przy okazji... – dodał jej towarzysz.

– Przyciągnęła nas twoja hodowla, Kosma. – Kobieta przerwała na chwilę, żeby nałożyć sobie sałatki. Jednorazowy talerzyk natychmiast nabrał kolorów. – Chociaż nie ukrywamy, że dużo tu przyjemniej niż w zatłoczonym mieście i porcie.

– Od czego zacząć? – Kosma gestem dłoni pokazał swoim

rozmówcom, żeby usiedli bliżej ognia.

– Podobno nieźle opowiadasz – zachęciła. – Zamieniamy się w słuch. Opowiadaj, a my pomyślimy, jak tę opowieść zmienić na ciekawą propozycję i wspólny biznes.

Właściwie odczytując zainteresowanie restauratorów, Kosma przybliżył im początki hodowli i ich ślimaczego imperium na końcu świata, co jakiś czas zerkając na śpiące w najlepsze dziewczynki. W zasadzie powinien je już zabrać do domu, ale przy ognisku wciąż było przyjemnie ciepło, więc doszedł do wniosku, że jeszcze kilka minut na świeżym powietrzu wszystkim im dobrze zrobi.

Kwadrans później miał kilku dodatkowych słuchaczy, którym błyszczały oczy od ruchliwych płomieni, spożytych procentów, a może od interesującej historii? On sam, chociaż zaangażował się mocno w tę niemalże bajkową opowieść, złapał się w pewnym momencie na tym, że szuka jeszcze czyjś spojrzenia i czeka na śmiech, który mógłby dopełnić ten wieczór. Opalona brunetka, która zaczęła go wcześniej, odprowadziła go wzrokiem, gdy opuszczał towarzystwo. Nie był to jednak ten rodzaj nagrody, na jaki czekał.

W domu po raz kolejny wolał zadowolić się wciąż pachnącą papeterią...

Tak niewiele brakowało, żeby mój egoizm znów doszedł do głosu... Bo wykazałam się nim, kupując ten kawałek ziemi bez porozumienia z Tobą. Znów zrobiłam coś z myślą o sobie. Że będzie mi tu dobrze, że życie tutaj mnie nie ograniczy. O tym, że może ograniczyć Ciebie, pomyślałam dopiero później, kiedy widziałam, jak błyszczą Ci oczy i jak zaczynasz planować. Czekałam potem, kiedy powiesz w końcu, że to będzie idealne miejsce na wakacje, ale żyć i pracować musimy gdzieś indziej. Ale potrafiłeś mnie zaskoczyć. Nawet nie przyszło mi do głowy,

że oddanie steru mężczyźnie to może być taki dobry pomysł. I ze zdumieniem stwierdziłam, że ktoś inny też potrafi! Onieśmieliły mnie Twój upór, konsekwencja. Zatem nie tylko głos to Twój atut. Ale powiem ci coś na ucho... I tak zrealizowałabym Twój plan krok po kroku. Wiesz dlaczego? Bo był dla Ciebie ważny. Bo czułam, że Cię napędza i daje satysfakcję, która otworzyła mi oczy na to, że życie we dwoje ma niepowtarzalny smak, kiedy tej drugiej stronie pozwolisz ingerować w menu; bez nadmiernej kontroli przypraw...

[2] Glen Hansard, Marketa Irglova, *Falling Slowly* (sł. Glen Hansard, Marketa Irglova).

w zapachu książek
w błysku uniesienia
w dobrej wróżbie
i lepszych czasach
na początku tęczy
i na końcu zmartwień
w myślach
w mowie
i uczynku
jesteś

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przewietrzyła głowę na festiwalu tańca w Kielcach, który był stałym punktem ich wiosennego programu. Co w trawie piszczy, opowiadali Konwiński i Przybyłowicz. Nie mogła ominąć takiej dawki choreograficznej wiedzy. Razem z Olkiem dali się wciągnąć tym kilku dniom drgającym tęczą rytmów i tanecznych inspiracji. Po powrocie do Warszawy buzowali nowymi pomysłami, jeszcze w drodze powrotnej obmyślając jesienną ramówkę dla szkółki. Iza miała nadzieję, że puls oczekiwania małych bywalców klubu i ich opiekunów wyczuwa odpowiednio wcześniej, żeby konkurencyjne miejsca nie mogły mieć już wpływu na jej usatysfakcjonowanych w ten sposób podopiecznych. Czuła, że nowe możliwości otwierają się przed nią za każdym razem, kiedy dodatkowa wiedza poszerza jej horyzonty – tak tanecznie, jak i towarzysko. Z tego mogło przecież wyniknąć coś, co zaprowadzi ją jeszcze dalej. Wyżej? Czemu nie?

Na bieżąco śledziła depesze pogodowe dla pilotów. Nie miała jeszcze tak dużo umiejętności, żeby wybronić się z każdej niebezpiecznej sytuacji w powietrzu. Wolała nie ryzykować i pojawiać się na lotnisku tylko wtedy, kiedy wiedziała, że lot

powinien przebiegać bez większych niespodzianek.

Kolejne dni stały pod znakiem zmiany frontu atmosferycznego, uznała więc, że wypad na weekend do rodzinnego Krakowa będzie zdecydowanie lepszym pomysłem niż stres na własne życzenie kilkaset stóp nad ziemią. U profesora Stawskiego wprawdzie kończył się zaplanowany wcześniej remont mieszkania, dlatego mogła się spodziewać, że nie będzie jej dane leżeć na kanapie i podjadać smakołyki ciotki-sąsiadki, ale o to właśnie jej chodziło. Potrzebowała zajęcia, które zwolniłoby jej umysł z odpowiedzialności chociaż na kilka chwil. A korzyść uczyni z tego podwójną, bo przyjemności, jaką zrobi ojcu swoją obecnością, on nigdzie by nie znalazł.

Zasyczała z bólu, kiedy ktoś tuż przed wyjściem z wagonu przejechał jej ciężką walizką po stopie obutej w sandałek. A już chciała samej sobie przytaknąć, że podróż państwową koleją była dobrym pomysłem!

Przygryzając usta, zeszła na peron. Zdążyła podnieść do góry uchwyt swojej walizki, kiedy na dekolcie i włosach poczuła gorącą ciecz.

– Cholera jasna! – krzyknęła. Tego było już za wiele. – Oszalał pan?! – Skóra piekła ją niemiłosiernie. Łzy wściekłości i bólu błyskawicznie napłynęły jej do oczu. Biały podkoszulek straszył ciemną plamą po kawie. Przesunęła walizkę z linii przejścia i stanęła poza nią, żeby doprowadzić się do porządku. Zanurkowała dłonią do torebki w poszukiwaniu jednorazowych chusteczek. Facet też chyba oberwał, ale miała to w nosie. Na usta cisnęły jej się same niecenzuralne słowa, więc wołała milczeć. W tym momencie chciała już tylko być w mieszkaniu ojca i zdjąć z siebie te brudne ciuchy.

– Przepraszam cię.

I do tego jeszcze cham! – pomyślała w tej samej chwili.

– Na dodatek zachować się pan nie umie! – złagodziła głośno

swoją myśl, próbując osuszyć dekolt kilkoma chusteczkami jednocześnie.

– Nie poznajesz mnie? – Głos faceta z podniebieniem uboższym o smak dworcowej kawy zmusił ją do podniesienia wzroku na pytającego.

– Zbyszek? – Złość minęła jej w kilka sekund. – I co teraz z tym zrobisz?! – Spojrzeniem pokazała mu zniszczoną bluzkę, marszcząc czoło i nieszczególnie broniąc się przed powracającym na twarz uśmiechem. – Wkurzyłeś mnie. Uch!

– Dasz się udobruchać ciastkiem? Kawą? A może ciastkiem i kawą? Albo zakupami w najbliższym centrum handlowym? – kusił z wyraźną ulgą na twarzy młody mężczyzna.

– Przestań. Dochodzi dwudziesta druga! Dziś marzę już tylko o kąpieli i miękkich kapciach. Skąd ty się tu w ogóle wzięłeś?

Wytarła resztki pachnącego płynu z ramienia i twarzy.

Poznała go natychmiast, kiedy tylko na niego spojrzała. Byli rówieśnikami. Rodzice Zbyszka mieli bliźniacze mieszkanie dokładnie nad nimi. Jej pokój znajdował się w tym samym miejscu co jego, tylko piętro niżej. W ciepłe dni, kiedy okna były otwarte przez większą część dnia, chłopak spuszczał jej na sznurku koszyk z niespodziankami. Zwykle były w nim słodycze; czasem pojawiały się kwiaty, a jeszcze później – książki. Któregoś razu znalazła w nim puszystą miauczącą kulkę, która szybko przeistoczyła się w ważącego parę kilo kocura.

– Co z Baltazarem? – przypomniał jej kota, który nigdy nie mógł się zdecydować, do której rodziny chce należeć.

– Staruszek... Ciągle się zapomina i miauczy pod waszymi drzwiami. A od wyprowadzki twoich rodziców minął już... rok?

– Zgadza się.

– Co u nich? – Zamknęła torebkę i poprawiła włosy.

– Osiedli w końcu na Kierpcówce. Szykowali się do tego już od dawna. Mieszkanie na Kazimierzu zostawili mnie, a ja je właśnie sprzedaję. Przyjechałem do Krakowa, żeby załatwić tę sprawę. Masz transport? – zakończył, kręcąc nosem na jej wymuszony *look*.

– Wezmę taksówkę.

– Ja zapłacę i odstawię cię do domu. Przynajmniej w ten sposób się zrehabilituję. – Zarzucił swoją torbę na ramię i sięgnął po jej walizkę. Zanim opuścili dworzec, zaczął opowiadać jej historię ostatnich trzech lat. Nie widzieli się dokładnie tyle czasu, odkąd przeprowadził się w okolice Zakopanego, anektując na swoje potrzeby dom rodziców w wyższych partiach gór i znajdując zatrudnienie jako instruktor snowboardu na zakopiańskich stokach. Teraz w tym samym miejscu gniazdko na spokojną starość wili sobie starsi państwo, a on pracował już nad swoim, w Murzasichlu, skąd pochodziła jego świeżo poślubiona żona.

Zbyszek był pierwszym mężczyzną w życiu Izy. I jedynym z jej chłopców, który w stu procentach został zaakceptowany przez braci i niemalże przyjęty do rodziny. To przy nim uczyła się swojego ciała, czerpiąc radość z dziewiczej bliskości z mężczyzną i z bezpieczeństwa, którym ją otaczał. Kiedy oboje odkryli, że poza nimi są jeszcze inne światy, które chcą przemierzyć i poznać, rozstali się w takiej samej przyjaźni, jaka łączyła ich przez te wszystkie lata. Tak naprawdę ten moment bardziej przeżył pan Stawski, upatrzwszy sobie w sąsiedzie wymarzonego zięcia. Dość długo trwało, zanim zrozumiał, że musi wreszcie puścić dłoń ukochanej córki i pozwolić jej poszukać szczęścia na własną rękę. Chyba właśnie wtedy naprawdę wydorosłała.

Kosma ledwie się zorientował, a do swoich obowiązków musiał

dopisać kolejne – codzienną ocenę tanecznych postępów Halszki i Różanki. Na całe szczęście o odpowiednie stroje, kostiumy i całą resztę dbali dziadkowie Radeccy, z tym wyzwaniem wolał się nie mierzyć.

– Świetna ta pani instruktorka, wszystko jest u niej poukładane na tip-top. – Pani Radecka nie mogła się nachwalić Izy, kiedy ustalała telefonicznie z zięciem szczegóły kolejnego przyjazdu. – Mówię ci, ma podejście do dzieci, a nowe stroje wymyśliła tak fajne, że Róża i Hala zakochają się w nich od razu. Są bardzo w stylu Matyldy...

– Dobry rozmiar mama wzięła? Jakie butki do tego? – Kosma doskonale zdawał sobie sprawę, że dobór odpowiedniego obuwia może być dla kobiety, niezależnie od wieku, kwestią najwyższej wagi.

– Nic się nie martw, buty już mają kupione. Tak sobie myślę, że przy okazji pojedziemy jeszcze do fryzjera! Będą wyglądać jak księżniczki!

Tym razem do Warszawy pojechali tydzień wcześniej, zegnani przez Helmuta i pana Witolda, który zwyczajowo przejął na ten czas opiekę nie tylko nad psem, ale i całym gospodarstwem. Dziewczynki bez żalu pożegnały się z przedszkolem, kończąc ten etap edukacji wcześniej niż pozostali rówieśnicy. Po wakacjach czekała je szkoła, ale chwilowo zaprzętały je zupełnie inne wyzwania. Wakacje miały spędzić w większości u dziadków, korzystając z letnich półkolonii, podczas których pani Iza od tańca będzie je przygotowywać do jesiennego pokazu. Od dobrych dwóch tygodni nie liczyło się nic poza hitem Taylor Swift, do którego zawzięcie ćwiczyły kolejne kroki. Z czasowej rozłąki najbardziej chyba cieszył się Kosma, który nawet przy goleniu zaczynał już nucić: *So it's gonna be forever, or it's gonna go down in flames...*, kręcąc się przed lustrem niczym młoda amerykańska wokalistka. Wywoływał tym uśmiechy zażenowania swoich córek i lekkie zaniepokojenie Helmuta.

Wieczorem, kiedy na poranny wyjazd wszystko było już

przygotowane, a Halszka z Różanką usnęły zmęczone, Kosma usiadł w kuchni i pieczołowicie wytarł stół najpierw na mokro, później do sucha. Przez chwilę lustrował jeszcze pomieszczenie, jakby chciał sprawdzić, czy o czymś nie zapomniał. Wszystko jest na swoim miejscu, orzekł, rano tylko pozmywam po śniadaniu. Usiadł przy stole, z szuflady wyjmując kilka kartek, zapasowe pióro i tekturową podkładkę. Po kopertę będzie musiał iść do gabinetu, ale list wolał napisać tutaj. W kuchni zawsze rozmawiało im się najlepiej, oboje lubili spędzać tu czas. Za dnia przez szerokie okna wpadało dużo światła; siadał w kącie i obserwował wtedy Matyldę podczas domowych obowiązków. Zwykle prosiła go o obranie warzyw na zupę lub surówkę, czasem o rozwałkowanie ciasta na pierogi, a niekiedy po prostu nie robili nic, milcząc i karmiąc się tą ciszą. Oczywiście pod warunkiem, że dziewczynki nie domagały się uwagi. Dawniej nawet zwyczajne czynności miały swój niepowtarzalny urok i smak.

Znowu siedzę przy stole i patrzę na miejsce, w którym pożegnałem Cię przed wyjazdem. Niewiele się tu zmieniło od tego czasu, wiesz? Z przerażeniem myślę, że za kilka lat wyfruną stąd obie dziewczynki. Za duży ten dom dla naszej trójki; wróc i zrobmy tu na nowo mały tłok! Cztery to przecież nasza magiczna liczba...

Halszka i Różanka oszalały. Gdybyś widziała, jak zawzięcie tańczą, jak zabawnie gubią rytm i jak motywują się nawzajem. Robię im zdjęcia, całe mnóstwo fotografii, jakbym był Tonym Halikiem odkrywającym nowy ład czy nieznaną lud. Dzięki Tobie mam swoje własne „Pieprz i wanilię”; wracaj, pokażę Ci jeszcze inne smaki...

Kończyła myć ostatnie z trzech okien w największym pokoju, który przez wiele lat był centrum jej wszechświata. Doprowadzenie do ładu łazienki zostawiła sobie na później. Teraz trwał w niej biały montaż. Łazienka, pamiętająca jeszcze pierwsze powojenne lata, potrzebowała gruntownej przemiany. Ze starego umeblowania zostawiono tylko zabytkowe lustro, które matka Izy odziedziczyła jeszcze po swojej babce. Drewniana, misternie rzeźbiona rama, pieczołowicie odnawiana na przestrzeni kolejnych lat, nadawała teraz pomieszczeniu rustykalny ton, wydelikatniając surowe kolorystycznie wnętrze. Takie perełki krył zresztą każdy kąt mieszkania.

Nie zdekompletowano umeblowania w pozostałych pomieszczeniach; było w doskonałym stanie, a wśród nowoczesnych propozycji próżno byłoby szukać czegoś, co miałoby równie wysoką jakość, gwarantującą bezproblemowe użytkowanie przez lata. Jasne barwy ścian, które pomogła wybrać ojcu, i nowe, rozświetlające kolorystycznie tkaniny, były idealnym tłem dla starych kredensów i zgromadzonych w nich rodzinnych pamiątek.

Zeskoczyła z wysokiego parapetu zwabiona zapachem sernika ciotki Zofii. Cały remont wzięli na swoje barki jej synowie. I choć żaden nie był związany z branżą budowlaną, razem – zdaniem ich przyszywanej siostry – dokonali małego architektonicznego cudu.

Musiała zaproszyć czymś oko, kiedy wczoraj pomagała w odgruzowywaniu mieszkania. Od rana nieprzyjemnie łzawiło, momentami czuła nawet kłujący ból. Była zła na siebie i na swoją nieostrożność. Prawdopodobnie swoimi gwałtownymi ruchami spowodowała, że zalegający wszędzie remontowy pył uniósł się, podrażniając jej oczy drobinami budowlanej chemii. Wieczorem będzie zmuszona zrobić sobie jakiś ziołowy okład, a jeśli to nie pomoże, czeka ją wizyta u okulisty. Ściągnęła ochronne lateksowe rękawiczki i przyjrzała się swojemu wyraźnie zaczerwienionemu oku w lustrze.

Dołączyła do braci przy kuchennym stole. Kulinarna przyjemność skutecznie pozwoliła jej zapomnieć na chwilę o dyskomforcie. Rodzina jako panaceum na wszystkie bolączki? Położyła sobie na talerzyku największy kawałek ciasta.

Rano wstała ze zdecydowanie lepszym samopoczuciem i w dużo lepszej kondycji. Humor poprawiły jej naleśniki ciotki i fakt, że ból oka wyraźnie zelżał. Uspokoilo ją to. Do obiadu porządkowała biblioteczkę i układała rodzinną porcelanę; zdążyła upiąć świeżo powieszzone zasłony, a z kwaciarni na ich ulicy wrócić z naręczem tulipanów, którymi ozdobiła stół w salonie.

„Mam wolne popołudnie. Wyskoczmy gdzieś?” – zadzwęczała przychodząca na Messengera wiadomość.

Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, żeby poszła się trochę rozerwać. Ojciec nie miałby jej tego za złe. Zapewne sam by ją wypchnął z domu, zdając sobie sprawę, jaki ogrom fizycznej pracy wykonała przez te trzy dni.

„Nie dam rady. Jestem potrzebna ojcu. Innym razem” – odpisała niezgodnie z prawdą.

W korytarzu trzasnęły drzwi, zamknięte siłą przeciagu. Usłyszała kroki ojca i jego głośne sapanie. Profesor wszedł do pokoju i postawił przy ścianie ich stare dywany, które na czas remontu wynieśli do ciotki Zofii.

– Pomogę ci. – Odłożyła telefon na stół i podeszła do mężczyzny, który zabierał się do rozwinięcia największego z nich. – Wiesz, nie pomyślałabym, że ten stary parkiet może jeszcze być taki piękny.

– Prawda? – Przyznał jej rację, podnosząc stół, żeby mogła wsunąć pod niego dywan.

– Żadne panele nie dadzą takiego efektu. – Wstała i przyjrzała się wycyklinowanej podłodze lśniącej świeżym lakierem.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Izuniu... – Pan Stawski podszedł

do córki i ucałował ją w czoło.

– Tato, zrobiłam to z czystą przyjemnością.

– Ale bez szkód się przecież nie obyło. – Przyjrzał się uważniej jej twarzy.

– Przechodzi. Przejdzie! – Machnęła ręką, ułożyła dłonie na obu biodrach i rozejrzała się dookoła. – Ale efekt jest, powiem ci... – Kiwnęła głową zadowolona z siebie i z ich wspólnej koncepcji na wykończenie, która klimatowi sprzed lat dodała ponadczasowej świeżości.

– W zasadzie zostało nam tylko to uczcić, córeczko. – Profesor usiadł ciężko przy stole, opierając ramię o blat przykryty czystą serwetą. – Ciotka zaprasza nas na kolację!

Przypomniała sobie wiadomość od Zbyszka, który w trakcie ich rozmowy zdążył się jeszcze przypomnieć.

– Jeśli nie masz innych planów, rzecz jasna.

– Nie mam, tatku. – Decyzję podjęła bez zastanowienia. – I wzięłam sobie wolne na jutro, więc nie musimy kłaść się wcześniej spać.

– To prawda. Nikt nam za to głowy nie zmyje. A ciotce i chłopakom trzeba podziękować. Będziesz gotowa w godzinkę?

– Szybciej. Chociaż... W tej nowej łazience mogę się zapomnieć! – wołała, maszerując już po czystą garderobę.

Wołała zapomnieć się w ten sposób niż przy Zbyszku, który wciąż miał w sobie coś, co nie pozwalało jej trzymać wszystkich zmysłów pod kontrolą. Dziś wołała nie toczyć z nimi wojny, tym bardziej że oprócz tego ukrytego czegoś Zbyszek miał i żonę.

Gdyby chociaż przez chwilę się zastanowiła, to te kilka lat wcześniej nie dałaby się uwieść i Kosmie. Ale zanim przyszło jej do głowy, że on może być z kimś związany, przepadł tak nagle, jak się pojawił. Czas widać jednak spokojnie robił swoje, bo z każdą kolejną męską znajomością nie szukała już bliskości

bez żadnej głębszej refleksji. Zanim jeszcze sama potrafiła sobie tę zależność uzmysłowić, nie zdarzało jej się już później skracać dystansu między sobą a zainteresowanymi nią mężczyznami, dla których nie była jedynym kobiecym obiektem pożądania. Zaś na dźwięk słowa „żona” cała jeżyła się w środku i robiła taktyczny odwrót. Nigdy nawet nie zaświtała jej myśl, że mogłaby zachować się inaczej. Nigdy też nie walczyła o mężczyznę z inną kobietą. Ten rodzaj rywalizacji nie miał dla niej w sobie ani odrobiny atrakcyjności. To była jedyna sfera życia, w której poddawała się walkowerem.

Ryzyko zostawi sobie na swój pierwszy lot w wyjątkowo niekorzystnych warunkach pogodowych.

Mam wrażenie, że powtarzam klasę. Dziękuję ją z tymi, którzy tak jak ja nie odrabiali lekcji przez swoje lenistwo, głupotę i pychę, a na zajęciach z czułości, kompromisu, macierzyństwa oraz akceptacji gapili się w okno. Nagminnie docierałam do dzwonka uwieszona na czyimś ramieniu; kogoś, kto podpowiadał i dostała mu się za to bura...

Gdyby tylko zechcieli je przyjąć – podziękowałabym. Twojej żonie i mojemu mężowi. Jestem im wdzięczna. Za podpowiedzi i za to, że pozwolili nam odejść bez rozlewu krwi. Nigdy bym nie pomyślała, że za czyjeś rozczarowanie kupię sobie bilet w podróż do miejsc, gdzie nicość i kłamstwo nie mają już dostępu. Chciałabym móc kiedyś zwrócić ten dług. Jeśli znajdziesz jakiś sposób, żeby mi w tym pomóc, obiecuję, proszę, że dasz mi znać...

rozchyl usta
chę w nie wszeptać
nasze tajemnice
słowo za słowem
ukryć je
przed niezrozumieniem
i bólem samotnych
przed zazdrością
o smak chleba
ściskany w zmęczonych dłoniach
i chodźmy już wreszcie...
czas poczytać dzieciom

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Choć od jego epizodu z podkładaniem lektoratu do gry komputerowej minęło już wiele miesięcy, wciąż nie miał pewności, czy wykonana praca przełoży się na konkretne pieniądze. Wielokrotnie rozmawiał na ten temat z Matyldą, która może nie tyle studziła jego oczekiwania, co zalecała daleko idącą powściągliwość. Ta była mu jednak obca, bo wprawdzie nie lubił tracić kasy na głupoty – o ile głupotami nie nazwiemy oczywiście spełniania kaprysów swoich kobiet – ale przecież w rozrastającej się hodowli ciągle trzeba było coś udoskonalać, rozbudowywać lub dokupić. Musiał cierpliwie czekać, licząc na to, że projekt, do którego wszedł, trafi w swój czas i oczekiwania odbiorców. Nie był to zresztą pojedynczy wybryk; od powrotu ze Szwajcarii jeszcze dwukrotnie zaangażowano go do podobnego przedsięwzięcia. Te gry powstawały jednak z udziałem mniejszych środków i umowy za wykonaną pracę nie przewidywały dodatkowych gratyfikacji, musiał zadowolić się standardowym wynagrodzeniem. Nie było tego dużo, ale sprawiedliwie obdzielił i Michalinę, i maluchy. Starsza córka mogła spędzić kilka dni w Skandynawii, młodsze dostały bardzo wygodne rowery. Wszyscy byli zadowoleni.

– Dzięki, ojciec! – Michalina informację o przelewie przyjęła z entuzjazmem. – Wybiorę się w rejs, który odkładałam od dawna.

– Rejs? O czymś nie wiem? – Kosma zaniepokoił się lekko. – Zaczęłaś żeglować?

– Źle się wyraziłam, myślę o wycieczce promem – wyjaśniła. – Królewska Kopenhaga i taki jeden duński cud natury.

– Wyspa Møn?

– Nie, niemądry ojcie. Nikolaj Coster-Waldau! – odpowiedziała ze śmiechem. – Liczę, że go gdzieś tam spotkam...

Przez chwilę przekomarzali się jeszcze, wymyślając, gdzie i z kim mogliby się wypuścić, mając odpowiednie fundusze i równie ciekawe znajomości. Kosma zakończył rozmowę obietnicą, że też zastanowi się nad wypoczynkiem. Porządny urlop należał mu się od dawna.

– Dam ci znać, jak wybiorę coś odpowiedniego – powiedział na pożegnanie. – Uważaj na potomków Wikingów!

Z młodszymi córkami poszło nieco trudniej, bo zakup odpowiednich rowerów dla kilkuletnich podrostków już na starcie przerodził się w spór. Na początek poszło o kolor, który w obu przypadkach powinien być zielony.

– Ja chciałam pierwsza zielony! – Halszka wzięła się pod boki; brakowało tylko, żeby tupnęła przy tym nogą.

– A nie, bo ja! – sprzeciwiła się Różanka, czym potwierdziła, że prosta z pozoru czynność będzie wymagała od Kosmy nie tylko cierpliwości, ale i niemałych zdolności negocjacyjnych.

– Może przede wszystkim sprawdzimy, jakie rowerki są w sklepie? I na miejscu podejmiecie decyzję, które się nadają dla małych księżniczek? – Takie rozwiązanie choćby na chwilę odsuwało od niego konieczność interwencji i pozwalało na krótki rozejm.

– No nie wiem, ja chcę zielony. – Halszka najwyraźniej nie była gotowa na kompromis.

– Przecież zielony jest dla mnie! – zaproponowała natychmiast jej siostra i wrócili do punktu wyjścia.

– Wiecie co? – przerwał ich kłótnię. – Odkładamy zakupy do momentu, w którym dojdziecie do porozumienia.

To było rozsądne, przynajmniej według niego.

O świcie obudził ją ostry ból. W jednej chwili zrobiło jej się gorąco z niepokoju. Wstała i szybko przeszła do łazienki. Wyglądała gorzej niż poprzedniego dnia. Oko było dodatkowo mocno zaczerwienione. W łazienkowym świetle dostrzegła też wyraźnie zmieniony kolor tęczy. Nie było dobrze. Nie kładła się już. Wsypała kawę do zaparzacza i wróciła do pokoju, żeby się ubrać. Ojciec musiał usłyszeć, że kręci się po domu, bo i w jego sypialni rozpoznała poranny ruch. Kiedy smarowała tosty masłem i powidłami śliwkowymi, wszedł do kuchni.

– I jak dzisiaj? – zapytał z troską w głosie. Poprzedniego wieczoru ból oka wzmógł się na tyle, że nie zabawiła długo na prozowanej kolacji i wcześniej położyła się do łóżka.

– Gorzej.

Spojrzała na ojca znad talerza ze śniadaniem.

– Rzeczywiście...

Profesor skomentował jej widok w taki sposób, że nie patrząc w lustro, wiedziała, jak wygląda. Potrzebowała fachowej pomocy.

– Poszukamy czegoś prywatnie. Tak będzie najprościej i najszybciej – przejął inicjatywę. – Antek! Zacznę od niego.

Pozwoliła ojcu działać, sama skubiąc śniadanie, które przestało jej smakować na myśl o godzinach, które zapewne

przyjdzie jej strawić w lekarskich poczekalniach.

Profesor pstryknął przełącznikiem elektrycznego czajnika i wystukał na klawiaturze telefonu pierwszy numer. Wśród jego wieloletnich przyjaciół było kilku lekarzy, w tym ich rodzinny anioł stróż – pediatra, który swego czasu był stałym gościem w mieszkaniu na krakowskim Kazimierzu. Iza nie była zdziwiona, że i tym razem doktor Krynicki był pierwszy na liście do obdzwonienia. Kilkanaście minut później znała już adres gabinetu i godzinę umówionej wizyty.

Przeszklona winda w gmachu NTV pokonywała kolejne kondygnacje niemal bez żadnego dźwięku. Jedynie dyskretne piknięcia sygnalizowały postój na poszczególnych piętrach; podróżujący nią pasażerowie nie różnili się od tysięcy innych osób stłoczonych w tym zwykle za ciasnym środku lokomocji w podobnych biurach na całym świecie. Nikt nie patrzył sobie w oczy, każdy przyoblekał twarz w rodzaj grymasu udającego uprzejmy uśmiech. Dlatego Kosma wybierał schody, bo czasem mógł spotkać tu znajomego dziennikarza, a jak uśmiechnęło się szczęście, to i nad wyraz zgrabne dziewczęta z redakcji meteorologicznej. Szczebotały jak najęte, pokonując kolejne stopnie na swych piekielnie długich nogach; nic dziwnego, że na schodach robiło się wtedy tłoczno. I gorąco.

On sam, choć nie należał do flagowych okrętów tej stacji, cieszył się sympatią sporej części zespołu. Wiele osób w jakiś sposób inspirowała droga, jaką przeszedł. Choć głośno nie rozpowiadał o swoich kłopotach, to jednak w tak małym środowisku niewiele można było zatrzymać dla siebie. To, co działo się w jego życiu, wzbudzało sporo emocji zwłaszcza wśród rzeczonych dziewczyn od pogody. Kiedyś korzystałby z tego, wpychające się w ręce szczęście rwąc jak świeże wiśnie, do czego namawiał w starym tangu Tadeusz Faliszewski, najpopularniejszy po Foggu i Witasie piosenkarz przedwojennej

Polski. Dzisiaj Kosma ograniczał się do serdecznego zachwyty nad ich urodą, rozdając komplementy oszczędnie, acz każdej po równo.

Kiedy dotarł na trzecie piętro, pod drzwi Edmunda Kiszczaka, poprawił krawat i dopiero wtedy zapukał. Usłyszawszy ciche „zapraszam”, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Stary siedział pochylony nad statystykami, wśród których przeważały raporty z badań oglądalności. Kosma czasami zastanawiał się, czy dyrektor ma czas na inne lektury.

– Co u ciebie? – Kiszczak podniósł głowę i kiwnął nią na przywitanie, czytania jednak nie przerwał. Nie uraziło to Kosmy, podzielność uwagi starego była powszechnie znana.

– Tak sobie myślę... – zaczął ostrożnie.

– Lubię myślących, dawaj dalej. – Kiszczak zdawał się połknąć haczyk.

– Może byśmy zrobili taki program: wiesz, na pełnym wypasie, z plenerem, dobrze oświetlonym studiem, jakiś dobry aktor by poprowadził...

– Przecież wiesz, że dla mnie aktor to może poprowadzić co najwyżej wózek z dzieckiem na spacer. Co tam wymyśliłeś?

– Taki show. *Jak oni hodują*. Co myślisz? – Kosma z trudem powstrzymywał śmiech. Na razie szło dobrze, stary nie połapał się ani trochę.

– Jak oni... co? Ty się dobrze czujesz?

– Znakomicie. Pomyśl tylko! Ja mam ślimaki, Kraśko konie, na bank ktoś tam trzyma gołębie. Cygan pewnie hoduje, bo on z Zagłębia! Znajdziemy świetną grupę i będziemy eliminować najśłabsze ogniwa. Hit! – Kończąc, śmiał się już w najlepsze.

– Idź w cholere! – Kiszczak dopiero teraz połapał się w jego zamiarach. – Jeszcze jakiś pomysł? Bo mam dużo roboty.

– Nie, tak tylko wpadłem zapytać, jak się czujesz. – Kosma

wstał i powoli kierował się do wyjścia. To była kurtuazyjna wizyta, nie zamierzał zabierać mu czasu.

– Poczuję się lepiej, jak te gnojki z SatPolu spadną w badaniach jeszcze trochę! – Machnął ręką i wrócił do swoich zajęć. Kosma był już niemal na korytarzu, kiedy Edmund zapytał jeszcze: – Jak to było? *Jak oni hodują?* A wiesz, że to nie takie głupie?

Makarski uśmiechnął się do niego i zamknął drzwi. Zanim odszedł, usłyszał jeszcze, jak stary podnosi słuchawkę i dyktuje asystentowi: „Sprawdź no, kawalerze, czy nie ma gdzieś takiego formatu, że gwiazdy coś hodują. Tylko dyskretnie”. Kosma pokiwał głową z niedowierzaniem – to już szaleństwo; czy ktoś to w ogóle ogarnia rozumem? *Jak oni hodują?* Co jeszcze wymyślą?

To zresztą nie był jego pomysł – tak właśnie zareagowała Matylda, kiedy przywiózł jej garść najświeższych plotek po jednym z pobytów w stolicy. Siedzieli wieczorem przy telewizorze, odpoczywając – ona po całym dniu malowania, Kosma po pracy i drodze powrotnej z Warszawy. Przeglądali kanały, komentując poszczególne programy.

– Skoro rolnikowi znaleźli żonę, to może i ty się zakręcisz? – zapytała, puszczając przy tym do niego oko. – Jesteś teraz gospodarzem pełną gębą, panem na hektarach.

– Chyba bardziej na hektarze... – odpowiedział ze śmiechem. – Poza tym ja nikogo nie szukam.

– Podoba mi się twoje podejście! – Przysunęła się bliżej i go pocałowała. – Ale poważnie mówiąc, może byś w jakiejś śniadaniówce opowiedział o ślimakach?

Dobrze wiedział, że wcale nie mówi poważnie i że wkręca go dalej. Te chwile lubił najbardziej, więc z przyjemnością obserwował, jak zapala się do najdziwniejszych pomysłów. *Jak oni hodują* był jednym z nich. Zamykając jej wreszcie usta pocałunkiem, zastanawiał się, czy to nie ona powinna

regularnie spotykać się z dyrektorem programowym telewizji, która go zatrudnia. Taki potencjał nie powinien się marnować.

Zwykle prosiła o dwie, myśląc, że wystarczą, ale i tak w końcu dokupowała co najmniej jedną. Od dłuższego czasu od razu brała więc trzy gałki. Dziś nie wyłamała się ze swojego rytuału. Ledwo powstrzymała się, żeby zamówić kolejną zimną kulkę. LodoJadacza odkryła przypadkowo, kiedy wypuściła się na zakupy aż na Imielin. Lodziarnia serwowała specjały według tradycyjnej włoskiej receptury i – jak zapewniała właścicielka, która sama podawała gościom zamówienia – wyłącznie ze świeżych składników i owoców. Kiedy Iza spróbowała ich po raz pierwszy, była zła, że nie znalazła tego miejsca wcześniej. Kilka razy nawet specjalnie jeździła metrem po lodowe zapasy. Ruchomy punkt lodziarni, który pojawiał się w letnich miesiącach również nad Wisłą, zmienił jej kierunek spotkań z przyjaciółmi. Był więcej niż odrobiną prawdziwych Włoch na terenie całej lewobrzeżnej Warszawy.

Siedziały na betonowym murku przy zejściu do rzeki. Oko, poddawane intensywnej zewnętrznej i wewnętrznej kuracji, miało się już znakomicie, ale Iza wciąż pilnowała, żeby duże okulary przeciwsłoneczne nie zsunęły jej się z nosa nawet o milimetr. Nie chciała, żeby stan zapalny powrócił w wyniku jakiegoś zaniedbania. Jeśli chce wsiąść do samolotu w przyszłym tygodniu, musi być zapobiegliwa.

Jakaś kobieta ze sporą nadwagą, pchająca przed sobą dziecięcy wózek ze śpiącym niemowlakiem w środku, otaksowała ją wzrokiem, na dłuższą chwilę zatrzymując go na napoczętej przez Izę porcji lodów.

– Znasz ją? – Zuzie nie umknęło nieprzyjazne spojrzenie tej pierwszej. Iza bezbłędnie odczytała powód zainteresowania nieznajomej. To nie był pierwszy raz, kiedy inne kobiety,

przeważnie dużo starsze i delikatnie mówiąc, o mniej ciekawej figurze, przyglądały się jej z wyraźną zawiścią. To prawda, wciąż zdarzało jej się robić zakupy w rozmiarze trzydzieści cztery. Po tylu godzinach na sali treningowej zdziwiłaby się jednak, gdyby było inaczej.

– A czemu ty wzięłaś tylko jedną? – Dopiero teraz Izę zastanowiło to, że przyjaciółka właśnie kończyła swoją skromną porcję.

– Ja? – Pytanie łakomczucha, jakim wbrew pozorom była Zuza, zdawało się retoryczne.

– Ty.

– Przed wyjściem wcisnęłam szejka ze szpinakiem, nie jestem głodna.

– Ty zawsze jesteś głodna, Zuza. – Stawska odwróciła się twarzą do przyjaciółki. Na twarz dziewczyny wypłynął zagadkowy uśmiech. – Ten z trzeciego piętra? – Iza błyskawicznie skojarzyła uczynnego sąsiada koleżanki z jej urodowymi zabiegami.

– Ten.

– Mówiłaś, że stoi nad grobem!

– Wyjdę za niego.

Iza niemal ugryzła się w język.

– Od początku miesiąca wizualizowałaś się na ślubnym kobiercu już ze trzy razy – przypomniła przyjaciółce częstotliwość, z jaką Zuza deklarowała chęć zamążpójścia.

– Tym razem to jest to, Izabelo.

Iza przez długi czas zapamiętywała się w kokosowej ambrozji. Zuza używała jej pełnego imienia tylko wtedy, kiedy nie żartowała.

– Mhmmm... Podsumujmy. Facet ma: pewną robotę, swoje mieszkanie, samochód i dwa koty. Nie ma: długów, żony, dzieci,

młodości i włosów! Ani jednego, zaznaczam.

– I?

– Nie zastanawia cię to?

– Co? Że jest łysy?! – W głosie Zuzanny brzmiało autentyczne zdumienie.

– Zuza, podejrzenie idealny i stary! To pierwsze, powiem ci, da się jeszcze przełknąć. Ale sama mówiłaś...

– Zmieniłam zdanie.

– Wkręcasz mnie.

– Skąd! Jest tylko trochę starszy od tego twojego dziennikarza, pamiętasz go jeszcze? Nie mów, że nie pamiętasz, bo nie uwierzę. Jak mu tam? – Zuza sięgnęła do wspomnień.

Cóż... Był to jakiś argument. Ale koniec końców Iza nie usłyszała od Kosmy żadnych deklaracji. Ba! Nigdy nie dostała od niego żadnego prezentu, nie mówiąc już o obietnicy wspólnej drogi przez życie. Chociaż kiedy pierwszy raz wspominała o nim przyjaciółce, musiała mieć jeszcze iskry w oczach. Od tego czasu jednak płonęła już co najmniej kilka razy. Jednak ani razu przed ołtarzem i z podniecenia na myśl o ciepłe domowego ogniska.

– Wiek nie ma znaczenia, Izuś...

Iza patrzyła na kąciki pełnych ust przyjaciółki uniesione w zadziornym uśmiechu, jakby to właśnie one miały mieć największą radochę z wyczekiwanej konsumpcji.

– Tak... Nie ma. – Zuza sama sobie przytaknęła z wyraźną aprobatą i chwilę później odpłynęła w swoją nową rzeczywistość.

Jak ona to powiedziała? Wiek... nie ma znaczenia? Zadając sobie w myślach to pytanie, Iza doszła do wafelka. Kosma? Nie wyglądało na to, że jeszcze się pokaże. A gdyby się pojawił, to co? No, właśnie, co? Precyzyjniej potrafiłaby odpowiedzieć teraz

na pytanie, jak powinno wyglądać lądowanie z wiatrem bocznym. W tej chwili bardziej podniecało ją kombinowane z wykorzystaniem jednocześnie przechylenia i poprawki w kursie niż on.

Opowiem Ci coś. O mnie. Coś, czego jeszcze o mnie nie wiesz i czego nie mówiłam jeszcze nikomu. Czuję ulgę. Zniknęła gdzieś potrzeba wypinania piersi i przywoływania na twarz zalotnego uśmiechu. Przystałam stosować grę pozorów, żeby siebie podkoloryzować, jak kiedyś czarno-białe fotografie. Przystałam grać! Ukrywać braki w wiedzy, nowe pasma siwych włosów i poglądy. Jak mydlana bańka pęka rozczarowanie, jeśli nikogo już nie zachwycam. Albo kiedy jakiś obcy mężczyzna mija mnie zupełnie obojętnie... Ten teatr nie jest mi już potrzebny do życia. Może to właśnie nazywa się dojrzałością? Nie wiem. Nie wiem nawet, czy już ją mam, ale obudziła się we mnie świadomość siebie. Zapłaciłam za to wygórowaną cenę. Teraz... składam znowu grosz do grosza. Mój wielki kapitał małych szczęść! Stałam się kobietą, a wierność w końcu ściągnęła mnie ze sceny. Teraz wiem i to, że na widowni również nie brakuje emocji.

Znalazłam dziś pod łóżkiem przytulankę Róży. Nie zauważyłam jej, pakując walizki. I wiesz, co poczułam? Wstyd. Poczułam jakiś dziwny rodzaj wstydu, że nie ma mnie przy Was. Jeśli kobieta może żyć w tak różnych światach, to ja jeszcze i to muszę zrozumieć! Noszę tę szmaciankę w torebce i odliczam godziny do powrotu. A sukces, Kosma, sukces... już mi tak nie smakuje. Wolę Twoje owoce w roztopionej czekoladzie.

W nocy nad stolicą kilka kolejno następujących po sobie nawałnic zmyło cały warszawski kurz do ulicznych studzienek. Od samego rana niebo było zasnutę ciężkimi, sinymi chmurami.

Nie wiało, ale gęsty deszcz, który nawet na chwilę nie ustawał, wystarczająco zniechęcał do wyjścia z domu. Ochłodziło się nieprzyjemnie, co wespół z wilgocią, która wdzierała się wszędzie, stanowiło skuteczną barierę przed wycieczkami gdziekolwiek. Iza nie zdziwiła się więc, że klub świecił dziś pustkami. Z dwóch przedpołudniowych grup na zajęcia nie dotarł żaden maluch. Za godzinę, na popołudniową zmianę, powinien pojawić się Olek. Gdyby wiedziała, że nie będzie miała nic do roboty, poprosiłaby, żeby zjawił się zaraz po śniadaniu i razem doprowadziliby do ładu szatnię, w której poprzedniego dnia jakiś mały urwis wylał na ścianę trochę szybko schnącej farby.

Do coraz dzikszych pomysłów dzieci zaczynała się powoli przyzwyczajać, ale z beczynnością nigdy nie była za pan brat. Przewornie zabrała dziś z domu Domicza i Szutowskiego, kolejne zdania jednak dosłownie przepływały przez nią, nie pozostawiając po sobie w pamięci żadnego śladu. Po godzinie studiowania tego samego akapitu, zniecierpliwiona zamknęła grubą książkę i odsunęła ją na brzeg uporządkowanego biurka. Brakowało jej w tym pokoju okna. To był jedyny mankament całego wynajmowanego lokalu. Dwie przestronne sale z wielkimi oknami wychodzącymi na zadbane park były tym, co przesądziło o zainwestowaniu właśnie w to miejsce. W biurze, jak nazywała niewielkie służbowe pomieszczenie, spędzała tylko konieczne minimum, papierkową robotę zabierając często po prostu do domu.

Przygotowała sobie kawę i dołała do niej odrobinę mleka migdałowego. W pokoiku była wygodna kanapa, z której korzystali między zajęciami, ale i tak wołała okienny parapet sali, którą okupowała z najmłodszymi podopiecznymi. Z kubkiem gorącego napoju w dłoni podeszła do szafki ze sprzętem grającym i po chwili zastanowienia wyszukała odpowiedni utwór. Simply Red ze swoich najlepszych czasów wypełnili całe pomieszczenie.

Usiadła na szerokim parapecie i wyciągnęła przed siebie obie nogi, plecy opierając o ścianę. Zamknęła oczy i dała się ponieść fali dźwięków... Nagle zapragnęła tej konkretnej czułości, której odmawiała sobie przez ostatnie miesiące, chociaż na brak adoracji ze strony mężczyzn nie mogła narzekać. Świadomie jednak rezygnowała z intymnych zbliżeń, tym razem czekając na moment, który będzie wiązał się z prawdziwym zaufaniem i pewnością, że po kilku godzinach namiętności zostanie więcej niż puste łóżko, rumieniec niesmaku na policzku i lakoniczne esemesy. Zaczynała do tego dojrzywać, jak do przebierania owoców. Nie zawsze ten błyszczący świeżością okazywał się najlepszy. Czasami wystarczyło przyjrzeć mu się bliżej, żeby znaleźć pęknięcie albo fragment, który psuł cały smak...

Nie spieszyła się. Ale nie byłaby ze sobą szczerą, gdyby próbowała sobie wmówić, że życie singielki jej odpowiada. Niezobowiązujący seks coraz częściej pozostawiał w niej niezdefiniowaną pustkę. Odstawiła kubek z kawą i zaczęła mocno rozcierać dłońmi stopy. Od samego rana czuła w nich nieprzyjemne mrowienie. Wyraźnie nie służyły jej godziny przy komputerze w wymuszonej pozycji. Bo chyba nie był to jeszcze czas, kiedy zmianę frontu atmosferycznego będzie zapowiadało jej własne ciało zamiast pogodyni!

Przez uchylone na korytarz drzwi zajrzał Olek.

– Zmiana warty! – zawołała do niego, ścisząc muzykę. Chłopak uniósł kciuk do góry, zdejmując z głowy ociekający wodą kaptur kurtki przeciwdeszczowej i zniknął na zapleczu. Właściwie, czemu nie? Przewietrzy się i rozrusza nogi drętwiejące zapewne od bezruchu. Może nawet zje na mieście coś mocno kalorycznego? W końcu młodość rządziła się swoimi prawami, a ona zamierzała skorzystać ze wszystkich. Po kolei.

Drzwi zaplecza otworzyły się gwałtownie, uderzając głośno

o stojący przy ścianie wieszak na ubrania.

- On mnie popchnął!
- To on mnie popchnął!
- Ty pierwszy!

Dwóch zaciętrzewionych malców z wypiekami złości na policzkach mierzyło wzajemnie w siebie oskarżycielsko palcami, stojąc naprzeciwko chyba tylko na odległość niekontrolowanego ugryzienia przeciwnika. Musiała wkroczyć na ring.

– Proszę mi natychmiast... – Odstawiwszy świeżo napoczętą sałatkę makaronową, podniosła się szybko z kanapy. Chwilę później leżała już na podłodze, czując, jak pulsuje i puchnie jej policzek, którym najpewniej zawadziła o kant stołu. Na kilka sekund w kantorku zaległa głucha cisza, po czym dzieci z głośnym: „Proszę panaaaa!” wybiegły z pokoju.

bledniesz mi
cichniesz
tracę liście
twoich spojrzeń i gestów
babie lato niedziel
ukrywa się
po polach
po ogrodach
niemi świadkowie
naszej bezkresnej czułości...
boję się pamiętać
boję się zapomnieć

ROZDZIAŁ ÓSMY

Budynek kliniki był dokładnie taki jak w amerykańskim filmie. Nowoczesny, sterylny i pełen kwiatów, które miały ocieplić to miejsce. Bezskutecznie. Zresztą nie przyszła tu, aby podziwiać wystrój wewnątrz, tylko usłyszeć, co jej jest. Kiedy już do tego doszło, przez chwilę łapała powietrze i patrzyła zdumiona na lekarkę. Ta wciąż coś mówiła, ale mózg Izy uczeplił się jednego wyrażenia i rozkładał je teraz na czynniki pierwsze.

Sclerosis multiplex. SM. Stwardnienie rozsiane, taka była wstępna diagnoza i taką podtrzymano po ostatnim badaniu, rezonansie magnetycznym.

Leżała w wąskiej tubie porażona strachem, niezdolna do najmniejszego ruchu. Żadne ostrzeżenia i pouczenia kobiety obsługującej urządzenie nie były jej potrzebne, tkwiła tam nieruchomo jak nieżywa, modląc się, by to wszystko okazało się koszmarnym snem. Wcześniej, podczas wizyty u neurologa, została solidnie ostukana, sprawdzono prawidłowość odruchów kończyn, a mina lekarki stawiającej diagnozę była jednoznaczna.

– Proszę się nie martwić, to jeszcze nic nie znaczy. – Kobieta starała się nie patrzeć jej w oczy, choć biorąc pod uwagę jej

staż, do takich rozmów powinna być przyzwyczajona. Tylko czy można się uodpornić na takie momenty, kiedy odbiera się innym nadzieję?

Rezonans potwierdził najgorsze, w jej przypadku nie było większych wątpliwości. Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to wózek inwalidzki. Tylko z nim kojarzyła sobie ten termin. Pojawienie się go w kontekście jej osoby było tak nierzeczywiste jak to, że trzymała teraz w dłoniach plik kartek z wynikami badań, jakby to było cudze życie, a nie jej przyszłość. Jej skóra wciąż błyszczała morską opalenizną, ciągle miała na sobie dres do tańca, a w głowie zarys kolejnych układów tanecznych na jesienny sezon! To wszystko miałoby się zmienić?! Chciała płakać...

Od kilku godzin tkwiła przy komputerze, próbując usystematyzować sobie, pogłębić i porównać wiadomości, którymi zasypano ją w przyszpitalnej poradni na Szaserów, dokąd została skierowana na szybką diagnostykę. Z morza medycznych sformułowań i specjalistycznych skrótów wyłaniał się niezbyt czytelny obraz choroby, która wciąż miała w sobie wiele znaków zapytania. Większość wątpliwości dotyczyła jej etiologii, ale nie mniej niepokojąco brzmiały informacje o przebiegu i metodach leczenia. O tych dwóch ostatnich przeczytała niemal wszystko, co udało jej się znaleźć w sieci, odkąd na drżących nogach wyszła z gabinetu lekarskiego. Zapamiętała jedno: kolejny rzut – bo takim terminem określano cyklicznie pojawiające się ataki choroby – mógł się pojawić już jutro, za tydzień albo za rok, ale mógł też nie pojawić się wcale. Mógł być ostatnim w jej życiu i więcej już nie zachwiać jej zdrowiem, równie dobrze jednak za kilka miesięcy może przestać chodzić. Wszystko zależało od tego, jak długo się komórek nerwowych w jej mózgu będzie się bronić przed destrukcją swojej delikatnej struktury. Część informacji o sposobach leczenia przedstawiała się zdecydowanie mniej optymistycznie...

Dźwięk dzwonka do drzwi sprawił, że poderwała się na krześle i o mały włos nie wylała na klawiaturę laptopa szklanki soku, którą postawiła sobie przy komputerze.

– Tatku... – Przyłgnęła do ojca, nie mogąc wydusić z siebie nic więcej. Pozwoliła mu się zamknąć w ramionach, chociaż tym razem zdawała sobie sprawę, że będzie trudniej niż wtedy, kiedy pierwszy raz bolały ją ząb czy złamane serce.

Zaplanował, że spakuje najpotrzebniejsze rzeczy i zabierze ją do Krakowa. Zaskoczyła go odmową. Zdecydowała, że zostanie w Warszawie, póki będzie dawała sobie radę sama. To mu się nie podobało. Był nie mniej poruszony diagnozą niż córka, ale nie nalegał na zmianę jej decyzji. Była dorosła, poza tym czuł, że jest w stanie sama obiektywnie ocenić swoje możliwości; o ograniczeniach wolał na razie nie myśleć. Może to ona ma rację? Że nie warto czekać na nie z założonymi rękami?

Diagnozę potwierdził jeszcze inny neurolog – chcieli mieć pewność. Ta wizyta jednak okazała się tylko formalnością. Kiedy wracali autem do jej warszawskiej dziupli, ciszę między nimi można było kroić nożem. Na całej powierzchni ciała profesor czuł gęsią skórę przerażenia córki. Dałby wszystko, żeby ten strach należał tylko do niego.

– Izuniu...

– Pamiętasz, co powiedział?

Pytanie zawisło w mikroskopijnej kuchni dziewczyny, muskane tylko tykaniem ściennego zegara, który kilka lat wcześniej zabrała z krakowskiego pokoju matki.

– Że nic więcej może się nie wydarzyć – odpowiedziała sobie sama na postawione chwilę wcześniej pytanie.

Milczał. Pragnął, żeby dokładnie tak się stało. Miał irracjonalne wrażenie, że jeśli spróbuje temu zaprzeczyć,

choroba ruszy na nich obydwójce jak lawina. Iza zdawała się bardziej opanowana niż on sam.

– Zostać z tobą jeszcze trochę? – Wykręcał się od tematu.

– Zostań do jutra, jeśli możesz.

– Mogę, oczywiście.

– Doktor mówił o rehabilitacji, programie lekowym... dużo tego.

– Przejrzymy to wszystko, podzwojemy. Zaczniemy od miejsc, gdzie zajmują się tylko tym. – Wyartykułowanie na głos nazwy choroby było teraz ponad jego siły. – Antek dał mi kilka wskazówek, nie będziemy się poruszać po omacku.

Smarowała wolno chleb masłem i pieczołowicie układała na nim grube plastry żółtego sera. Nie zjedli nic na mieście. Najpierw nie była głodna, a później nie miała ochoty czekać na zamówienie w zatłoczonych knajpach. Pusty od rana żołądek wreszcie zaczął domagać się uwagi. Ugryzła kęs niewielkiej kanapki. Smakował dziwnie albo tylko tak jej się wydawało.

Chciała powiedzieć ojcu, że tak naprawdę to ona w to wszystko nie wierzy. Widziała siebie nad talerzem jak kadr starego filmu, który oglądała lata temu i zapomniała, co było dalej. Stopklatka. Bezgłośna i beznamiętna. Bez pytań i odpowiedzi. Ktoś powinien podmienić głównego bohatera. Tak. Ktoś powinien to zrobić.

Spotkanie było tak przypadkowe, że gdyby podobną scenę obejrzał w kinie, popukałby się w czoło z niedowierzaniem. Z drugiej strony, gdzie mieliby się spotkać, jak nie w kawiarni, w której wszystko się zaczęło? Żółta Ciżemka przez ten czas, kiedy do niej nie zaglądał, wcale się nie zmieniła, jeśli nie liczyć barmanki i nowego kelnera. To dziwne, ale od chwili, kiedy szukał tu Izy przed kilkoma laty, nie był w tej kawiarni ani

razu. Wtedy otrzymał informację, że jego znajoma już tu nie pracuje, co poskutkowało tym, że stracił zainteresowanie lubianym wcześniej miejscem. Dziś wszedł do środka trochę wbrew sobie, ale po porannej sesji nagraniowej był po prostu głodny, a Ciżemkę miał po drodze. Ochota na bajgla zwyciężyła; wszedł do lokalu i w drzwiach wejściowych zderzył się z...

– Iza? Nie wierzę – powiedział, uśmiechając się szeroko. – To się nie dzieje naprawdę...

– Uderzyłeś mnie! – To rzeczywiście była ona; stała przed nim, rozmasowując ramię, które potracił niechcący.

– Przepraszam, zagapiłem się. – Cofnął się lekko. – Spieszysz się? Możemy porozmawiać?

– Coś się stało? – zaniepokoiła się. – Coś z dziewczynkami?

– Skąd, wszystko w porządku. Ale ponieważ nie do końca wierzę w przypadki, to skoro już na siebie wpadliśmy, to...

– Ty na mnie wpadłeś! – przerwała mu bez przekonania.

– ...to może przypomnimy sobie kilka lepszych momentów?

Spojrzała na niego pytająco, jakby niepewna intencji. On sam patrzył na nią inaczej niż kiedyś, bez tego pożądanego, które teraz ustąpiło miejsca chyba sympatii.

– Nie wiem, jak z tobą rozmawiać – odezwała się cicho.

– To pozwól, że ja będę mówił. Jeśli masz dla mnie czas, rzecz jasna?

Miała, więc tak jak kiedyś opowiedział jej wszystko. O swojej chorobie, o przemożnym lęku oraz o tym, jak prawie się poddał i każdego dnia budził się z życzeniem śmierci.

– To wtedy tu przyszedłeś pijany, tak? To był ten czas? – przerwała mu tylko raz, jakby chciała sobie uporządkować wszystko chronologicznie.

Skinął głową i opowiadał dalej. O kuracji w Szwajcarii, o gromie z jasnego nieba na lotnisku, kiedy dowiedział się, że

znów został ojcem. I o wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce później. Kiedy kończył, miała łzy w oczach i nie odezwała się ani słowem. Kelner kilkakrotnie dyskretnie zaakcentował swoją obecność, ale oboje zdawali się nie zwracać na niego uwagi. Zamówione herbaty dawno wystygły, żadne z nich jednak tego nie zauważyło. Kosma zapomniał nawet, że przywiódł go tu głód, w tej chwili po prostu cieszył się, że mógł z nią porozmawiać. Była jedną z tych osób, do których miał całkowite i niewytłumaczalne zaufanie, dokładnie taka, jaką zapamiętał przed laty.

– Teraz ty... – poprosił. – Opowiadaj.

Przez dobre kilkadziesiąt sekund kręciła powoli łyżeczką w filiżance zimnej herbaty.

– Jestem chora, Kosma. Nieuleczalnie. Nic więcej się nie liczy. Nic więcej się nie wydarzy. Nie wiem, czy ma sens, żebyś tego słuchał... – Popatrzyła na niego błyszczącymi oczami.

– Nie rozumiem? – Kosma nie miał pojęcia, o czym ona mówi. To była przecież Iza, uczyła tańczyć jego córki, przed laty pieścił jej ciało! – Iza?

– Mam stwardnienie rozsiane. – Mówiąc, patrzyła mu prosto w oczy, jakby szukała w nich zaprzeczenia diagnozy. Dostrzegła tylko szybko pojawiający się żal. Odwróciła wzrok. – Chodźmy stąd, muszę wyjść na powietrze.

Makarski zostawił banknot na stole i podniósł się szybko. To spotkanie nie tak miało wyglądać. To się nigdy nie skończy, pomyślał. Nigdy!

Pomógł jej zebrać torebkę, telefon i klucze, które zostawiła na stole. Bał się tego, co usłyszy za chwilę. Bał się, choć obiecał sobie, że strach nie będzie miał już wstępu do jego życia.

[...] *Ziemię zamieszkuje naród, który jest właściwie wolny od*

stwardnienia rozsianego – Japończycy. W całym kraju dotychczas odnotowano jedynie dwadzieścia dziewięć przypadków (w tym żyjących tam obcokrajowców). Przez dłuższy czas na [...] liście chorych z tego kraju widniał tylko jeden mężczyzna z Tokio – Brytyjczyk, nauczyciel angielskiego. [...] Jest coś, co odróżnia Japonię od reszty świata – sposób odżywiania się. Ludzie zamieszkujący ten kraj zazwyczaj spożywają wielokrotnie w ciągu dnia świeże warzywa oraz surową rybę. [...] Naród ten właściwie nie spożywa słodczy, produktów mlecznych, a także unika mięsa^[3].

Obłożyła się książkami, które udało jej się wyszukać w specjalistycznych księgarniach i w sieci. Przemknęło jej przez myśl, co by się stało, gdyby tak po prostu schowała głowę w piasek. Wielu wykonałoby właśnie taki ruch i wielu nie byłoby w stanie zrobić nic więcej. Nie byłaby sobą, gdyby poszła ich śladem. Musiała wiedzieć. Jeśli cokolwiek ją zabije, to na pewno nie będzie to niewiedza!

Drobiazgowo wybrała tylko najnowsze publikacje z ostatnich trzydziestu sześciu miesięcy. Przy postępach, jakie robiła dziś medycyna, nie było sensu studiować nieaktualnych informacji. Większość schorzeń neurologicznych przykuwających ludzi do łóżka jeszcze kilkadziesiąt lat temu dziś było jedynie przewlekłymi chorobami, w wielu przypadkach prawie niezakłócającymi rytmu życia pacjenta.

Tyle wiem i bez fachowej literatury, pomyślała z przekąsem, ale zaraz skarciła się w duchu i wróciła do lektury. O tym, jakie postępy poczyniła medycyna w ciągu kilku ostatnich dekad, świadczył już sam fakt, że pierwsza myśl, jaka nasunęła się jej po usłyszeniu diagnozy, to widok człowieka na wózku. Im więcej stron zachłannie przerzucała, tym szybciej ten pierwszy impuls bladł. Jej skojarzenia były więc projekcją przestarzałych danych. Pełen obraz najnowszych odkryć w tej dziedzinie

zaczynała dopiero poznawać, zdanie po zdaniu. Z każdym przeczytanym słowem bardzo powoli wracał spokój, a karuzela emocji zaczynała zwalniać. Obok książek położyła sobie notatnik, w którym zapisywała pytania. Odpowiedzi na nie musiała poszukać w innych źródłach. Szybko dotarła też do grup wsparcia i stron w internecie mówiących o szczegółowym działaniu leków dopuszczonych do obrotu w kraju, a nawet do regularnie ukazującego się magazynu informacyjnego o SM. Ktoś więc próbował trzymać rękę na pulsie, a ona musiała się tej ręki chwycić.

Budziła się w niej nadzieja, że nie będzie przysłowiowym tonącym, a dłoń, zamiast kaleczyć, okaże się bezpiecznym kołem ratunkowym. Iza starała się też spokojnie przeanalizować czynniki ryzyka przyczyniające się do powstawania choroby. Nie miała wpływu tylko na jeden z nich – swój wiek. Resztę mogła zniwelować albo ograniczyć do bezpiecznego dla siebie minimum. Większość była tym, co określa się po prostu jako niezdrowy tryb życia. Tutaj niewiele miała sobie do zarzucenia... chyba że rękę do jej stanu przyłożyły ostatnie trzy lata pod znakiem bezustannej pracy w ciągłym napięciu.

Mogła zatruwać umysł tą wiedzą, ale biorąc pod uwagę zbawienny wpływ świętego spokoju, nie było najmniejszego sensu do tego wracać. Zgubne działanie stresu wysuwało się na pierwszy plan wśród czynników napędzających rozwój choroby. Miała na to wpływ. Miała wpływ na większość z nich. Czy to wystarczy?

„Możliwie wcześniej zacząć” – przeczytała tytuł kolejnego rozdziału. Kiedy skończyła, było grubo po północy. Powinna być jutro na chodzie. Praca... Jeszcze i to. Musi powiedzieć Olkowi. Nie będzie ukrywać przed nim choroby i wyszukiwać co rusz nowych powodów niedyspozycji. Do tej pory zawsze mogła na niego liczyć, ale zastępstwa, które szybko mogą zmienić się w dodatkowy etat, to nie był najmądrzejszy kierunek. Jeżeli miała go zatrzymać w szkółce, chłopak powinien mieć pełny

ogląd sytuacji. Obydwoje będą musieli usiąść z grafikem zajęć w dłoni i jeśli zajdzie taka potrzeba, znaleźć prawdziwe zastępstwo.

Głowa nie przestawała jej boleć drugi dzień. Zawsze tak się czuła, kiedy jakaś niezłałatwiona sprawa wisiała nad nią jak katowski topór. Rozwiązanie tej nie pójdzie ani gładko, ani szybko. Miała nadzieję, że gorąca kąpiel rozluźni ją na tyle, by mogła przespać chociaż kilka godzin, ale odniosła chyba odwrotny skutek, bo Iza kręciła się na łóżku zdecydowanie dłużej niż trzy kwadransy.

Właściwie gdyby Kosma jej nie zatrzymał, chyba nawet by go nie zauważyła. Od jakiegoś czasu rejestrowała tylko to, co dotyczyło bezpośrednio jej samej. Reszta zwyczajnie przepływała jej przez palce. Po prostu była, czasami przeszkadzając, czasem rozpraszać, innym razem zmuszając do zwiększonego wysiłku. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy ucieszyła się z tego spotkania, czy bardziej ją ono zaskoczyło. Słuchała, choć chwilami zupełnie nie słyszała tego, o czym opowiadał. Przyjrzała mu się uważniej dopiero wtedy, gdy doszedł do tematu swojego drugiego małżeństwa; powoli zrozumiała powód zmiany, której nie była w stanie zdefiniować, odkąd pojawił się w jej życiu po raz kolejny. Teraz wszystko zdawało się bardziej klarowne. Może oprócz tego niuansu w jego osobowości, który był dla niej czymś zupełnie nowym i który sprawiał, że w zasadzie ich znajomość zaczynała się... od początku. Być może gdyby dała tej myśli możliwość wykiełkowania w swojej głowie, pełnej teraz nowych pytań, zrozumiałaby więcej. Ale Kosma ze swoją pogmatwaną rzeczywistością był oddalony o całe lata świetlne od jej życia, i wcześniej, i teraz. Może właśnie dlatego, kiedy zapytał o nią, nie miała żadnego powodu, żeby cokolwiek pomijać. Wyrzuciła z siebie wszystko jednym tchem. Właściwie dopiero kiedy to zrobiła, przyszła refleksja, że przecież jest mu to do niczego niepotrzebne, że za chwilę strzepnie z siebie całą tę wiedzę jak zbędny pyłek na równo rozprasowanej tkaninie. Teraz jednak było bez znaczenia, kto

ma świadomość zwrotu w jej życiu. Przecież to nie był nawet zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, tylko zamiana biegunów miejscami! I to było jedyne, co w tym momencie ją z Kosmą łączyło.

Sam chce sobie teraz dołożyć kłopotów? W tej chwili nie zamierzał odpowiadać na to pytanie. Był przeraźliwie smutny, kiedy usiadł przy komputerze w ich pokoju na Sadybie. Wcześniej wycofał się do pomieszczenia, które zajmował razem z dziewczynkami. Radeccy odpoczywali u siebie. Prawie cały dzień mieli pod swoją opieką obydwie wnuczki, jego powrót przyjęli z widoczną ulgą. Nie mógł mieć im tego za złe.

– Dobrze, że już jesteś, wyjątkowo boli mnie dziś kręgosłup – zwierzyła się szeptem jego teściowa, przekazując jednocześnie krótką relację z całodziennych wydarzeń; jej mąż drzemał w wygodnym fotelu, rozłożona gazeta wypadła mu z ręki. – Miałam nawet po ciebie dzwonić.

– Szkoda, że mama tego nie zrobiła, byłbym wcześniej. – Uśmiechnął się do niej i wskazał głową śpiącego Radeckiego. – Takiemu to dobrze!

Najpierw zajął się córkami; wykąpał je i poczekał, aż spokojnie zasną. W towarzystwie dziadków odwiedziły dziś warszawskie zoo, o czym skrzętnie mu opowiedziały; lista pręgowanych i skrzydlatych oraz tych, co skaczą i fruują, była dość długa. Słuchając, podpowiadał dzieciom nazwy zwierząt, które próbowały mu z wypiekami na policzkach opisać. Po godzinie tej wycieczki, podczas której przypomniał sobie chyba wszystkie lekcje przyrody z podstawówki, ziemską faunę zdawała się nie mieć już przed nim żadnych tajemnic. Zasnęły w końcu, kiedy doszedł do tematu plamek na grzbiecie salamandry, a zaraz potem do kameleona i znaczenia słowa kamuflaż, ale wycofał się cicho do stołu dopiero wtedy, kiedy nie uzyskał żadnej

odpowiedzi na pytanie o jadłospis pingwinów.

Po kolejnych godzinach nad komputerem o SM też wiedział już prawie wszystko. I do początkowego smutku doszło jeszcze przerażenie. Coś dziwnego działo się z jego ciałem, przez chwilę nawet miał wrażenie, że przechodzi zawał. Żołądek miał skurczony, czuł wyraźny ucisk, za to serce waliło mu jak oszalałe. Do tego ten dziwny niepokój, prawie namacalny strach, że oto za chwilę stanie się coś, z czym nie da się walczyć. To był strach przez duże S, tym trudniejszy do przełknięcia, że po raz pierwszy od długiego czasu Makarski nie bał się o siebie, ale o obcą osobę. No właśnie, czy naprawdę obcą?

Próbując się uspokoić, przypominał sobie te wszystkie przyjemne chwile, jakie spędzili w swoim towarzystwie. Nic nie wskazywało wtedy, że najbliższe lata Kosma strawi na walce z chorobą, a kiedy los się do niego uśmiechnie, potężny cień padnie właśnie na Izę. Mówił do niej: „siostró”, ona wyzywała go od starych dziadów, ale dość przypadkowa znajomość szybko przerodziła się w coś więcej. Gdyby dali sobie szansę, pewnie mogłaby z tego wyjść przyjaźń na lata. Gdyby... Przecież myślał wtedy głównie o Matyldzie, a ten raz czy dwa, kiedy został u niej na noc, oboje traktowali jako coś, co przydarza się dorosłym ludziom pod każdą szerokością geograficzną. Cieszyli się swoim towarzystwem, bliskością ciała, otwartością, z jaką wyrażali swoje pragnienia. Może więc teraz nadszedł ten czas, który dostanie ich przyjaźń? Czy on jej potrzebuje? Czy ona będzie miała na to chęć w momencie tak dużego przełomu w swoim życiu? Przełomu, który zamiast przynosić szansę, zamyka drzwi do normalnego życia?

Doskonale zdawał sobie sprawę z całej perfidii choroby, która tylko niewielu wypuszczała ze swoich szponów. W Polsce nikt nawet nie policzył dokładnie, ile osób musi się zmagać ze stwardnieniem rozsianym. Ostrożne szacunki mówią o czterdziestu pięciu tysiącach oraz o tym, że każdego roku SM

diagnozowane jest nawet u dwóch tysięcy nowych pacjentów. Głównie młodych kobiet. Takich jak ona...

Kosma nie wiedział, jak jej pomóc, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że na tę pomoc zasługuje.

– Mówiłam całkiem poważnie – podjęła temat, kiedy po wyjściu z kawiarni znaleźli się w samochodzie. Zdawało mu się, że nawet ten krótki odcinek, jaki pokonali z Żółtej Ciżemki, spowodował u niej zmęczenie. Usiadła z wyraźną ulgą, choć przecież nie forsował tempa, dając jej się prowadzić. – Nie wiem, czy właśnie ty powinienesz o tym słuchać.

– Nie rozumiem! – Naprawdę nie wiedział, co chciała przez to wyrazić. Dlaczego akurat on miał być niewłaściwym rozmówcą?

– Nie masz do mnie zaufania?

– Nie o to chodzi! – obruszyła się gwałtownie. – Ledwo co sam wyszedłeś z podobnej historii; wydaje mi się, że masz już dosyć tragedii.

– Tak, mam dosyć zamartwiania się i ciągłego lęku o to, czy kolejny dzień nie będzie tym ostatnim. Właśnie dlatego wiem, co czujesz i z czym musisz się zmagać. I jeszcze jedno. – Zrobił pauzę, żeby podkreślić wagę swoich słów i skupić bardziej jej uwagę. – Z tego wszystkiego najbardziej dla mnie oczywiste jest to, że nie powinnaś z chorobą zostać sama.

– Z uwagi na twoją żonę nie... – Urwała, niepewna jego reakcji.

– Co z nią? – Kosma wzruszył ramionami, jakby akurat ta kwestia była najmniej istotna. – Myślisz, że pochwaliliby mnie, gdybym zostawił cię bez wsparcia?

Przez chwilę milczeli, Kosma bezmyślnie obracał w palcach kluczyki do auta. Iza patrzyła gdzieś w bok, stukając palcami o podszybie.

– Jesteś pewien? – odezwała się pierwsza.

– Jestem, bo wiem, że Matylda...

– Nie mówię o Matyldzie – przerwała mu szybko. – Pytam, czy jesteś pewien, że potrzebuję wsparcia. Może ta diagnoza nie będzie wyrokiem i po prostu zmienię dietę, trochę przyzwyczaję, a za dwadzieścia lat kupię sobie laskę?

– Bardzo bym chciał.

– Tak właśnie będzie! – Patrzyła na niego, domagając się potwierdzenia.

– Mój sąsiad, pan Witold, struga takie laski, że ho ho... – Uciekł w żart, bo potwierdzenie, na które czekała, jakoś nie chciało mu przejść przez gardło.

– Co ze mną będzie? – zapytała, bezwiednie kładąc rękę na jego dłoni. Odpowiedział dopiero po chwili, delikatnie przyciągając ją do siebie. Opierała teraz głowę o jego ramię, jej włosy łaskotały go w policzki.

– Cokolwiek by było, nie zostaniesz z tym sama.

– Nie obiecuj czegoś, z czym nie będzie ci po drodze. – Odsunęła się i zapięła pas. – A teraz, jeśli możesz, zawieź mnie do domu.

Wieczorem, kiedy w poszukiwaniu informacji dotarł na sam koniec internetu, wiedział, że miała rację. Nie powinien niczego jej obiecywać. Nie kiedy sam próbował uciec jak najdalej od miejsca, w którym ona znalazła się właśnie teraz. Argumenty dziewczyny dźwięczały mu w głowie tym głośniejsz, im dłużej poświęcał im uwagę. Jednak to słowa żony, choć skreślone na papierze, były teraz jak krzyk.

Wiem, dlaczego to zrobisz, Kosma. Po prostu wiem. Chciałam powiedzieć Ci to tysiące razy! I zawsze brakowało mi odwagi. Na co liczyłam? Że obydwójce o tym w końcu zapomnimy? Nie. Choć to wspomnienie już w żaden sposób nie jest w stanie mnie zranić. Że próbowałeś to z siebie wyrzucić? Wiem, że coś takiego

zostaje w środku jak blizna w sercu po przeżytym zawale. Bałam się momentu, w którym nie będziesz chciał mi wierzyć, że wybaczenie i zapomnienie mają tak wiele wspólnego ze zrozumieniem. Że one trzy – to jedno. Zrobiłabym tak samo. Rozumiesz? Tak samo! Tylko nienawiść i poniżenie – razem! – są silniejsze od litości. Mogą być. Prawda? Wiedziłeś o tym. I wiedziłeś, że moja duma nie pozwoli mi błagać, bo musiałaby błagać już tylko o litość. Ona i dla mnie byłaby nie do przetknięcia... Uwierz mi, udusiłabym się. Umierałabym na raty, doszukując się w Twojej czułości teatralnych gestów, spektaklu, którego byłabym jedynym widzem. Być może właśnie wtedy najmniej bym Ci ufała... Nie musimy do tego wracać już nigdy więcej. Tylko tyle chciałam Ci powiedzieć. Może jeszcze jedno... Że wciąż Ci ufam. Teraz Ty spróbuj zrozumieć mnie.

[3] Christine Wagener-Thiele, *Stwardnienie rozsiane, bezpieczne i skuteczne terapie*, przeł. Anna Chomik, Białystok 2017, s. 48–49.

gdy jesteś blisko
brakuje mi słów
kiedy płaczesz
każda z Twoich łez
zabiera mi światło
oddycham w dur...
kiedy kwitniesz
gdy jesteś obok
staję się

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po raz pierwszy wizyta Huberta nie sprawiła mu przyjemności. Po prostu był myślami zupełnie gdzie indziej i nie chciał, by jego nastrój udzielił się przyjacielowi. Jakubowicz przyjechał w interesach; zbliżał się czas zbiorów i powinni ustalić harmonogram jesiennych transportów. Vincent jak zwykle odrobił swoją część zadania i kilku francuskich hurtowników czekało na ich ślimaki, licząc na dobre, dorodne okazy. Musieli jedynie przeprowadzić zbiory, przygotować wysyłkę i zdecydować, który z nich tym razem pojedzie do Bergerac dopilnować transakcji. Kosmie wcale się tam nie spieszyło, więc liczył na to, że wyprawę do Nowej Akwitanii, gdzie mieściła się siedziba ich głównego odbiorcy, weźmie na siebie Hub.

Makarski długo próbował ukrywać swój lekko nieprzysiadalny nastrój, ale znali się na tyle dobrze, że jego gość nie dał się oszukać.

– Przyjechałem nie w porę? – zapytał, kiedy odpoczywali wieczorem na tarasie. On sam sącył pszeniczne piwo, Kosma jak zwykle swój witaminowy specjał. – Jesteś lekko nieobecny.

– Nie gniewaj się, chyba mam gorszy dzień. – Kosma próbował odsunąć dyskusję na niewygodny temat, ale Jakubowicz nie dał

się łatwo zbyć.

– Taki kit możesz żenić księdzu po kolędzie. Mów, co się dzieje, bo głupio się czuję. Masz do mnie jakieś pretensje?

– Nie, skąd. – Zrobił krótką pauzę. – Spotkałem w Warszawie starą znajomą.

– I to jest powód do zmartwień? Jesteś... sam się dziwię, że to mówię... interesującym facetem, więc jeśli ta znajoma nie jest naprawdę stara, to chyba dobry początek? – Hub w przystępny sposób wyłożył mu swoją życiową filozofię. – Nie widzę tu komplikacji.

– To ta kelnerka, pamiętasz? Z Żółtej Ciżemki. Byliśmy tam kiedyś, opowiadałem ci o niej. – Kosma podał mu drugie piwo, ciepły wieczór potęgował pragnienie. – Iza.

– Nie pamiętam, ale nie wiń mnie za to. Nie mogę pamiętać wszystkich twoich miłości, czy jak tam chcesz nazywać te koleżanki. Takich jak tamta policjantka, Ewa. Jak miał na imię jej synek?

– Piotruś... Teraz już raczej Piotrek. – Kosma westchnął.

– No właśnie! – Hubert z hukiem odstawił kufel, rozlewając trochę płynu na stół. Nawet tego nie zauważył. – Już o nich zapomniałeś? Zresztą nie dziwię się, dziecko to jednak jakaś komplikacja!

– Nie bądź takim kutasem, dobrze? – Kosma spojrzał na niego z wyrzutem. – Mówiłem ci przecież, że to była przyjacielska relacja. Może nawet coś więcej.

– Nie rozumiem. – Mina Jakubowicza wyraźnie wskazywała, że mówi szczerze.

– Gdyby nie Matylda, kto wie, jak to by się potoczyło. – Kosma niechętnie wracał do tej historii sprzed lat. – Tak czy inaczej, Ewa zasługiwała na kogoś lepszego. Kogoś, kto byłby tylko dla niej.

Naprawdę tak myślał. Wiedział, że zaczynało się między nimi dzieć coś, co wykraczało poza schemat, jaki określili na początku znajomości. Nie mógł tego bagatelizować. Ona zasługiwała na prawdziwego partnera, a Piotruś na normalnego ojca. I tak naprawdę to ona podjęła decyzję, żegnając go czule, ale i stanowczo. Przez jakiś czas prawdopodobnie łudziła się nadzieją, że odezwie się do niej z jakąś propozycją. Trwało to jednak krótko; była policjantką i choćby z uwagi na to dość skutecznie dusiła w sobie głupie porywy serca. Miał jednak nadzieję, że przynajmniej raz w roku robiło jej się na tym sercu ciepłej, kiedy w okolicach Bożego Narodzenia listonosz przynosił paczkę z prezentem dla Piotrka. Kosma więcej zrobić nie mógł. Wierzył, że podarunki dla chłopaka wybiera odpowiednie.

– No dobrze, a ta Iza? – Hubert przerwał rozmyślenia Kosmy.

– Iza uczy tańca, dziewczynki do niej trafiły.

– Przypadek? Nie sądzę! – Hub puścił do niego oko, na co gospodarz odpowiedział słabym uśmiechem.

– Kilka dni temu powiedziała mi, że choruje na nieuleczalną chorobę.

– I co, musisz przepisać dziewczynki do innej grupy? – Empatia nie była najmocniejszą stroną Huberta.

– Debilu, mówię ci, że ona choruje, i to poważnie. To stwardnienie rozsiane. – Mimo obelgi na początku głos Kosmy był spokojny, jakby tłumaczył dziecku matematyczną zawilóść złożonego równania.

– Rozumiem, choruje, poważna sprawa. Ale co tobie do tego? – Hub upił duży łyk książęcego i spojrzał wyczekująco na przyjaciela. – Mało miałeś własnych kłopotów?

– No właśnie nie wiem... – odparł po chwili Kosma i zamyślił się, kiwając się na bujanym fotelu. Gabryś z Helmutem leżeli tuż obok, obserwując ruch siedziska i pilnując, by fotel nie zahaczył o ich ogony.

– Posłuchaj, nie możesz brać sobie na głowę problemów całego świata. – Hubert starał się mówić bardzo wyraźnie, ale nie pierwsze tego dnia piwo i gorący wieczór trochę mu w tym przeszkadzały. – Nie mam zamiaru robić ci tu wykładu, ale przecież sam wiesz to najlepiej. Było, minęło.

– Chodzi o to, że może nie do końca minęło? – Kosma ocknął się z letargu.

– Nie rozumiem?

– To młoda dziewczyna. Dała dużo serca moim córkom, one ją uwielbiają. Czuję, że potrzebuje pomocy.

– Zaraz, zaraz, czy ty czasem nie... – Hubert podrapał się po łysej głowie, jakby od tego drapania miała się zrobić mądrzejsza. – Nie, to niemożliwe!

– Ale co?

– Ty już wiesz, a ja się domyślam. Nie chcę tego słuchać!

– Jeszcze nic nie postanowiłem! – zaproponował Kosma.

– Zrobisz, jak uważasz, ja nie chcę w tym brać udziału. Za bardzo lubię twoją rodzinę! Całą! – podkreślił na końcu.

Siedzieli dalej bez słowa, myśląc intensywnie, co każdy z nich powinien zrobić w tej sytuacji. Hub dopił piwo i gwizdnął na psa. Helmut zdziwiony podniósł się i szczeknął na Gabrysia. Wieczorny spacer zawsze był sporą atrakcją, niezależnie od towarzystwa.

– Idziesz z nami? – zagadnął Hub, ale Kosma pokręcił głową.

– Zostanę, dziewczynki zaraz będą chciały kolację.

Hubert kiwnął głową i ruszył w stronę furtki. Helmut i Gabryś podążyli za nim.

Wiem, że masz rację, pomyślał Kosma. Masz cholerną rację, przyjacielu. I dlatego to jest takie trudne.

Makarski rzadko kiedy miewał sny, ale jeden nawiedzał go regularnie. Wszystko w nim było niemal tak, jak w rzeczywistości – jakby oglądał dokument z wyjazdu Matyldy. Tamtego dnia, kiedy wioził ją na lotnisko, zrobił rzecz najgłupszą z możliwych. Od rana była rozdrażniona, więc powinien się po prostu zamknąć i skupić na drodze. Mało kto czuje się komfortowo, wyruszając w długą, samotną podróż, Matylda nie stanowiła wyjątku. Zdał sobie z tego sprawę już sekundę po tym, jak skończył zadawać to idiotyczne pytanie. Ręka bezwiednie powędrowała w stronę ust, jakby jego ciało desperacko próbowało naprawić szkody wyrządzone przez – nomen omen – szwankujący narząd mowy. To jednak nie było takie łatwe.

– Przepraszam – bąknął po sekundzie, kiedy patrzyła na niego w niemym zdumieniu.

– Wyjeżdżam na kilka miesięcy, a ty pytasz, czy będę tęsknić?
– powtórzyła jego słowa sprzed chwili, kręcąc przy tym z niedowierzaniem głową. – Rób tak dalej, a dojdę do wniosku, że będę, ale nie za wszystkimi.

Wiedział, że zerka na niego i czeka na reakcję, ale szybko uczył się na błędach. Przeniósł uwagę na jezdnię przed nimi i nie odzywał się przez kilka minut. Postanowił to przeczekać. Klasyczna rajzefiber nie może trwać całą wieczność, pomyślał.

Nie pomylił się; po chwili na dłoni poczuł jej rękę.

– Nie gniewaj się, denerwuję się lotem i tym, że zostawiam cię z tyloma obowiązkami – odezwała się cicho. Wyłączyła radio, co przyjął z ulgą. Płynący z głośników jakiś głupi dyskotekowy przebój drażnił i jego.

– Ustalaliśmy to wiele razy, Mat. – Wiedział, że lubi, kiedy tak do niej mówi. Ustalili to jakiś czas temu; ona była Matem, on Kosem. Imiona dziewczynek też skracali do „Hal” i „Róż”. – Może się wyrwiemy i odwiedzimy cię któregoś weekendu. To przecież

nie koniec świata.

Do samego lotniska nie odezwali się już ani słowem. Hal i Róż spały na tylnej kanapie. Ich oddechy miały uspokajającą moc, bo kiedy Kosma parkował przy lotnisku, Matylda uśmiechała się już jak dawniej.

– To przecież nie koniec... – powtórzyła cicho i zapatrzyła się na dostojnie wznoszący się samolot jakichś egzotycznych linii. – To wcale nie koniec!

W tym momencie sen się kończył. Ale jej słowa zostawały z nim jeszcze na długie godziny.

Jej komórka wibrowała, kręcąc się na blacie komody jak trzmiel przewrócony do góry brzuchem. Ktoś po raz trzeci się do niej dobijał i dokładnie wiedziała kto. O tej porze miała już startować z lotniska. Pogoda była idealna na długi, spokojny lot. Pamiętała, że zarezerwowała awionetkę na dzisiaj, ale ze złości nie wiadomo na kogo nie podchodziła do telefonu. Ktoś po drugiej stronie nie miał o tym najmniejszego pojęcia i nie dawał za wygraną. Rosła w niej wściekłość, w miarę jak urządzenie hałasowało. Po którymś z kolei sygnale, krzyżąc, cisnęła prawie pełną szklanką soku marchewkowego o ścianę w pokoju. Wielka plama w sekundzie rozkwitła na jasnej powierzchni i w nieestetyczny sposób ozdobiła też kanapę razem ze stojącym obok fotelem. Jeden z większych odłamków szkła uderzył Iżę w gołe udo, zostawiając na opalonej skórze wyraźny ślad w postaci kilku kropel świeżej krwi. Zaraz za szklanką, jak zaplanowany, zmasowany atak, poszły w ruch cukiernica i pusty talerzyk po śniadaniu, które dziewczyna wmusiła w siebie pół godziny wcześniej. Na stole zostały już tylko sztucce i stos książek z fragmentami tekstu pozaznaczanymi kolorowymi zakładkami. Wciąż wściekła, zgarnęła z blatu całą prasę, podeszła do otwartego okna i wyrzuciła wszystko na

zewnątrz. Milczącą już komórkę upchnęła w plecaku, który zarzuciła sobie chwilę później na plecy. Wsunęła stopy w bawełniane baleriny i nie patrząc na swoje odbicie w lustrze, otworzyła drzwi mieszkania.

Zanim doszła do windy, miała uczucie, że pokonała właśnie pieszo pięć pięter. Pójdzie na tę wojnę! Choćby miała się tam dowlec ostatkiem sił.

Kilka razy próbował dodzwonić się do Izy, ale dziewczyna najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę. Najczęściej po kilku sygnałach włączała się poczta głosowa, a ze dwa razy Makarski wysłuchał komunikatu, że abonent jest czasowo niedostępny. Raz nagrał się, próbując zachować neutralny ton, plótł coś bez ładu i składu, aż piknięcie w słuchawce poinformowało go o końcu czasu. Nie oddzwoniła. Wcale nie ułatwiało mu to zadania, bo wciąż bił się z myślami, zastanawiając się, jak powinien postąpić w tej sytuacji.

Hubert wyjechał do Boćków wyraźnie skwaszony i pełny obaw, że przyjaciel niepotrzebnie pakuje się w kłopoty. Do tematu rozpoczętego tamtego wieczora na werandzie wracali jeszcze kilka razy, ale nic konkretnego z tych rozmów nie wynikało. Kosma niby słuchał, co tamten ma do powiedzenia, niby przyznawał mu rację, ale pytany o to, co zamierza, jedynie wzruszał ramionami.

– Wiesz co, nie będę się kopał z koniem – powiedział Hub na odchodne. – Jesteś dużym chłopcem, masz prawo decydować. Pamiętaj jednak, że masz teraz inne zobowiązania.

Kosma nie do końca wiedział, czy przyjaciel mówi o ich wspólnym interesie, czy o jego rodzinie, na której – co do tego sam nie miał żadnej wątpliwości – powinien się skupić.

– Źle na to patrzysz, tu nic się nie wydarzy – podjął nieśmiałą

próbę uspokojenia Jakubowicza. – Po prostu czuję, że powinienem coś zrobić, ale jeszcze nie mam pojęcia co.

– W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać. – Hub klepnął go w ramię i wsiadł do swojego nowego auta. W zasadzie przyjechał tu także po to, by pochwalić się nabytkiem, ale okoliczności sprawiły, że tym razem nie rozmawiali za wiele o samochodach. Nie był pewien, czy Kosma w ogóle zauważył jego nowe infiniti Q60, które przyjaciel sprezentował sobie jako nagrodę za ubiegłoroczny wysiłek i wyniki w hodowli. Krowy przynosiły dużo większe zyski niż ślimaki, ale w niedalekiej przyszłości również i te małe żyjątka będą pomocne przy zmianie auta.

– Wiem, dziękuję ci. Świetna fura! – Kosma jednak zauważył i patrzył z uznaniem. – Myślisz, że kiedyś mnie też będzie na taką stać?

– Nie wiem, ja zapieprzam i stać mnie na razie na leasing. Skoncentruj się na robocie, to sam sobie odpowiesz na to pytanie! – Hub mrugnął do Kosmy i zanurkował we wnętrzu pojazdu. – A, byłbym zapomniał! Może umówisz spotkanie z tymi restauratorami z Pomorza? Jak mu tam, z tym Pawłem?

– Gawłem – odpowiedział Kosma.

Pokłosiem pamiętnego ogniska u Xenii było nawiązanie kontaktu z Gawłem i Zosią, który z koleżeńskiej relacji miał szansę rozwinąć się w układ biznesowy. Poznana na ognisku para chciała zainwestować w nowy lokal, w którym serwowane miały być mniej oczywiste rozkosze podniebienia. Ślimaki Kosmy i Huberta mogły tam znaleźć swoje miejsce.

– Jasne, dam ci znać, nie powinniśmy odkładać tego spotkania zbyt długo.

Z finansowego punktu widzenia nie był to specjalnie interesujący kanał zbytu, ale budując markę swojego przedsiębiorstwa, nie powinni rezygnować nawet z takiej okazji. Kto wie, może za jakiś czas Gawł z Zosią będą mogli pochwalić się gwiazdką Michelina? Dostarczać swoje produkty do takiej

restauracji to jednak nie byle co!

Kiedy Makarski pożegnał przyjaciela, zadzwonił do sąsiada; pan Witold z małżonką gościli od kilku dni trójkę wnucząt, więc dziewczynki skoro świt meldowały się na ich podwórku. Na szczęście nie wpadły jeszcze na pomysł, że przecież przyszywani dziadkowie nie mają nic przeciwko przenocowaniu ich – dodatkowa dwójka w wesołej gromadce nie robiła im pewnie większej różnicy.

– Wszystko pod kontrolą? – zapytał, kiedy zgłosił się sąsiad. – Mam was ratować z opresji?

– Nie trzeba, jest dobrze. – Pan Witold zaprzeczył gwałtownie. – Do południa uczyły nas tańczyć, a teraz moja Elżunia uczy całą piątkę lepić pierogi. Pan wpadnie, będą z jagodami.

– Pierogi z jagodami, mówi pan? – Kosma powtórzył z rozrzewnieniem i od razu uśmiechnął się, bo na informację o takim frykasie ogony zarówno Gabrysia, jak i Helmuta ożyły w symultanicznym płasie. – Brzmi kusząco! Wpadnę!

Rozłączył się i wybrał numer Izy. Po czwartym sygnale zrezygnował. Dziwne, pomyślał, wygląda, jakbym się jej narzucał. Może Hubert miał rację?

Siedzieli na szerokim okiennym parapecie w większej sali, w której na co dzień pracował Olek ze starszymi dziećmi i młodzieżą. Chłopak trzymał w ręku kolorową, w połowie pustą butelkę izotoniku i przyglądał się swojej szefowej, marszcząc czoło. Iza usiadła naprzeciwko, prawą część ciała przytulając do chłodnej szyby wielkiego okna. Popijała małymi łykami herbatę owocową.

Po zakończeniu zajęć zamknęli klub, żeby móc się spokojnie zastanowić nad rozwiązaniem nowego problemu. Olek przerywał jej kilka razy, zanim zrozumiał, co dokładnie oznacza dla

dziewczyny tajemniczy termin, z którym on sam zetknął się dziś po raz pierwszy. Kiedy skończyła, obydwój milczeli jakiś czas.

– Olek! – Iza w końcu przerwała przedłużającą się ciszę. – Prosiłabym cię, żebyś do końca miesiąca przemyślał to, co usłyszałeś, i zastanowił się nad moją propozycją. Jeżeli zechcesz odejść, zrozumieć. Dla każdego byłoby lepiej, żeby dyrekcja zawsze była na chodzie! – Zaczepnęła szybko powietrza. – Dopiero wtedy poszukam dwóch nowych osób. Nie stać mnie na rezygnację z pracy, nawet jeśli miałabym tylko zarządzać. Chociaż zamierzam nadal pracować w miarę swoich możliwości.

– Czy to mądre? – przerwał jej mocno przejęty.

– Tak. W granicach zdrowego rozsądku. Nie jestem głupia! – westchnęła, wbijając wzrok w ciemną ciecz trzymanego w obu dłoniach kubka z przezroczystego szkła. – Nie chcę się unieruchomić. Muszę i będę uważać. Zastanów się, okej? – Podniosła spojrzenie na tancerza. – Nie chciałabym, żebyś podejmował tę decyzję pochopnie.

– Co zrobisz, jeśli okaże się, że klub straci na zamianie trenerów?

– Nie zamierzam dokładać do interesu. Już to przerabiałam i nie wyszło mi to na zdrowie... Nie mam jeszcze planu awaryjnego, jeśli o to pytasz. – Potarła dłonią napięty kark i pokręciła wolno głową w obydwie strony.

– Dokładnie o to pytam.

– Jeszcze do tego nie doszłam. Po cichu liczę, że ktoś fajny się jednak trafi i dzieciaki gromadnie go nie wybuczą.

– Chyba nawet miałbym kogoś takiego... – Olek podrapał się za uchem, w zamyśleniu przygryzając dolną wargę.

Liczyła na to. Że przyjdzie mu coś do głowy, najlepiej coś, co pozwoli jej dalej funkcjonować. Przez te nie najłatwiejsze trzy lata sprawdził się i jako zawodowy instruktor, i jako jej prawa

ręka. Nie mogła go jednak do niczego zmusić i zrzucić nadciągających kłopotów tylko na jego barki. Próbował się finansowo ustawić, jak każdy młody mężczyzna, który zaczyna liczyć swój wiek od trójki z przodu. Nieraz wspominał też, że marzy o własnym tanecznym studio, z dużo większym rozmachem w stylach i obsadzie trenerskiej. Iza wiedziała również, że młodziutka żona Olka, Eliza, doskonale radzi sobie na najważniejszych turniejach tanecznych w kraju i za granicą. Być może decyzję o całkowitym usamodzielnieniu się małżonkowie podejmą właśnie teraz. Gdyby sama była na ich miejscu, poszłaby dokładnie w tę stronę.

Ale nie była. Znajdowała się zupełnie gdzie indziej...

– Iza! Daj mi parę dni. Pogadam z nią.

– Z Elizą? – Serce jej przyjemnie zatrzepotało.

– Mhmmm. Sam jestem ciekaw, co o tym myśli. Nieraz mówiła przecież, że wołałaby mieć mnie na oku!

– O, tak! Teraz pamiętam. – Zaśmiała się serdecznie.

– Mnie tu się podoba! A jeśli i jej... – Przytaknął sobie głową, robiąc z ustami dziwne rzeczy. – Sama jest jeszcze czasami jak dzieciak!

– Przestań! To rasowa tancerka, świadoma każdego centymetra swojego ciała! – Iza przypomniała sobie Elizę, która regularnie wpadała do nich po swoich treningach i zarażała ich obydwój energią zdającą się dosłownie rozsadzać jej drobne ciało. Stawska nie chciała już drążyć tematu jej grafiku. Nie miała na niego wpływu, więc po prostu oddała się wizualizacji swoich pobożnych życzeń. Żeby ich zniecka nie spłoszyć, zanurzyła usta w zupełnie zimnej już herbacie, uważając, żeby zbyt głośno nie siorbać.

Na jakich nieistotnych drobiazgach człowiek potrafi się skupić, pomyślała, kiedy tak naprawdę powinien pamiętać o czymś dużo bardziej znaczącym! Umysł potrafi robić

z człowiekiem niewyobrażalne rzeczy...

Jej zadanie polegało teraz na tym, żeby zmusić go do działania dokładnie pod jej dyktando, drobiazgowo przygotowane na tę jedną, wyjątkowo trudną lekcję.

Miał jeszcze kilka dni do umówionego wyjazdu do Gdańska. Parę śpiewających restauratorów wyraźnie ucieszyła perspektywa ponownego spotkania. Zośka obiecała pokazać im kilka miejsc wartych poznania, a Gaweł przygotować coś dobrego na ząb.

– Ale o interesach też porozmawiamy? – upewnił się Kosma, który choć bardzo ich polubił, nie chciał, by akurat teraz coś go rozpraszało. To miał być wypad w konkretnym celu, na towarzyskie wyjazdy przyjdzie czas później.

– Jasne, nie ciągnęlibyśmy was tylko po to, żeby pochodzić po molo. – Gaweł rozwiązał jego wątpliwości.

– Piękniejsze widoki macie przecież u siebie – dopowiedziała Zosia i na tym zakończyli rozmowę. Kosma przekazał informację Hubertowi, dograli szczegóły wyjazdu i jeszcze raz ustalili listę priorytetów.

– Nie znamy ich, nie wiemy co to za ludzie i jaki mają potencjał, tak? – wyliczył słabe strony przedsięwzięcia Hubert. – Po co więc tam jedziemy?

– Coś mi mówi, że właśnie ten ich potencjał jest godny uwagi. Stworzą naprawdę dobrą restaurację, czuję to! – Kosma w tej dyskusji miał bronić pomysłu współpracy. – Ale pewności nie mam, więc określimy to na miejscu.

Rzeczywiście, podczas spotkania na Mazurach to Kosma głównie opowiadał o złożonym procesie hodowlanym. Gaweł z Zośką dużo pytali, nawet o takie szczegóły jak skład paszy, którą Makarski dokarmia swoich podopiecznych. Z początku

myślał, że może sami chcą zająć się tym na poważnie i brakuje im wiedzy, więc zaprosił ich do siebie, żeby mogli na własne oczy przekonać się, że jego ślimaki rosną w prawdziwym dobrostanie. Zaproszenie oczywiście przyjęli, ale też od razu wyjaśnili mu, skąd ich zainteresowanie i te ponadstandardowe pytania. Lokal, który prowadzili nad morzem od dawien dawna, był już samograjem i nie dostarczał tylu emocji, co kiedyś. Zapragnęli nowych wyzwań, stąd pomysł na kuchnię dla nieco bardziej wyrafinowanego klienta. Znali się na gastronomii, zwiedzili pół świata, mieli też na tyle dobre zaplecze finansowe, że postanowili wreszcie swoje pragnienie urzeczywistnić.

– Gdańsk to miasto europejskie, chcemy w nim zrobić lokal z ofertą na takim poziomie, że będzie się o nim mówiło w całym kraju, a może i szerzej – podsumował Gaweł. – Wiemy, że klucz leży także w produktach.

– Dlatego ślimaki chcemy mieć stąd, z zielonych płuc Polski. – Zośka, mówiąc to, wskazała ręką przed siebie. Wszędzie ciągnęły się łąki i lasy, jak okiem sięgnąć żadnego komina czy fabrycznej hali. – Rozumiesz? To po to te pytania. Jeśli ta restauracja powstanie, chcemy w niej serwować to, co najlepsze.

Kosma uśmiechnął się tylko i pokiwał ze zrozumieniem głową. Ten aspekt wspólnej hodowli był ich kartą przetargową również u francuskich odbiorców. Świadomość ekologiczna, jaką prezentowali, była dużo większa niż polskich hurtowników, którzy kierowali się głównie ceną zbytu. Dlatego Kosma z Hubertem nie wzbraniali się przed inspekcjami, które raz czy dwa razy w roku kontrolowały ich hodowle. Dzięki surowemu systemowi ocen mogli spać spokojnie. Ten spokój mógł się udzielić również Zośce i Gawłowi. Ślimaki Kosmy zasługiwały na uznanie już teraz, sympatycznej dwójce restauratorów pozostało już tylko postarać się o pierwszozoligowego kucharza i... sam lokal.

– Dobrze, krótka wycieczka nam nie zaszkodzi. Pojedziemy,

popatrzemy i pomyślimy. – Hubert dla zasady potwierdził wcześniejsze ustalenia. – Zajadę do ciebie wieczorem, a wyruszymy rano.

– Jasne, w takim razie odwiedzę jeszcze dzieci u dziadków. Przy okazji mam coś do załatwienia w Warszawie.

– Domyślam się – rzucił półgębkiem Hub, ale Kosma chyba nie dosłyszał.

– Co mówiłeś?

– Nic, nic takiego. – Hub wolał nie wszczynać niepotrzebnej dyskusji. Kłótnia na zakończenie też nie była im potrzebna. – Nie zasiedź się tam. I ucałuj, kogo trzeba.

Kosma wpatrywał się w telefon, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak łatwo go rozszyfrować. Wyjazd do dzieci do Warszawy nie był przecież niezbędny, Halszka i Różanka spokojnie przeżyją jego nieobecność, zajęte wielkomiejskimi atrakcjami, jakie fundowali im Radeccy. Dziadkowie spodziewali się go najwcześniej za tydzień, zgodnie z ustalonym wcześniej harmonogramem jego nagrań. Po co więc tam jadę? – pytał sam siebie, po raz kolejny przyznając rację przyjacielowi. Iza najwyraźniej radziła sobie sama. A jeśli się myli? Jeśli siedzi tam, zmagając się nie tylko z dopiero co zdiagnozowaną chorobą, ale i depresją, która szła za taką diagnozą krok w krok, jak uparty pies? Dobrze wiedział, z czym wiąże się pozostawienie jej samej. Najwyżej się wygłupię, pomyślał, i skończy się na śmiechu.

Coś mu jednak mówiło, że ta historia będzie miała nieco bardziej dramatyczny przebieg.

Robiła właśnie trzecie podejście do plamy na ścianie, która z pomarańczowej zmieniła w ciągu dnia kolor na brudnobrązowy. Załatwiła pokój na cacy, jeszcze gorzej

wyglądała kanapa.

Na fotel narzuciła wielki bawełniany pled z jej ulubionym patchworkowym melanzem. Mieszkanie wyglądało okropnie i dokładnie tak samo się czuła. Ktoś musiał pozbierać książki, które kilka godzin wcześniej wyrzuciła przez okno. Cały ich stos, powalany błotem i mokrą trawą, leżał na ławce przy wejściu do klatki schodowej. To, co zrobiła rano, nie było ani mądre, ani potrzebne. Jeśli dalej ma to tak wyglądać...

Profesor Stawski zadzwonił do drzwi, kiedy wyżywała ścierkę po ostatnim starciu z brudną ścianą. Kiedy postawił swoją walizkę w przedpokoju, opuściło ją całe napięcie długiego dnia. Zaparzyła ojcu duży kubek gorzkiej herbaty i postawiła go przed nim razem z miseczką parującej młodej kapusty z koperkiem. Po drobnym namyśle napełniła potrawą drugie takie samo naczynie, a z chlebaka wyjęła dwie świeże grahamki. W ciągu dnia przypilnowała tylko skromnego lunchu. Dopiero teraz apetyt powoli wracał. Absolutnie nie dopuszczała do siebie myśli, że osłabienie, które utrudniało jej każdy ruch, może się długo utrzymać, ale póki nie zniknie, obecność ojca przyjmowała z ogromną ulgą.

– Chcę podjąć leczenie natychmiast, tato.

Ciepła kolacja ostatecznie ją rozluźniła i siedziała teraz obok niego na wciąż jeszcze pachnącej sokiem marchewkowym kanapie, wtulając się w jego mocne ramię jak kiedyś, kiedy w prawie czterdziestostopniowych gorączkach uporczywie nawracających angin nie pozwalała mu odstępować sobie na krok.

– To dobrze, córeczko... – odpowiedział jej łagodnym tonem. Słyszała delikatną nutę smutku w jego głosie, z którą próbował walczyć jak lew. Znała go od podszewki. – Każdy dzień pracuje na twoją niekorzyść.

– Przeczytałam chyba wszystko.

Profesor Stawski doskonale zdawał sobie sprawę, czego

dotyczyło ostatnie zdanie jego córki. Znając upór jedynaczki, wiedział, że będzie mu bardzo trudno znaleźć argumenty przemawiające za podjęciem przez nią leczenia, jeśli sama uzna je za zbędne. Tym swobodniej odetchnął, słysząc jej zdecydowaną deklarację.

– Wizytę masz w południe.

– Tak.

– Rano zrobię ci porządne zakupy. Razem z farbą na tę nieszczęsną ścianę! – Wyraźnie starał się zwrócić jej uwagę na drugi człon swojej wypowiedzi.

Uśmiechnęła się pod nosem, słysząc, jak jej ewidentną złość na zaistniałą sytuację obrócił w żart. Zawsze dokładnie wiedział, czego jej brak. Teraz także odczytał ją bezbłędnie, skupiając się wyłącznie na tym, żeby jak najszybciej i najlepiej wyeliminować przyczynę problemu. Chorymi relacjami rodziców z własnymi dziećmi zapchane były literatura, film, teatr. W tej tematyce zawsze najtrudniej było jej się poruszać, bo najzwyczajniej w świecie była jej obca. Rejestrowała ją zaledwie, dopuszczała jej istnienie, nie utożsamiając się w żaden sposób z treściami w niej zawartymi. Ale byłby w błędzie ten, kto powiedziałby, że żyjąc pod takim bezpiecznym kloszem, nie jest zdolna docenić zdrowej więzi, która łączyła ją z ojcem. Właśnie dlatego, że potrafiła wyciągać wnioski z obserwacji otoczenia, ten wyimaginowany ktoś nie miałby racji. Dla profesora Stawskiego zawsze było ważne wszystko, co dotyczyło każdej ze sfer życia jego jedynej córki. Oparcie, które w ten sposób od niego dostawała, sprawiało, że – przynajmniej dotychczas – nie było dla niej rzeczy niemożliwych. Teraz zachwiała się, to prawda. Ale tylko przez moment – innej opcji nie brała pod uwagę. Tak się czuła przy nim. I tak czuła życie, do którego krok po kroku ją wprowadził. Miałaby go teraz zawieść? To byłoby tak, jakby po tych wszystkich latach powiedziała mu, że nie miał racji.

– Masz rację, tato! – wyartykułowała na głos puentę swojego

wewnętrznego monologu.

– Czasem mi się udaje! – Ojcu wyraźnie wracał dobry humor.
– Porównałem twoją listę punktów rehabilitacyjnych do moich notatek. Kilka się pokrywa. Pamiętaj, żeby jutro zapytać o nie lekarza. Będziesz pamiętać? – Znowu usłyszała troskę w jego głosie.

– Tato...

Zaczerpnął głośno powietrza, żeby zapytać ją jeszcze o kondycję finansową szkoły, ale zrezygnował prawie w tej samej chwili. Pomyślał, że o zgromadzonych oszczędnościach będą mieli jeszcze czas porozmawiać. Sam też potrzebował dłuższego czasu, żeby dokładniej przyjrzeć się swojemu budżetowi, bowiem przynajmniej część ciężaru choroby swojej jedynej córki zamierzał wziąć na siebie. Tą samą drogą co on musiała dotrzeć do cen leków stosowanych w tym schorzeniu. Wiedziała więc, że wachlarz medykamentów był olbrzymi, jak również i to, że najdroższa wersja leczenia niekoniecznie musi dotyczyć jej przypadku. Do tego wszystkiego dochodził jeszcze temat bezpłatnych programów lekowych, po którym wciąż jeszcze poruszali się po omacku. Wychodzenie teraz przed szereg było więc niepotrzebnym wysiłkiem.

– Potem zjemy coś na mieście. Jeśli nie będziesz za bardzo zmęczona, zajmiemy się tematem rehabilitacji. To żelazny punkt, nie możemy go odpuścić.

Na ekranie włączonego cicho telewizora szumiał jakiś przyrodniczy program o Galapagos. Ciepły głos lektora przyciągał nie mniej niż doskonałe zdjęcia i muzyka trafiona w punkt. Kosma też potrafił tak opowiadać... Myśli popłynęły jej nagle w kompletnie innym kierunku. W przyjemnym – musiała się do tego uczciwie przyznać. Chociaż w jakiś pokręcony sposób i te rozmyślenia, i to, co musiała załatwić następnego

dnia, we wspólnym mianowniku miały niepewność. Przynajmniej w jednym przypadku mogła rozwiązać te wątpliwości sama, oddzwaniając do Kosmy. Cokolwiek miał jej do powiedzenia, powinna go wysłuchać. Nie miała przecież powodu, żeby być zła i na niego. I nie chciała, żeby tak ją właśnie odebrał po tym, jak zignorowała jego próby nawiązania kontaktu; nawet kilka zdecydowanych prób. W myślach więc telefon do niego wpisała sobie w rubrykę spraw do pilnego załatwienia. Właściwie... Tak. Rozmowa z nim zawsze stanowiła solidny zastrzyk energii. I wciąż budził w niej tylko pozytywne odczucia. Za każdym razem inne, ale ciągle tak samo niewymuszone, ciepłe i... prawdziwe. Była przy nim naturalna, była sobą. Przecież zawsze tego szukała w relacjach z innymi.

Spojrzała na zegarek zawieszony na ścianie, a potem na swoją komórkę na niskim stoliczku. Dwudziesta druga już dawno minęła. Nie powinna zapominać o tym, że Kosma jest teraz ojcem dwójki absorbujących szkrabów. Sama zresztą zdążyła się przekonać, jaka moc drzemie w tych dwóch niewielkich ciałkach. Najpewniej wszyscy teraz głęboko już śpią. Jutro też jest dzień. Zrobi to jutro.

Lista jej priorytetów wydłużała się w szybkim tempie...

Wbrew pierwotnym założeniom postanowił, że da jej spokój. Zrobił przecież taki krok, który powinien upewnić Izę, że naprawdę przejął się jej losem. Przecież nie wydzwaniałby tyle razy tylko po to, by dopytać o termin zajęć swoich córek. Jeśli nie chciała angażować go w swoje życie, nie będzie z tym walczył. I nie pojedzie do tej pieprzonej Warszawy! – przekonywał sam siebie przed lustrem, robiąc przy tym miny, które – przynajmniej w zamyśle – miały świadczyć o jego niezłomności.

Kiedy zadzwoniła, był akurat w zagrodzie, gdzie zraszał kolejne sektory ze ślimaczymi rodzinami. Zdjął robocze rękawice

i zerknął na wyświetlacz.

– A jednak – mruknął, po czym odebrał. – Słucham zawsze radia Bzdet – powiedział głośno radosnym tonem.

– Co ty wygadujesz? – Iza wydawała się lekko zaskoczona takim powitaniem.

– A, to ty. – Postarał się, żeby w jego głosie było obecne rozczarowanie. – Wysłałem rano esemesa i myślałem, że dzwonią z radia. Taki konkurs je...

– Nie wydurniaj się! – przerwała mu. – Nie nabierzesz mnie. Dobrze wiem, że jedyne dziś esemesa wysłałeś do mnie.

Miała rację. Koło południa wysłał jej wiadomość, która była równie żałosna jak jego poranne miny przed lustrem. Co robić, naprawdę się martwił.

– Nie gniewaj się, nie odbierałam, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. – W jej zamyśle to miało wystarczyć za przeprosiny.

– Umówmy się, że odbierzesz, nawet kiedy nie będziesz miała nic do powiedzenia. Przyjaźń opiera się na prostych gestach.

– Jesteśmy przyjaciółmi? – zapytała błyskawicznie. Chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Mam nieodparte wrażenie, że jesteśmy.

– Z benefitami czy bez? – drażyła. Jak większość kobiet wolała wiedzieć, na czym stoi, od samego początku.

– Nie przesadzasz? Mamy o tym rozmawiać przez telefon? – Kosmę zaskoczyło to bezpośrednie pytanie. Nie żeby nie myślał o niej jak o atrakcyjnej kobiecie, ale kwestia cielesności jakoś nie spędzała mu snu z powiek. Głowę miał zaprzątniętą czym innym.

– Żartuję! – Wiedział dobrze, że wcale nie żartowała, ale taka odpowiedź zapewniała chwilowy spokój i była bezpieczna dla nich obojga.

– Przyjedź do mnie. Odpoczniesz nad wodą. Ja wyjeżdżam na kilka dni w interesach, będziesz tu sama.

– Co to za pomysł? – Iżę ta propozycja zaskoczyła nie mniej niż jego pytanie sprzed chwili.

– Nabierzesz dystansu, poznasz Gabrysia...

– Już mnie swatasz? Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to nowa znajomość!

– Ostatnia, powiadasz? – Kosma uśmiechnął się szeroko i przysiadł na skrzynce, którą zostawiła na ścieżce jedna z pracownic. Wspomniany Gabryś błyskawicznie uwalił się obok niego, pokwikuując ze zmęczenia. Piesze wyprawy nie należały do jego ulubionych. – Gwarantuję, że ten gość będzie niekwestionowanym obiektem twoich westchnień. Kradnie serca hurtowo!

– Ojciec nie puści mnie samej. Nie teraz, zresztą jest tu u mnie i...

– Przyjedź z ojcem, Iza. Będzie spokojniejszy, ty też. On powędkuje, pospacerujecie. A jak wrócę, to razem pojedziemy do Warszawy.

– Poczekaj, ta rozmowa nie tak miała wyglądać. Chciałam cię uspokoić, podziękować za zainteresowanie i grzecznie...

– Spławić? – Tym razem to on wszedł jej w słowo.

– Grzecznie zapewnić, że chętnie skorzystam z pomocy, kiedy będzie potrzebna. A ty jak zwykle kuisz i namawiasz na różne zakazane owoce!

– Owoców rzeczywiście tu pod dostatkiem. Iza, zrobisz, jak uważasz, ja zapraszam, bo wiem, że czasem trzeba zmienić perspektywę, odetchnąć innym powietrzem.

– Pogadam z papą. – To „z papą” wymówiła z intonacją przedwojennej aktorki, czym rozbawiła go do łez. Ciekawe, wciąż potrafiła go rozśmieszyć.

– Decyduj do jutra, bo później wyjeżdżam. – Zakończył rozmowę, nie dając jej szansy na odpowiedź. Wstał, pstrykając delikatnie w ucho Gabrysia, co obudziło drzemiącego prosiaka. – Pobudka – szepnął do zwierzaka – idziemy zrobić cię na bóstwo! Wszystko wskazuje na to, że będziesz miał damskie towarzystwo.

Stanowczo uciszyła ojca, kiedy zaproponował, żeby wyszli na obiad do restauracji. Uzmysłowała mu, że w niedalekiej przyszłości ruszenie się gdziekolwiek poza obręb jej mieszkania będzie dla niej większym wysiłkiem niż obranie kilku warzyw.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby wynajmowała coś większego, ojciec nie spieszyłby się tak z powrotem. Te kilka metrów zwyczajnie dyktowało długość wizyt jej gości, nawet jeśli tymi gośćmi byli najbliżsi.

Nie oponowała, kiedy powiedział jej o przedłużeniu pobytu w Warszawie jeszcze na kilka dni. Chciał być pod ręką, gdyby podjęte leczenie w jakikolwiek sposób zmusiło ją do szukania dodatkowej pomocy. Właściwie do rozpoczęcia nowego roku akademickiego mogła być pewna, że nie pokrzyżuje mu żadnych planów. Gdyby nie fakt, że na koncie miała mniej niż skromne oszczędności, zamknęłaby szkółkę na okres całych wakacji. Z finansowego punktu widzenia jednak nie był to najlepszy pomysł. Zresztą byli jeszcze Olek i dzieciaki, które codziennie o nią dopytywały. Nawet gdyby więc chciała uciec do tej swojej mysiej dziury, ktoś na pewno by ją w niej wywęszył. Nie miała czasu chorować, ot co!

Delektowała się kawą z mlekiem, czyszcząc metodycznie miękką ściereczką i wodą z odrobiną cukru rozłożysty skrzydłokwiat – był to sposób ciotki Zofii na błyszczące liście roślin doniczkowych. Właściwie nigdy nie przyszło jej do głowy podważać zasadności ciocinych domowych zabiegów

pielęgnacyjnych. Była w końcu gospodynią doskonałą!

Iza małymi łykami popijała przy pracy lekko słodki napój. Ojciec kręcił się gdzieś po mieście, żeby zrealizować recepty. Przyjemnie wilgotne powietrze po ulewnym deszczu, który zamiótł z kurzu większą część miasta, wdierało się do mieszkania przez szeroko otwarte okna.

Jej myśli wciąż krążyły wokół porannej wizyty w gabinecie neurologa. Warszawa jest miastem, w którym – choć nie jest to dane wszystkim – gros pacjentów znajduje miejsce w bezpłatnym programie lekowym. Istniała spora szansa, że za kilka tygodni czy miesięcy i ona znajdzie się w tej grupie. Może poczekać na tę możliwość albo już dziś wykupić leki na własną rękę, wiedząc, że bez żadnego chemicznego wsparcia w momencie rzutu pozwala chorobie czynić spustoszenia w swoim ciele, tym trudniejsze do odwrócenia, im dłużej zwleka z przyjęciem pierwszej dawki. Bezczyenne czekanie ją przerażało.

Na razie musiała się skupić na wysokich kosztach nier refundowanych leków. Przez najbliższe dwa miesiące mogła być spokojna. Wziął je na siebie profesor Stawski. Swoje drobniaki była zmuszona zostawić nietknięte. A po wakacjach miała nadzieję być już w programie lekowym...

Czy naprawdę była tą dziewczyną, która zamiast myśleć dziś o jakimś ekscytującym wypadzie do nocnego klubu stolicy zastanawiała się nad tym, czy jutro zdoła dotrzeć do najbliższej stacji metra o własnych siłach? Czytała kiedyś o syndromie wyparcia, czy nie zmierzała niebezpiecznie w jego kierunku? Instynkt nakazywał jej trzymać się od tego z daleka. Wyraźnie natomiast zapewniał ją, że chwila w mazurskiej głuszy w żaden sposób nie może jej zaszkodzić. Propozycja Kosmy kusila jak mleczna czekolada z orzechami. Nic nie stało na przeszkodzie tej wycieczce. Czyżby?

Nie doczekał się telefonu z odpowiedzią; jego esemesowe pytanie Iza zbyła krótkim: „Jeszcze nie wiem”. Na wszelki wypadek postanowił uprzedzić pana Witolda, że najprawdopodobniej pojawi się tu ktoś jeszcze. W lodówce zostawił trochę wiejskiego sera, wędlinę i sporo zieleniny, którą – jak mniemał – Iza zjadała w dużych ilościach. O preferencjach kulinarnych jej ojca nie miał najmniejszego pojęcia, starszy pan będzie musiał się zadowolić tym, co znajdzie na miejscu.

– Nic się nie martw, gości dopieszczę w razie potrzeby! – uspokajał go sąsiad i najwyraźniej odniosło to dobry skutek, bo Kosma z kuchni przeniósł się do innych pomieszczeń, by przygotować je na przyjęcie przyjezdnych. Świeża pościel, czyste ręczniki i zapasowe szczoteczki do zębów, a przede wszystkim wykąpany i wyszczotkowany Gabryś czekali na nich, choć tak do końca nikt nie wiedział, czy goście w ogóle się pojawią.

– Dla mnie też tak się uwijasz? – Hubert ze zdumieniem obserwował krzątanie przyjaciela, ale ten nie odpowiadał na zaczepki. – Dla papy jeszcze ciepłe bambosze przygotuj...

Kosma tylko popukał się w czoło, po czym wstawił do wazonu świeżo zerwane w ogrodzie kwiaty. W salonie momentalnie zrobiło się przytulniej.

– Grubo! – skomentował Hub i wycofał się na taras, gdzie Helmut oddawał się swej ulubionej czynności, jaką od pewnego czasu było podskubywanie świńskiego ogonka. Symbioza, w jakiej pozostawały dwa tak odmienne gabarytowo zwierzęta, wciąż robiła na wszystkich obserwatorach wielkie wrażenie.

Kosma dołączył do przyjaciela dopiero, kiedy uznał, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Siedzieli dłuższy czas w milczeniu; zmierzchało już i chyba zanosilo się na deszcz.

– Masz jakieś straty w hodowli? Tyle tu lasów! Żaden z gryzoni nie podbiera ci ślimaków? – zapytał Hubert, wybierając przed snem najbezpieczniejszy temat rozmowy. Wspólne zajęcie pozwalało poruszać się po neutralnym gruncie.

– Nie wiem, z czego to wynika, ale nie – odpowiedział Kosma. – Nie zauważyłem żadnego intruza, może to zasługa tych dwóch? – wskazał na drzemiące zwierzaki.

– U mnie jest trochę gorzej. – Hub pokiwał głową. – Coś kradnie nam ślimaki z jednego pola, tego najbardziej z boku.

– Dużo?

– Nie, ale to i tak wkurzające. – Przyjaciel podniósł głos, na co Helmut zareagował łypnięciem spod lekko podniesionej powieki.

Znów zamilkli, słyhać było za to wyraźnie, że wzmaga się wiatr. W ślad za nim pojawiły się pierwsze krople.

– To, co wydarzyło się w ostatnich latach, nadaje się na film. – Jakubowicz przestał huśtać się na bujanym fotelu. – Albo książkę. A najlepiej to i to!

– Tak sądzisz? Jeszcze powiedz, że ludzie by to kupili! – Kosma nie wydawał się zdziwiony nagłą zmianą tematu. Takich rozmów przeprowadzili już dziesiątki.

– Jak sobie radzisz?

– Przecież widzisz. Nie robię głupstw. Pilnuję się na każdym kroku. – Kosma wykonał bliżej nieokreślony ruch ręką. Mógł znaczyć cokolwiek. – Czasem tylko...

– Co?

– Sam wiesz. Nie jest lekko budzić się w pustym łóżku – dopowiedział po pauzie Makarski.

– Rozumiem.

Kosma wstał powoli, dając tym samym sygnał, że nie ma ochoty na dalsze roztrząsanie przeszłości. Przyszłość z kolei interesowała go jedynie w najbliższym wymiarze.

– Nie wiem jak ty, ale ja mam dość na dzisiaj. O której startujemy?

– Może po ósmej? – odpowiedział pytaniem Hubert.

Kiwnięcie głową potwierdziło ustalenia. Kosma wsunął fotel głębiej, tak by zacinający deszcz nie zmoczył mebla. Hubert poszedł w jego ślady, budząc przy okazji zwierzęta.

– Spokojnej nocy! – rzucił jeszcze gospodarz, zanim zniknął w małżeńskiej sypialni.

– Jasne, tobie też. – Hubert cicho zasunął drzwi do jednego z pokoiów gościnnych. Rozpadało się na dobre, przez uchylone okna pachniało letnim deszczem. Zanim ułożył się do snu, napisał jeszcze zwyczajne „Kocham” do swojej żony. Kiedy telefon stłumionym dźwiękiem zasygnalizował przychodzącą odpowiedź, spał już w najlepsze.

Za to Kosma przewracał się w łóżku dłużej od przyjaciela. Na zmianę to gasił, to zapalał małą lampkę, którą miał przy wezglowiu, w zasięgu ręki. Bębniące o szyby krople odganiały sen na równi z kłębiącymi się w głowie myślami. Zrezygnowany wstał i z podręcznej szafki wyjął białe kartki z delikatną, błękitną kratką. W zamyśle miała ona ułatwiać kreślenie równych rzędów liter. Nie potrzebował jednak pomocy, listy do Matyldy mógłby pisać z zamkniętymi oczami.

To życie, które dostałem w wątpliwą nagrodę za wszystkie poprzednie wcielenia, uwiera jak przymały but. W uszach ciągle mam chichot losu, wszelkie plany staram się snuć jak najciszej, by go nie kusić i nie dawać mu kolejnych okazji do przypomnienia o sobie. Myślę już tylko o tym, gdzie teraz jesteś i co musiałbym zrobić, żebyśmy szybko mogli zobaczyć się znowu. Dziewczynki są...

Ten list będzie musiał dokończyć kiedy indziej, tym razem sen przyszedł szybciej, niż Kosma zakładał. Przestało padać, rano

po przelotnym deszczu nie będzie nawet śladu. Przy odrobinie szczęścia słoneczny poranek przegoni też ciemne myśli, które nosił w sobie od rozmowy z Izą.

– Izuniu, jeśli mamy siedzieć przez te parę dni każde u siebie, to propozycja twojego znajomego jest mi jak najbardziej na rękę. Ale tylko pod jednym warunkiem!

– Mhmmm?

– Jeśli jutro nie będziesz czuła się gorzej.

Wiedziała, że tato ma rację. Skutków ubocznych była cała długa lista. I przypuszczała, że właśnie o nich ojciec teraz myśli.

Profesor Stawski podał córce świeżo zaparzoną herbatę, a sam usiadł przy niewielkim stole i po raz kolejny zagłębił się w treść ulotek informacyjnych dołączonych do kupionych dziś leków. Po doskonałych naleśnikach z serem, które na jej życzenie przygotował na kolację, poczuła się przyjemnie zrelaksowana i senna. I chyba naprawdę odleciała na parę minut, bo umknął jej gdzieś początek rozmowy telefonicznej, którą ojciec wyraźnie już kończył. Z jej treści domyśliła się, że rozmówcą profesora Stawskiego jest doktor Krynicki. Dość luźny ton rozmowy i nazwa specyfiku, który leżał teraz na stole, utwierdziły ją w tych przypuszczeniach.

– Co mówił? – Wciąż jeszcze była w półśnie, ale rozbudziła się już na tyle, żeby chcieć wiedzieć więcej.

– Uważa, że przez pierwszą dobę nie powinnaś ruszać się daleko od swojej przychodni.

Po raz pierwszy znalazła się w sytuacji, kiedy – już dorosła – znów czuła się jak dziecko, które musi słuchać rodziców. Milczeniem potwierdziła uwagę ojca i swoje przemyślenia.

– Ale jeśli jutro o tej porze nie wydarzy się nic niepokojącego,

możemy skorzystać z zaproszenia twojego przyjaciela. Chyba że się już rozmyśliłaś? – dokończył profesor.

Nie rozmyśliła się. Bynajmniej... Nie przypominała sobie takiego momentu, żeby Makarski burzył porządek w jej życiu. I nie nad samą wycieczką się teraz zastanawiała, bo ta budziła w niej tylko przyjemne skojarzenia, ale nad tym, czy jakkolwiek swoją obecnością nie wprowadzi chaosu do świata, który przez ostatnie lata z takim trudem próbował poskładać.

Czuła się co najmniej dziwnie, otwierając w środku nocy drzwi nie swojego domu. Kiedy przed północą dotarli z ojcem do siedliska Kosmy, wiedziała, że nie zastaną tam już żadnego z domowników. Minęli się, ale nie chciała popędzać ojca, mając pewność, że będzie miał jeszcze okazję poznać gospodarza po jego powrocie. Razem z kluczami, które wręczył im wiekowy sąsiad Makarskich, dostali też list ze swoistą instrukcją obsługi. Dzięki niej łatwo znaleźli wszystko, co było im potrzebne na czas ich krótkiego pobytu w tym miejscu, począwszy od ogromnego wyboru czarnych herbat w kuchni, wyjątkowego brownie w lodówce, na świeżych kwiatach kończąc. Mocniej zdziwił ją tylko punkt ósmy wiadomości, o treści: „Bądź miła dla Gabrysia”... a raczej nieco ją rozdrażnił, bo jak dotychczas nie miała najmniejszych problemów z poruszaniem się w męskim towarzystwie. Aż takiej podpory jeszcze nie potrzebowała! I przy najbliższej okazji zamierzała wypomnieć Kosmie tę troskę, jej zdaniem na wyrost.

Obudził ją zapach jajecznicy i przysmażonego boczku. Spojrzała na stojący przy łóżku budzik, stylistyką do złudzenia przypominający modele sprzed kilkadziesiąt lat, które znów zaczynały wchodzić na salony. Złapała się za głowę, bo czasomierz pokazywał ni mniej, ni więcej, tylko kwadrans przed południem! Ale wyrzuty sumienia tylko przez chwilę miały nad nią władanie. Nie musiała się nigdzie spieszyć. Co za cudowne

uczucie; człowiek powinien częściej sobie o nim przypominać, pomyślała, przeciągając się leniwie.

Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Przydzielono jej zapewne jeden z pokoi gościnnych. Znajdował się – uff! – blisko łazienki. Nie będzie musiała daleko chodzić. Już była wdzięczna gospodarzowi. Pokój był mały, ale przytulny. Zwróciła uwagę na okno, ozdobione cielistymi zasłonami z grubego lnu, które zajmowało prawie całą ścianę. Wezgłowie łóżka wykonano z zamocowanych pionowo, najwidoczniej bardzo starych desek, które odświeżone i przeciągnięte na poły przetartą jasną farbą, robiły niezwykle wrażenie. Charakteru wnętrzu dodawała też wysoka komoda, pomalowana na odcień intensywnej żółci, i zdobiące ją szklane gałki. Jeśli mebel również był odnowiony, ktoś musiał się do jego renowacji bardzo mocno przyłożyć. Całość dopieszczały piaskowy uszak i kilka małych stoliczków z blatami wykonanymi ze starannie wylakierowanych kawałków przeciętego w poprzek drzewa. Detale w postaci lamp, niewielu dekoracyjnych drobiazgów i wielkiego obrazu z wizerunkiem motyla sprawiały, że rozglądała się ciekawie wokół od dobrych paru minut. Jeśli reszta domu wyglądała podobnie to... *chapeau bas!*

Podeszła do okna i otworzyła je na całą szerokość. Do środka wpadło powietrze pachnące mokrą trawą i wiatrem. Uch... Czyżby aż tak bardzo zapomniała zapach... natury?! To, co czuła czasami na miejskich skwerach, nijak się miało do tej mieszanki wybuchowej. Prawie cały jej skład był dla niej tajemnicą, ale nie miała nic – dosłownie nic – przeciwko temu, żeby zabawić się w zgaduj-zgadulę. Najlepiej po wrzuceniu czegoś konkretnego na ząb.

W planach inwestycja ich nowych znajomych znad morza jawiła się jako wyjątkowe miejsce zarówno pod względem rozwiązań architektonicznych, jak i przygotowywanego menu. W jednej

i drugiej kwestii postawiono na minimalizm. Zośka barwnie opowiadała o oszczędnej aranżacji wnętrza, co już samo w sobie stanowiło pewien dysonans. W jej opowieści było więcej szczegółów, barw i struktur niż na zaprezentowanych wizualizacjach. Ale jedno było pewne – szykowali bardzo ciekawe, odważne miejsce, w którym – zgodnie z ich zapowiedziami – będzie można poznać nieoczywiste smaki, podane w interesujący sposób i w cenie przystępnej dla średnio zamożnego klienta.

– Mała karta, dobre wina i najlepsza obsługa w mieście – podsumował opowieść Gawęł, który w tym biznesie miał sprawować opiekę nad kuchnią. Nic więc dziwnego, że po tym wstępie poczynionym przez małżonkę to on przejął ciężar prowadzenia konwersacji. Nie były to jednak typowe dyskusje handlowe; na takie przyjdzie czas, kiedy ich lokal zacznie nabierać bardziej realnych kształtów: co do tego zgodzili się wszyscy. Restaurator z Gdańska starał się bardziej wysondować, czy dwójka hodowców ślimaków z Mazur nadaje na tych samych falach co oni. Rozmowa, która chwilami nabierała charakteru rekrutacyjnej, chyba przebiegała w dobrym kierunku, bo do podanego przez gospodynię posiłku dołączyły aż trzy różne butelki wina.

– Mówcie, co chcecie, ale są rzeczy, których od Francuzów możemy się uczyć. – Gawęł sprawnym ruchem odkorkował pierwszą flaszkę. – Wino jest tutaj najbardziej jaskrawym przykładem.

– Za to używać sztucców nauczyli się od nas – zaprotestował słabo Hubert. – I polskim ślimakiem muszą nadrabiać braki w swoich hodowlach.

Kosma w miarę szybko wyłączył się z rozmowy; gospodarzy zdążył polubić już podczas mazurskiego ogniska, więc uznał, że tym razem to Hub powinien pełnić funkcję ambasadora ich firmy. Jakubowicz był w swoim żywiole, nie tylko głośno komentował walory rozpijanych kolejno butelek, ale

i dopowiadał coraz to ciekawsze rozwinięcia pomysłów Zośki na aranżację powstającego lokalu. Kosma był przekonany, że w drodze powrotnej jego przyjaciel będzie go namawiał na inwestowanie w gastronomię. Znał go od lat i doskonale wiedział, że Hub lubi trzymać kilka srok za ogon.

– Znasz prawdę o kocie i dziurze, co? – zwykł mawiać w takich momentach, udowadniając wszem wobec, że pieniądz lubi towarzystwo innego pieniądza, dobre pomysły same przychodzą do głowy, a ta z kolei rzadko boli od nadmiaru.

Kosma dyskretnie wstał od stołu i odszedł na bok. Zegarek wskazywał na tyle wczesną porę, że mógł zaryzykować rozmowę telefoniczną, na którą zabrakło czasu w ciągu dnia. Spojrzał na rozbawione towarzystwo i przezornie wycofał się jeszcze o kilka metrów; potrzebował nie tyle dyskrecji, ile świętego spokoju. Ciekawe, jak sobie radzą, pomyślał, wybierając numer.

– Dobry wieczór! – przywitał się, kiedy usłyszał w słuchawce damski głos. – Jeśli obudziłem, to przepraszam.

– Skąd, wiesz przecież, że w takim towarzystwie szybko nie zaśniemy! – Radecka odpowiedziała z uśmiechem, w tle słychać było rozbawione dziewczynki. Mógłby zgadywać, że jej mąż nosi je teraz na barana, nie licząc się z prawdopodobnym bólem pleców następnego dnia. Teściowa potwierdziła jego przypuszczenia. – Dziadek ugania się z nimi już od godziny.

– Poprosi je mama? – Kosma rzucił okiem w kierunku stołu, przy którym najwyraźniej szykowało się coś muzycznego. Gawęł trzymał już w rękach gitarę i kiwał głową w jego kierunku. Kosma odmachnął i pokazał słuchawkę. Zajęło to akurat tyle, ile potrzeba było na ogarnięcie dziewczynek.

– Tatuś! – krzyczały na zmianę, biegnąc do telefonu. – My jeszcze nie śpimy!

– Ja też, ale ja jestem kilka razy starszy. Tak z dziesięć razy, wiecie? – doskonale zdawał sobie sprawę, że liczenie w takim wymiarze to dla Halszki i Różanki całkowita abstrakcja. Uzyskał

jednak tyle, że choć na moment zrobiło się ciszej.

– A co robisz? A Gabryś jest z tobą?

Musiał im wszystko opowiedzieć, łącznie z tym, jak minął mu cały dzień w obcym mieście. Chwilę przeznaczył na krótką bajkę, po której obiecały solennie, że jeszcze tylko mycie zębów i zaraz będą w łóżku.

– Przyjadę po was za kilka dni. A w domku czeka niespodzianka.

– Jaka, tato, jaka? – Natychmiast zdał sobie sprawę, że to nie było najmądrzejsze posunięcie. Zamęczał pytaniami teraz już nie tylko jego, ale i dziadków.

– Hej! – zaprotestował. – Niespodzianka polega na tym, że nikt się jej nie spodziewa. Zapominamy o tym, natychmiast. – Posłał im jeszcze buziaki i się rozłączył. Wolał nie wdawać się w negocjacje, dwie małe terrorystki zwykle wiedziały, jak postawić na swoim.

Poza kilkoma porannymi esemesami nie miał kontaktu ze Stawskimi. Przejrzał teraz telefon w poszukiwaniu nowej wiadomości, ale widać goście pogrążyli się w urokach mazurskiej głuszy, bo jego skrzynka pozostawała pusta. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle; wystukał jeszcze szybko wiadomość dla Izy: „Zostałaś niespodzianką, nie możesz się wykręcić”, i wrócił do towarzystwa. Grono trzech opróżnionych butelek powiększyło się tymczasem o dwie nowe, a stary przebój The Waterboys śpiewał nawet Hubert. Kosmie nie pozostało nic innego, jak żałować, że nie może pokrzyczeć razem z resztą.

Zdążył akurat na drugą zwrotkę. Przywitali go porozumiewawczymi mrugnięciami; w tym gronie wszyscy byli zgodni: Mike Scott i koledzy napisali przed laty jedną z najlepszych popowych piosenek w historii muzyki. Był w niej duch Edynburga i wszystko to, co potrzebują czasem głośno wyśpiewać ludzie z czterdziestką na karku.

You were there in the turnstiles
with the wind at your heels
you stretched for the stars
and you know how it feels
to reach too high
too far
too soon
you saw the whole of the moon...[\[4\]](#)

Siedziała na ocienionym tarasie przed domem, skubiąc nerkowce z żurawiną. Nie zaryzykowała jeszcze zejścia do jeziora, ale obejrzała je sobie z góry, a konkretnie z wysokości przydomowego sadu. Na rekonesans godzinę temu ojciec wybrał się sam. Ona uznała, że myszkowanie w obejściu będzie dla niej wystarczającą atrakcją. Poza tym czuła się odrobinę lepiej. Poruszała się lżej i miała wrażenie, że cokolwiek na nią w tej chwili działa, mogłoby działać jak najdłużej... Następnego dnia przyjrzy się światu za płotem nieco dokładniej.

Rano przestraszyła się nie na żarty i nawet poważnie zaczęła rozważać zmianę leków, bo parząc sobie kawę, kątem oka dostrzegła jakiś ruch przy drzwiach balkonowych. Zza okiennej ramy wystawał... ryjek warchlaka! Krzyknęła w reakcji obronnej na widok wlepionych w nią małych oczek. Świnka drgnęła i na moment skuliła się w sobie, ale nadal tkwiła w tym samym miejscu. Kiedy w końcu serce przestało Izie łomotać, zrobiła trzy kroki w jej kierunku. Ucieszyła się jak dziecko, kiedy zwierzę wyszło jej naprzeciw. Zaczynała się powoli czegoś domyślać. Przykucnęła i wyciągnęła dłoń przed siebie. Świnka, jak oswojony pies, zbliżyła się do niej z ufnością i... nadstawiła

ucho do pieśczoł! Dziewczyna nie wierzyła własnym oczom.

Płaski, metalowy krążek z literką „G” na obroży zwierzaka wyjaśnił jej całe to dziwaczne spotkanie. No tak. Teraz wszystko stało się jasne. Tam, gdzie były dzieci, nie mogło zabraknąć i domowych pupili.

Domowych?! Sama hodowała kiedyś patyczaki, żółwie i króliki miniatutki, ale to tutaj było... oryginalne, i tym samym idealnie wpasowywało się w niecodzienne gusta gospodarzy. Od tego momentu warchlak właściwie już nie spuszczał jej z oka, choć nie mniej łypał nim na orzechy. Tego nie była do końca pewna, ale wolała nie robić żadnego kulinarnego ruchu, zanim nie dowie się, że to, co sama lubi, nie zaszkodzi żywemu inwentarzowi. Wystarczyło, że korzystała z cudzego domu jak z własnego podwórka. Nie chciała sprawiać dodatkowych kłopotów. Kosma może i by jej to kiedyś wybaczył, ale dziewczynkom nie mogłaby spokojnie spojrzeć w oczy.

Było późne popołudnie, a ona prawie cały dzień spała. Sen tutaj chyba jej służył, bo czuła się zrelaksowana i wyjątkowo wypoczęta. Przespała na tarasie porę obiadową. Ojciec najwidoczniej nie chciał jej budzić, więc przygotowaną przez niego carbonarę zjadła sama. A dokładniej mówiąc – w towarzystwie prosiaczka. Dźwięk esemesa w tym miejscu był trochę jak śnieg w maju.

„Zjadłaś coś?” – Kosma był bezbłędny.

„Dziękuję, niczego mi nie brakuje”.

„Cieszę się. Korzystaj ze wszystkiego do woli”.

Skrzywiła się na myśl, że za dwa, góra trzy dni będzie musiała wracać do stolicy. To prawda, że z dala od miejskiego zgiełku wachlarz potrzeb szybko się zmienia. Oparła głowę na poduszce i przymknęła oczy. Było jej tu dobrze, ale w życiu nie przyznałaby się Kosmie, że odkąd przestąpiła próg dawnej stodoły, czuła się jak intruz, który na dodatek dotyka tego, czego nie powinien. Reszta domu była dokładnie taka jak jej

pokój. Nietuzinkowa, atrakcyjna i ciekawa jak dobra książka. Tych ostatnich zresztą w domu było zatrzęsienie. Na każdym kroku zauważalny był również artystyczny charakter gospodyni, widoczny nawet w rozmieszczeniu mebli, które same w sobie stanowiły część dokładnie przemyślanej kompozycji. Wszędzie dostrzegała mniejsze i większe drobiazgi, które wyglądały na wykonane ręcznie, jeśli nie przez samą Matyldę, to najpewniej przez jakiegoś innego twórcę, do którego gospodyni w jakiś sposób musiała dotrzeć. Salonowe regały kryły mnóstwo pięknych wydań albumów z różnego rodzaju sztuką. Dzięki nim nietrudno było się domyślić, że tkanina artystyczna to konik pani domu. Budynek zdawał się opowiadać więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

Nie przyjrzała się jeszcze tylko dwóm miejscom: małżeńskiej sypialni i malarskiej pracowni Matyldy. Były oddzielone od reszty domostwa jakąś niewidzialną granicą, zaledwie wyczuwalną przez jej kobiecą wrażliwość, ale na tyle wyraźną, że przekroczenie jej wydawało się Izie dużo więcej niż śmiałość. Do tych przestrzeni nikt nawet nie uchylał jej drzwi... W tym momencie czuła, że tak właśnie powinno być.

Wstali nad wyraz wcześnie, biorąc pod uwagę przebieg wczorajszego spotkania, które przywołało dużo zapomnianych piosenek i pochłonęło jeszcze kilka butelek półsłodkiego wina. Abstynent Kosma obudził się bez bólu głowy, Hub na lekkim kacu, za to gospodarze nie dali po sobie poznać, czy odczuwają trudy wieczornego przełamywania pierwszych lodów. Gawęł pichcił coś, pogwizdując, Zośka zrobiła się już na bóstwo; musieli wstać wcześnie, bo po wczorajszej imprezie nie było śladu.

– Chciałbym, żebyście przyjechali do Boćków – zagaił Jakubowicz, kiedy usiedli przy stole. Znad starego, sfatygowanego zaparzacza unosił się aromat mocnej kawy.

Gaweł zdążył nawet spenić mleko.

– Dobry pomysł! – Filiżanki postawione przez Zośkę zadźwięczały, stykając się uszkami. Kobieta przesunęła je w kierunku gości. – Masz jakiś konkretny termin na myśli?

– Po wakacjach zaczynamy zbiory, to chyba dobry moment, żebyście zobaczyli, jak hodowla wygląda od środka. – Hub skinął głową, wskazując Gawłowi wystarczającą ilość wlewanego mleka. – Jest wtedy dużo zamieszania, ale przyda się dodatkowa para rąk do pracy.

– Raczej dwie! – zadeklarowała żona Gawła. – Ja się nie nadaję?

– Zaraz, zaraz! – zaproponował Kosma. – Kradniesz ich do Boćków, a ja mam się obejść bez dodatkowej pomocy? Musimy się jakoś podzielić.

– Będą tydzień u mnie i tydzień u ciebie? – zaproponował Hub.

– Albo ich rozdzielimy i będą losować miejsce zsyłki...

– Nie żartuj, nie będziemy dzielić rodzin. Coś się wymyśli! Do września jeszcze sporo czasu.

Poranne przekomarzanie przerwał sygnał telefonu; komórka Kosmy zagrała *Here Comes the Sun* The Beatles, co znaczyło, że najprawdopodobniej najstarsza z córek ma coś ważnego do przekazania. Przeprosił i odszedł od stołu, by odebrać połączenie.

– Tak?

– Pomyślałam, że przyjadę do was na kilka dni. – Michalina nie traciła czasu na zwyczajowe uprzejmości. – Zajmę się maluchami, co ty na to?

– Po co pytasz? – Kosmę cieszyła każda jej wizyta, nie musiała się specjalnie zapowiadać.

– Pytam, bo nie wiem, jakie masz plany.

– Twoje plany są moimi. Ale będę w domu dopiero za dwa dni, jesteśmy z wujkiem Hubciem nad morzem.

– A dziewczynki? Są z tobą?

– Nie, w Warszawie, u Radeckich, muszę po nie podskoczyć.

Michalina przez chwilę milczała, najwyraźniej zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Chyba nawet konsultowała się z kimś obok, bo słyszał przyciszoną wymianę zdań. Musiała zakryć słuchawkę ręką. Kosma odchrząknął, czym przywołał ją do rzeczywistości.

– Co tak chrząkasz, chory jesteś? – zaniepokoiła się od razu.

– Nie, tylko...

– Tylko co, nie mogę się chwilę zastanowić? – Michalina lekko się zirytowała. – Jeśli chcesz, to ja zabiorę maluchy po drodze. To bez sensu, żebyś ganiał po kraju.

– No, dobrze... – odrzekł z wahaniem. – To nie jest zbytnia komplikacja?

– Właśnie teraz ograniczyłam ci potrzebę kombinowania. Zrobi się. Pa!

– Tylko zabierz od Radeckich foteliki dla dziewczynek! – poprosił. – I... bardzo się cieszę!

Kiedy wrócił do stołu, reszta kończyła już śniadanie. Na pytające spojrzenie Huberta Kosma kiwnął głową, że wszystko w porządku. To było rzeczywiście dobre rozwiązanie, nie tylko zaoszczędzi czas, ale i konieczność jazdy przez pół Polski. A skoro tak, to dziś mogą poodkrywać uroki Gdańska. Zamierzał zacząć jeszcze przed południem!

Odłożywszy telefon na niski stolik ustawiony przy tarasowych leżakach, Iza otworzyła trzymany w ręku notes i ponownie przewertowała jego kartki. Ustaliła właśnie przed chwilą daty

rehabilitacji na cały najbliższy miesiąc. To również musiała pokryć na razie z własnej kieszeni, zanim jakaś liczba sesji zostanie jej przydzielona z bezpłatnego pakietu. Wyczyści konto, ale strach przed unieruchomieniem w domu był większy niż widmo finansowych ograniczeń. Musi stanąć na nogi, żeby wrócić do pracy! Jeśli tego nie zrobi, zacieśni swoje możliwości leczenia do sektora ubezpieczeń zdrowotnych, a to niepokoiło ją w równym stopniu co wizja niepełnosprawności.

Ostatni dzień na Mazurach rozpoczęła spacerem do jeziora w towarzystwie ojca. Z ogromną radością przyjęła fakt, że jej ciało uporało się z tym przedsięwzięciem bez kolosalnego wysiłku, który jeszcze kilka dni temu musiała włożyć w przejście kilku kroków. Rzut się uspokajał? Znikał?! Avonex? Oby... Zadawała sobie w głowie pytania jedno po drugim, pokonując ostrożnie kolejne metry ścieżki prowadzącej do stodoły. Wdychała głęboko czyste powietrze, przesycone zapachem traw i wodnych roślin. Uśmiechnęła się do siebie, a potem do ojca, który szedł tuż za nią, asekurując każdy jej krok.

– I jak tam?

– Doskonale. – Naprawdę tak się czuła. Chociaż momentami prawa noga wciąż jeszcze zginała się w niekontrolowany sposób, różnica w jej kondycji musiała być widoczna również gołym okiem. – Zgłodniałam! – dodała jeszcze, przystając na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu.

– To zdrowy objaw! Skorzystamy więc może z okazji i odpowiemy na zaproszenie tego pana Witolda i jego żony? – Samopoczucie córki udzieliło się i profesorowi Stawskiemu.

– Przypomnisz mi, co oni tam dziś serwują? – wróciła do porannej rozmowy z ojcem na temat miejscowych kulinariów.

– Kartacze! To są...

– Cokolwiek to jest, wylizę talerz.

Sięgnęła dłonią do klamki, kiedy dotarli do ogrodowej furtki łączącej pole z przydomowym sadem gospodarzy.

– Byłoby dobrze, córeczko, gdybyśmy wyjechali jutro z samego rana. Nawet o szóstej, jeśli wstaniesz. Dotarlibyśmy do Warszawy przed korkami. Nie chciałbym nadużywać gościnności twojego przyjaciela.

– Położę się wcześniej. Nie ma problemu. Pierwszą rehabilitację mam jutro wieczorem! – obwieściła ojcu efekt swoich porannych działań. – Potem prawie codziennie do końca miesiąca.

– Rozumiem, że wykorzystałaś ten adres wskazany przez Antka?

– Tak. I jeśli jakość usług jest tam na takim poziomie jak obsługa pacjenta, to mogę chyba być dobrej myśli.

– Będzie dobrze.

– Wiem, tato – przytaknęła ojcu pewnym głosem.

– Myślałaś o mojej propozycji? – rzucił w przestrzeń profesor Stawski.

– O wakacjach w Krakowie?

– Tak.

– Umówmy się tak... – Przystanęła na chwilę, żeby zrównać krok z ojcem. – Jeśli nie będzie mi się poprawiać, zrobię to, okej? Ale jeśli będę widziała progres, chcę zostać w Warszawie i dopilnować klubu. Poza tym muszę się rozejrzeć za dodatkowym instruktorem. Sam wiesz, jak trudno trafić na kogoś kompetentnego. Janka wciąż widuję w koszmarach!

Zrobili kilka kroków między starymi drzewami.

– Nie zrzucę wszystkiego na Olka. Nie ma mowy – dokończyła stanowczym tonem.

– Zostanę więc jeszcze z tobą kilka dni, aż zupełnie staniesz na nogi. Może tak być?

– Jasne!

– Kiedy wraca ta oryginalna rodzina? – zapytał profesor z zadowoleniem w głosie, zmieniając temat.

– Dziś albo jutro. Kosma miał dać znać. Może już nawet dzwonił, ale nie zabrałam ze sobą telefonu.

– Trzeba mu jakoś podziękować za gościnę – zastanawiał się głośno Stawski.

– Mam dla dziewczynek piękne wydanie Brzechwy. I worek klocków!

– Ja dokładam więc kilka butelek wina. Dla gospodarza. Co myślisz?

– Myślę, że będzie okej, tatku. On co prawda nie pije alkoholu, ale będzie miał dla gości.

– Jest zaleczonym alkoholikiem? Może nie powinienem... – zmartwił się ojciec.

– Nic z tych rzeczy, nie pije od czasu, kiedy zdiagnozowano u niego raka krtani.

– Co ty mówisz, jest chory?

– Już nie – wyjaśniła Iza. – Przeszedł kurację, ale wiązała się ona z szeregiem wyrzeczeń. No, pewnie sam ci opowie.

Z daleka widzieli już pana Witolda, który musiał chyba na nich czekać, bo kiedy tylko mignęli mu wśród drzew owocowych, podniósł wysoko dłoń w geście pozdrowienia.

– Teraz to i ja zgłodniałem! – powiedział głośno profesor Stawski, odwzajemniając się takim samym ruchem ręki stojącemu w oddali mężczyźnie.

W tym momencie Izie przyszło do głowy, że te trzy dni w Puszczy Boreckiej to zdecydowanie za mało. Zaczynała Kosmie zwyczajnie, po ludzku zazdrościć.

Ustalił z najstarszą córką, że spotkają się gdzieś w okolicach Łomży. Ona przejmie go po drodze, dzięki czemu Hub pomknie swym nowym autem prosto do domu. Co prawda przyjaciel oponował i chciał go dostarczyć pod same drzwi stodoły, ale argument, że Kosma musi wprowadzić Michalinę w temat dwójki pozostałych gości, przeważył.

– Masz rację, nic tu po mnie. – Jakubowicz jakby nagle zatęsknił za domem. – W razie czego dzwoń.

– W razie czego? – zainteresował się Kosma.

– Nie wiem, tak się mówi.

– Jedź już, baranie – pożegnał go czule Makarski. Wyjął z bagażnika swoją walizkę i wrócił do gospody, w której wyznaczyli miejsce spotkania. Szerokie parasole przed budynkiem zapewniały dużo cienia.

Sączył sok pomidorowy i zastanawiał się, kiedy przyjadą jego trzy córki. Za każdą z nich stęsknił się równie mocno. Zastanawiał się też, którą najbardziej zdziwi niespodzianka, jaką zastaną po przyjeździe do domu. Najstarszą wolał uprzedzić wcześniej.

Rozłożył się wygodnie i rozprostował nogi. W tablecie, którego używał do przeglądania internetu w podróży, odpalił przeglądarkę i odebrał pocztę. Vincent prognozował zwyżkę w tegorocznych cenach; upał we Francji dawał się tamtejszym hodowcom we znaki, co natychmiast wykorzystali dostawcy z Polski. Ślimaki nie lubiły nadmiaru słońca, więc jeśli nie wydarzy się nic złego, to za trzy, góra cztery miesiące jego konto zasili solidna sumka. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić z tą informacją od razu do Huberta, ale uznał, że po dwóch imprezowych wieczorach przyjaciel powinien skupić się na drodze, a nie na liczeniu kasy.

Kilka kolejnych maili Makarski skasował bez czytania,

przystanął dopiero przy wczorajszej wiadomości od gamerów. Prawie ją przegapił, a przecież to na nią czekał najbardziej. „Mamy to” – brzmiał entuzjastyczny nagłówek, ale w treści nie zdradzali dużo więcej szczegółów. „Zakończyliśmy rozmowy o sprzedaży praw do wykorzystania formatu w produkcji telewizyjnej. Kupują Amerykanie. Wpadaj na szampana albo na to, czym się aktualnie trujesz! Udało się!”.

Co to mogło znaczyć? I jaki będzie miało wpływ na jego życie? Może żadnego. Nie był przyzwyczajony do tylu dobrych wiadomości, do tej pory szczęśliwy los traktował go raczej po macoszemu. Jeśli pojawiały się pozytywy, mógł być pewien, że zaraz przykryje je coś dużo bardziej przykrego.

Zamyślił się nad tym przez chwilę, bezwiednie wypijając drugą już porcję soku. Niemal umknął mu moment, kiedy na parking wjechała Michalina. Zapięte z tyłu dziewczynki ciekawie rozglądały się wokół, poszukując ojca. Pomachał w ich kierunku, wywołując na małych buźkach szerokie uśmiechy.

– Jak droga? – zapytał Michalinę, która wyglądała na zmęczoną. Ta jednak machnęła ręką i pomogła maluchom wyswobodzić się z pasów.

– Dają tu coś dobrego? Umieram z głodu! – powiedziała, kiedy już się wycalowali i wściskali za wszystkie czasy.

– Naleśniki, tato! My chcemy naleśniki! – Halszka zdecydowała za siebie i siostrę. Różanka chciała dla zasady zaprotestować, ale od kłótni lepszy był solidnie nadziany twarożkiem przysmak.

– Chodźcie, na pewno coś wybierzemy – zaordynował Makarski i całą czwórką usiedli przy zajmowanym przez niego wcześniej stoliku.

– Załatwiliście, co trzeba? – zapytała najstarsza córka, kiedy złożyli zamówienie i oczekiwali na posiłek. – Wszystko w porządku?

– Tak, to nawet nie było do końca biznesowe spotkanie. Poznałem miłych ludzi, taka para z Gdańska w moim wieku.

– W twoim wieku i mili? Zaglądałeś im w metrykę? – Michalina lubiła przekomarzać się z ojcem.

– Wiesz, ty za to z wiekiem coraz bardziej przypominasz swoją matkę. – Kosma nie pozostawał jej dłużny.

– Jaką matkę? – Różanka mogła być pochłonięta czymkolwiek, ale na słowa klucze reagowała błyskawicznie.

– Żadną, tak sobie gadamy, córeczko. – Kosma zareagował natychmiast, zły, że nie ugryzł się wcześniej w język. – Bardzo się za wami stęskniłem.

Kiedy zjedli i ruszyli w drogę, dziewczynki usnęły, dzieląc tylną kanapę. Kosma prowadził, bo miał lepsze rozeznanie w lokalnych drogach; byli już całkiem blisko domu.

– Mamy gości – zagaił, sprawdzając w lusterku, czy przypadkiem któraś z dziewczynek nie obudziła się i nie podsłuchuje.

– Jak to? – zdziwiła się Michalina. – Myślałam, że będziemy sami.

– Będziemy. Jutro pewnie wyjadą, choć wolałbym, żeby zostali na dłużej.

– Kto to?

– Stara znajoma z ojcem.

– Stara znajoma? Z ojcem? – Michalina powtórzyła jak automat.

– Dokładnie.

– Otwierasz agroturystykę czy co? – drażyła.

– Niedawno okazało się, że choruje na poważną chorobę.

– Ona czy ojciec?

– Ona. Ledwo co poznała diagnozę. Uznałem, że dobrze jej

zrobi kilka dni na wsi.

– Tata, coś kombinujesz! Mało masz swoich kłopotów?

– W zasadzie to już mało. – Kosma uśmiechnął się do niej, po czym wrócił do obserwacji drogi. Jechali w spacerowym tempie.

– Właśnie się dowiedziałem, że mam kasy więcej, niż mogę przejeść.

– Nie o tym mówię!

– To o czym? Mam zdrowe i mądre córki. Żona nie zrzędzi nad uchem...

– Przestań! – niemal krzyknęła.

– Nie mam już kłopotów i nie chcę nowych – odezwał się spokojnym głosem. – Mogę za to zrobić coś dobrego. Nie mów, że postępuję źle.

– Nie to miałam na myśli. Ja po prostu się o ciebie martwię.

Dobre trzy kilometry jechali w milczeniu. Nie patrzyła w jego stronę, a on koncentrował się na pokonywaniu zakrętów. Droga w tym rejonie była wyjątkowo kręta.

– A nie powinno być inaczej? To chyba moje zadanie? – podjął po chwili.

– Racja, nie kłóćmy się – odpowiedziała pojednawczym tonem.

– Przepraszam za moją reakcję. Naprawdę nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Polubicie się. Iza uczy dziewczynki w Warszawie tańca. Nic nie wiedzą, więc będzie niespodzianka.

– Poznaliście się w tej szkółce? – Przyglądała mu się uważnie.

– Nie, poznałem ją w tym samym czasie co Matyldę.

Nie skomentowała. Postanowiła po prostu cieszyć się jego towarzystwem i wykorzystać ten czas na odpoczynek. Potrzebowała kilku dni relaksu, a może nawet całkowitego resetu. Jeszcze nie wiedziała, która opcja będzie jej potrzebna.

Jeśli ojciec chce mieć kłopoty, to ona niewiele tu zdziała, znała go przecież aż za dobrze. Poza tym, czy nie nadszedł już odpowiedni moment, by przestać niańczyć swojego staruszka?

A gdybyś zapomniał... Różanka za skarby świata nie włoży tego swetra w grochy. Halszka pluje każdą inną pastą niż ta ze smokiem na opakowaniu. Nie pozwól, żeby Helmut lizał je przed snem! Dokup im kilka par bawełnianych skarpet, bo wyleciało mi to z głowy... Opraw nasze wspólne zdjęcie – to na grzybach. Nie strasz ich niczym, kiedy będą grymasić przy jedzeniu! Przytulaj... Na dzień dobry i na deszcz, kiedy się śmieją i tęsknią, kiedy nie chcą spać i kiedy śpią za długo, kiedy nauczą się czegoś nowego, kiedy cała ich pomoc na farmie to garść ślimaków, w tym – z w połowie rozdeptanym domkiem... Kiedy zabraknie Ci pomysłów na... cokolwiek, zróbcie razem ciasto. To zawsze działa! I wychodź z nimi, nawet w mróz! Namalujcie razem bajkę. Koniecznie ze szczęśliwym zakończeniem. Będziemy ją czytać na zmianę, kiedy wszystkie inne będą już znaty na pamięć. Mów im codziennie o mnie, Ty wiesz co... Bądź cierpliwy i pamiętaj: to przecież tylko chwila!

[4] The Waterboys, *The Whole of the Moon* (sł. Mike Scott).

pozwól mi odejść
oddychaj powoli
puść moją dłoń
to nie takie straszne
ból
przykryj ciepłym kocem
oczekiwania na cud
zrób dla niego miejsce
po prostu
zrób...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zebrała świeżo umyte włosy w koński ogon i podciągnęła do góry zamek lekkiej dresowej bluzy, zmniejszając w ten sposób dekolt, który odsłaniał prawie całe piersi. Odświeżyła się po kolacji, żeby wczesnym rankiem nie budzić domowników szumiącym prysznicem. Kosma był już od kilku godzin w drodze i w zasadzie mogli się spodziewać powrotu rodziny w każdej chwili. Wypełniła kosmetykami podróżny kuferek i rozejrzała się po łazience, szukając wzrokiem swoich rzeczy. Nie czułaby się komfortowo, gdyby okazało się, że po ich wyjeździe gospodarz musi zaczynać kolejny dzień od sprzątanania cudzych, i to nie pierwszej świeżości.

Mimo wieczornej pory na dworze wciąż jeszcze było widno. Ułożyła swoje rzeczy w walizce, wypełniając część jej wnętrza drobiazgami zabranymi z łazienki. Zajmowany dotąd pokój również omiotła wzrokiem. Teraz z czystym sumieniem będzie mogła podelektować się przyjemnym wieczorem. Może nawet znów zanurkuje w biblioteczkę Kosmy i Matyldy? Jeśli oni wszystkie te książki, które posiadają, przeczytali... – pomyślała, schodząc ostrożnie po schodach i rozglądając się za ojcem. Znalazła go rozprawiającego o czymś żywiołowo ze starym

sąsiadem gospodarzy, który czuł się chyba w obowiązku dopilnować, żeby gościom Makarskich naprawdę niczego nie brakowało. Na stoliku obok ogrodowych foteli i leżaków postawiła duży dzbanek z herbatą i świeżymi listkami mięty zerwanymi w ogrodzie, dwie puste filiżanki i jedną pełną gorącej czekolady. Aromat sernika upieczonego przez panią Elżbietę zmieszał się z zapachami płynącymi ze stołu i ogrodu.

Na mały talerzyk Iza nałożyła sobie solidną porcję placka, po czym wsunęła się głębiej w ogrodowy fotel. Nie zdążyła dobrze przełknąć nawet jednego kęsa, kiedy na podjazd przed domem, hałasując niemiłosiernie klaksonem, wtoczył się samochód. W jednej chwili ciszę ogrodu wypełniły kwik wietnamskiej świnki, szczekanie wielkiego psa, który pierwszy dopadł do auta, i radosny pisk bliźniaczek. Dziewczynki przyłgnęły do Izy, prawie ją przewracając. Zaraz za nimi wydostali się na oko niewiele od niej młodsza dziewczyna oraz Kosma. Zareagował w samą porę, jednym długim susem doskakując do całej trójki w momencie, w którym Stawska zaczynała już tracić równowagę.

– Dobrze was widzieć! – udało jej się przekrzyknąć maluchy, które pozwoliły Kosmie zaledwie musnąć jej policzek na przywitanie, anektując miejsce przy swojej ukochanej pani już do końca wieczoru.

– Jak nogi? Poradzisz sobie z tym tornado? – wcisnął się ze swoim pytaniem między słowny ostrzał swoich latorośli.

– Dużo lepiej, naprawdę. Chętnie się z nimi pobawię, jeśli zechcą.

Maluchy obsiadły Izę jak kury grzędę i ani myślały zmieniać miejsce.

– Niech i tak będzie. One opowiedzą ci różne fajne historie. Przy okazji, poznaj moją najstarszą córkę.

Michalina już chciała zasunąć jedną z przygotowanych naprędce uszczypliwości, w rodzaju: „Dobrze, że wreszcie sobie

o mnie przypomniałeś”, ale zrezygnowała i zamiast tego wyciągnęła rękę na powitanie.

– Miło cię w końcu zobaczyć – powiedziała Iza. – Ojciec dużo o tobie opowiadał.

– Chodźcie do środka, pogadamy, a ja wypakuję bagaże i zajmę się kolacją – wtrącił się Kosma.

– Tylko jeśli wy potrzebujecie posiłku. My z ojcem jesteśmy właśnie przy deserze.

– Świetnie wyglądasz! – Nadal próbował konkurować z córkami.

– Dziękuję.

Właściwie chciała mu podziękować za wszystko.

– Proszę paniiii, podlewała pani nasze ślimaki, jak nas nie było? One potrzebują dużo wody. – Halszka odwróciła uwagę dziewczyny od swojego rozmówcy. Iza poczuła się mocno zbita z tropu. Oczekiwała pytania raczej o inne zwierzaki.

– Wie pani, że pingwin zjada codziennie tyle ryb? – Różanka wysunęła przed siebie obie rączki z rozsuniętymi szeroko paluszkami.

– To znaczy ile?! – dopytywała Iza teatralnym tonem, ciesząc się, że temat zimnolubnych nietotów jest jej nieco bliższy.

– Nooo... tyle!

Kosma uchwycił jej rozbawiony wzrok i uniósł kciuk do góry.

– Przyjechała pani zrobić nam próbę? – Halszka wykonała nagły zwrot akcji.

– Ja już umiem wszystkie kroki – dodała druga dziewczynka.

– Ja też!

– Pokażemy pani i pani z nami zatańczy!

– Po kolacji i po kąpieli! – Kosma miotał się trochę między dziećmi, biegającym w koło psem i starszymi panami, którzy na

szczęście nie potrzebowali żadnej dodatkowej opieki.

– Ja odpowiadam za kolację, ty za kąpiel! – zakomenderowała Iza, zastanawiając się, czy nie wyjedli z ojcem wszystkich jajek.
– Tylko Michalina ma dziś wolne!

– Dzięki! – odpowiedziała wywołana najstarsza córka i z ulgą przyłączyła się do okupującego sofę Gabrysia. – Gdyby nie było chętnych, to pozmywam po kolacji.

– Z pianką czy bez? – Kosma kucał już przy dziewczynkach, próbując choć na chwilę odciągnąć je od Izy.

– Dużo piany! – Halszka pokazała rączkami ogrom swoich kąpielowych życzeń.

– To na górę. Bo nie będzie żadnych tańców, czy to jest jasne?!
– Jako ojciec jednak powinien tu mieć coś do powiedzenia. Maluchy odwróciły się na pięcie i z jeszcze większym piskiem wbiegły do mieszkania. – Te dzieci... – Uśmiechał się szeroko do dziewczyn, rozkładając ramiona w geście bezradności. – Panie Adamie, panie Witoldzie, obowiązki! – odkrzyknął jeszcze w kierunku gości i ruszył w ślad za Halszką i Różanką.

Na nic zdały się prośby dziewczynek i ich ojca, goście musieli wyjechać już następnego dnia. Kosmie udało się utargować jedynie tyle, że zbiorą się dopiero po obiedzie. Halszka i Różanka uzyskały z kolei zapewnienie, że ich instruktorka przyjedzie na Mazury jeszcze w te wakacje, przynajmniej na kilka dni. Wiele sobie po tym obiecywały i tylko pod takim warunkiem zgodziły się położyć o rozsądnej porze. Kiedy pan Adam pożegnał się, skończywszy relacjonować ciekawą rozmowę o mazurskich zwyczajach, jaką odbył z sąsiadem, również i Michalina dyskretnie wycofała się do swojego pokoju.

Kosma z Izą siedzieli na tarasie, nasłuchując odgłosów z pobliskiego lasu. Rywalizowały one z chrapaniem wiekowego

już Helmuta i dużo młodszego Gabrysia.

– Dziękuję, że nas tu ściągnąłeś. – Iza wyprostowała nogi, opierając stopę o prosiaka, co zwierzę odebrało jako całkiem przyjemną pieszczotę. – Urządziliście to miejsce zjawiskowo.

– To zasługa mojej żony. Można powiedzieć, że przyszedłem tu na gotowe. A teraz... – zawiesił głos na kilka sekund – teraz czuję się tu bezpiecznie i dobrze. To moje miejsce na ziemi.

– Chcesz o tym pogadać?

– Może kiedyś. Lepiej powiedz, jak się czujesz i co zamierzasz?
– zmienił temat i umościł się wygodniej w fotelu. Przyjrzał się Izie uważnie; lekki makijaż podkreślał jej urodę, sprawiała wrażenie zrelaksowanej i wypoczętej.

– Przyjazd tu świetnie mi zrobił – powiedziała jakby na potwierdzenie jego obserwacji. – Ojcu chyba też, bo jak widziałeś, mógł choć na jakiś czas przestać się zamartwiać.

– Znalazł sobie nawet kolegę – zauważył Kosma, na co Iza skinęła głową.

– Pan Witold to wspaniały człowiek, nie dał mu się nudzić ani przez chwilę.

– Musicie wyjeżdżać tak szybko? – Makarski postanowił jeszcze raz spróbować wpłynąć na jej decyzję.

– Zostałabym tu na długo, naprawdę. – Zmieniła stopę, którą opierała o Gabrysia. Warchlak cicho kwiknął przez sen. – Ale w tym momencie najważniejsza jest moja choroba, a właściwie walka z nią.

– To zrozumiałe. Co zamierzasz? – ponowił wcześniejsze pytanie.

– Staram się o przyjęcie do programu lekowego, ale to jeszcze trochę potrwa. A na teraz mam umówioną rehabilitację.

– Jak pogodzisz to z pracą? – Jak rzadko kiedy, Kosma starał się zadawać rzeczowe pytania, bez typowych dla siebie różowych

okularów i wiary, że jakoś to będzie.

– Tak naprawdę to jeszcze nie wiem, mam jakiś plan, ale nie do końca zależy to ode mnie.

– Nie rozumiem, przecież szkoła jest twoja?

– Szkoła tak, ale jeśli ja nie będę w niej uczyć, to trzeba znaleźć inne rozwiązania. – Iza machnęła zrezygnowana ręką, jakby miała dość tego tematu. – Nie gadajmy o tym teraz, mam jeszcze tylko ten jeden wieczór bez bólu głowy o przyszłość.

– Dobrze, ale obiecaj, że gdyby działo się coś złego, natychmiast zadzwonisz.

– Nie mogę ci tego obiecać, Kosma. – Spojrzała na niego tak, jak patrzy się na małe, niesforne, ale i urocze dzieci. – Masz wystarczająco dużo na głowie.

– Iza, nie odpowiadaj teraz. Nie odpowiadaj w ogóle – poprosił. Pochylił się nad szeroką ławą, przy której siedzieli, i położył rękę na jej dłoni. – Chcę tylko, żebyś pamiętała o tym, że możesz na mnie liczyć. Koniec, kropka.

– A jeśli rzeczywiście przyjdzie taki dzień, że będę potrzebowała twojej pomocy? – Wciąż nie cofnęła swojej dłoni, czuła w niej przyjemne, pulsujące ciepło.

– „To będę jasny i gotowy” – zanucił w odpowiedzi fragment z piosenki Tadeusza Woźniaka. – Idziemy na spacer? Późno, dlatego pokażę ci tylko kilka naszych ulubionych miejsc.

– Naszych? – zapytała.

– Mhmmm, moich i Helmuta. Jedynie my wałęsamy się tu bez celu.

– Tylko nie za daleko. – Skinęła głową z aprobatą i podniosła się z fotela. Na dźwięk słowa „spacer” śpiącym zwierzakom błyskawicznie wróciły siły witalne. Kosma musiał uciszyć psa, który nie zważając na porę, gotów był głośnym szczekaniem obwieścić swoje zadowolenie.

Ujął Izę pod ramię i ruszyli wolno przed siebie. Gabrys posłusznie podążył za nimi, popędzany szturchańcami przez Helmuta.

Matylda? Wiem, że tam jesteś...

Dlaczego się nie odzywasz? Myślisz, że ignorując moje listy, sprawisz, że przyjmę to łatwiej? Jeśli taka myśl przyszła Ci do głowy, to znak, że nie znasz mnie wcale.

Jedyne, co tym osiągnęłaś, to to, że nienawidzę siebie! Za to, że przystałem na Twój wyjazd. Że nie powiedziałem tonem nieznoszącym sprzeciwu: to nie jest nam do niczego potrzebne. Bo przecież nie było, prawda? Głupia decyzja i tyle konsekwencji! I dlatego mam teraz być sam?

Mam tego dość, słyszysz?

Masz tu do nas wrócić, i to natychmiast.

Jeśli masz jeszcze choć trochę serca, wróć do mnie. Do nas.

Tęsknimy. A miłość wybacza wszystko!

ogrzewam dłonie

filizanką

świeżej nadziei

noc

jeszcze jaśniej

światłem twoich oczu

upijam łyk

zostań...

wciąż jest puste miejsce przy stole

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na początku października Olek odchodził z pracy. W ten sposób dowiadywała się, jak to jest, kiedy traci się grunt pod stopami. W jej przypadku – niech to jasny szlag trafi! – powiedzenie miało dosłowne znaczenie. Eliza, żona Olka, dostała angaż w *Rising Stars Revue* Krakowskiego Teatru Variété na kolejne trzy sezony. Małżonkowie nie chcieli przez taki długi okres widywać się tylko okazjonalnie, więc zdecydowali się przenieść do Krakowa tak szybko, jak tylko uda im się znaleźć jakieś wygodne lokum. Tak naprawdę klub nie będzie miał Olka już od września, bo chłopak zaplanował zająć się przeprowadzką jeszcze przed pierwszymi próbami żony. Ona nie będzie miała wtedy zbyt wiele czasu, żeby pomóc mu w czymkolwiek na nowych śmieciach. Miał również prawo do niewykorzystanego urlopu, więc nowy rok w szkółce Iza zacznie sama, bo znalezienie dobrego tancerza w sezonie wakacyjnym graniczyło z cudem. Podwójnym, ponieważ teraz potrzebowała już dwóch.

Nie miała prawa robić mu wymówek. Było najzupełniej zrozumiałe, że z kilku kobiet, którym w życiu przychodził z pomocą, ona jest na samym końcu. Tym razem dla niej zabrakło mocy przerobowych...

A do tej pory od kilku dni czuła się doskonale. Cokolwiek działało się właśnie w jej organizmie, działało się na lepsze. Codzienne ćwiczenia stawiały ją na nogi lepiej niż domowy rosół, a po kolejnych iniekcjach avonexem prawie nie było śladu po ostatnim rzucie. I naprawdę uwierzyła, że ze wszystkim da sobie radę.

Zamknęła drzwi klubu i wróciła jeszcze na parę minut na zaplecze. Ciemne pomieszczenie tym razem rozdrażniało ją w dwójnasób i robiło przygnębiające wrażenie. Jeśli w ciągu wakacji nie uda jej się nikogo zatrudnić i jeśli nadal będzie musiała sama wykupywać wszystkie leki, jesienią zostanie bez możliwości rehabilitacji i leczenia. Bez pracy i miejsca w programie lekowym kilka tysięcy potrzebne na miesięczną kurację będzie dla niej luksusem nie do osiągnięcia! Czyżby te trzy lata walki o klub okazały się w tej chwili zupełnie bez znaczenia?

Gorączkowo przerzucała w głowie nazwiska znajomych tancerzy, do których mogłaby się zwrócić, ale było ich niewiele i przy żadnym tak naprawdę nie chciała się zatrzymać. To będzie trudniejsze, niż się spodziewała!

Zamknęła z trzaskiem segregator z rachunkami. To przecież niemożliwe. Niemożliwe, żeby nic nie dało się zrobić! Poczowała, że zaczyna się dusić w tym ciasnym pomieszczeniu. Chwyciła klucze leżące na biurku, wybiegła na zewnątrz i zatrzymała się zdyszana dopiero wtedy, kiedy wpadła na jakąś kobietę z torbą pełną pomarańczy. Owoce rozsypały się po chodniku na wszystkie strony, a Iza po prostu zanosła się bezsilnym, spazmatycznym płaczem.

Po wyjeździe Stawskich w dawnej stodole nie zrobiło się wcale ciszej. Po drugiej stronie jeziora obozowała duża grupa harcerzy. Wieczorami po wodzie niosły się dźwięki gitar

i śpiewy, które budziły w Kosmie jakąś nostalgiczną cząstkę duszy. Ganił się za to, bo nie powinien się teraz rozpraszać; Hubert już kilka razy przywoływał go telefonicznie do porządku, zbliżał się bowiem najbardziej odpowiedzialny moment roku w ich biznesie. Trzeba było przygotować magazyn, zadbać o transport i przede wszystkim zatroszczyć się o odpowiednią liczbę pracowników. Szykował się naprawdę intensywny czas, a pogoda sprawiła, że tegoroczne zbiory rozpoczną się nieco wcześniej. Ślimaki były już wyrosnięte, druga połowa września zarówno u Kosmy, jak i w Boćkach upłynie na zbieraniu, ważeniu, suszeniu i pakowaniu. Żeby jednak przejść przez to sprawnie, trzeba było trzymać rękę na pulsie. Kosma musiał też wziąć pod uwagę, że od września dziewczynki rozpoczną naukę w szkole.

Aj, Matyldo, skąd ta pewność, że ze wszystkim poradzę sobie sam? – pytał w myślach, przysłuchując się harcerskim śpiewom. Któryś z druhów musiał być nieszczęśliwie zakochany, bo już od kwadransa dawał upust swojej tęsknocie. Kosma rozumiał go doskonale. Całe szczęście, że Michalina była na miejscu i mogła zadbać o to, czego on nie dostrzegał męskim okiem. Tornistry, piórniki, stroje do gimnastyki, te wszystkie spinki, gumeczki i opaski do włosów. Potrzebował tu porządnego wsparcia i cieszył się, że jego małe córki mogą liczyć na swoją starszą siostrę. Jej pomoc była tym cenniejsza, że na wieś zjechali letnicy, liczba dzieci biegających tu i tam zwiększyła się więc o kilkoro nowych urwisów. Halszka i Różanka miały towarzystwo, a Michalina zajęcie.

– Nie odpoczniesz – podsumował jej próby zapanowania nad rozbrykanym towarzystwem, które obsiadło taras, domagając się deseru. Oprócz bliźniaczek dostrzegł jeszcze przynajmniej trójkę obcych i wnuczka pana Witolda, który zachodził tu już wcześniej.

– Nie szkodzi! – przekrzykiwała małe towarzystwo, miksując truskawki z jogurtem. Z owocową granolą zapewnią dzieciakom

smaczną i pożywną przekąskę. – Dokładnie tak sobie to wyobrażałam. Jest mi tu dobrze!

– Tu wszystkim jest dobrze – odpowiedział i zniknął wśród poletek, na których żerowały ślimaki. Kiedy dotarł do palików wyznaczających koniec ziemi, którą nabyli z Matyldą w pakiecie ze stodołą, przycupnął na stercie desek i rozplakał się jak dziecko.

Ciebie więcej chcę

Musi mi to przejść

I minąć mi miłość

I inne słowa

Nie potrzebuję słów

Mówiłem Ci to już

Dopłyną donikąd

To tylko słowa...[\[5\]](#)

Pieprzeni harcerze, że też muszą śpiewać tak głośno! – pomyślał, ale natychmiast skarcił się za to. Weź się w garść, powtarzał przez chwilę, starając się opanować drżenie rąk. Dźwięk telefonu przyjął jak wybawienie.

– Jestem – odezwał się, sprawdzwszy na wyświetlaczu, kto dzwoni.

– Dzień dobry. – Kaśka miała nadprzyrodzoną zdolność pojawiania się wtedy, kiedy potrzebował pociechy albo pomocy.
– Tak sobie pomyślałam, że zadzwonię i...

– Dobrze, że jesteś.

– Stało się coś? – Kaśka podobnie jak ich córka wiedziała, że

skierowanie takiego pytania do Kosmy jest jak najbardziej na miejscu. Zawsze jednak zadawała je z bijącym sercem.

– Nie, nic takiego. Mam chyba słabszy dzień.

– Dużo słabszy? – W jej głosie słychać było troskę.

– Tylko trochę – uspokoił ją natychmiast. – Miśka jest u mnie, zostanie jakiś czas.

– Serio? Nic mi nie mówiła – zdziwiła się. – Dziewczynki zdrowe?

– Tak, wszystko pod kontrolą.

– Kiedy będziesz w Łodzi? Nie żebym się specjalnie stęskniła, ale przywiózłbyś wiejskiego miodu, trochę jajek i inne takie?

– Chyba jednak się stęskniłaś, bo prowiant może przywieźć nasza córka, kiedy będzie wracać. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Wolisz więc spotkanie z uroczym dostawcą.

– Słyszę, że już ci lepiej. – Nie zareagowała na zaczepkę. – Odzywaj się! Posłuchaj, a może podrzucisz Halszkę i Różankę na kilka dni do cioci z Łodzi? Zabiorę je do planetarium albo do teatru.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Kosmę najwyraźniej zaskoczyła jej propozycja.

– Przeginam? – zapytała nieśmiało. – Taaa, przeginam. Dobra, nie było tematu.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś. – Kosma naprawdę był jej wdzięczny. Huśtawki nastrojów, które dawały o sobie znać od jakiegoś czasu, potrafiły być bardzo wyczerpujące. Dobrze czasem pogadać z kimś nawet o głupotach.

– Dbaj o siebie – powiedziała i przerwała połączenie.

Kosma przez chwilę siedział z telefonem w ręce, zastanawiając się, czy nieszczęśliwie zakochany harcerz zdążył wyśpiewać już cały żal, jaki w sobie nosił. Spojrzał na zegarek i uznał, że warto zaryzykować. Wolnym krokiem ruszył w kierunku domu.

„Wherever I lay my hat that’s my home. I’m telling you that’s my home”^[6] – śpiewał na początku lat osiemdziesiątych Paul Young; Makarski najbardziej lubił właśnie to wykonanie starej piosenki kultowego amerykańskiego wokalisty, Marvin’a Gaye’a. Kosma nie wszedł jeszcze w ten stateczny męski wiek, w którym nosi się kapelusze, ale gdyby tak było, nie miałby wątpliwości, że swój chciałby powiesić właśnie w tym miejscu. Nigdy nie miał też wątpliwości, że to będzie prawdziwy dom. Kiedy znaleźli to miejsce podczas jednego ze spacerów, mocniej zabiło mu serce. Gdy Matylda kupiła zaniedbaną działkę i rozwalające się budynki, przyjął to jak najwspanialszą niespodziankę i dar od losu. Miał pomysł na każde z pomieszczeń, które wymagało wielu zabiegów i niemałych nakładów finansowych. Wiadomość o tym, że po jego odejściu, chcąc zakończyć tamten etap życia, Matylda wyremontowany obiekt przeznaczyła na sprzedaż, dała mu impuls do walki o siebie, o nią i to miejsce. A kiedy znów dostał swoją szansę, zadbał o ich gniazdko z podwójną energią, dopieszczając przez lata każdy kąt. Tak, to był jego dom i – gdyby wrócić do piosenki – miejsce, w którym mógł powiesić swój kapelusz.

– Jesteś szczęśliwy, prawda? – Matylda co jakiś czas do tego wracała, na co on niezmiennie odpowiadał: naprawdę musisz o to pytać?

Nawet go to trochę irytowało, przecież doskonale odczytywała jego stan. Każdy wspólny dzień dostarczał jej coraz to nowych dowodów. I zarazem powodów do zadowolenia.

– Jesteś, nie wstydz się – drażniła się z nim. Dziwnym trafem najczęściej działo się to, kiedy dziewczynek nie było w zasięgu wzroku. To pozwalało jej bezwstydnie oprzeć stopy na jego kolanach, rozchylając przy tym delikatnie uda. – Pokaż, bo może trochę do pełni szczęścia ci brakuje?

Kochali się miłością dojrzałych, świadomych swoich potrzeb ludzi. Dotykała go długo i całowała na zapas, jakby ten rok, w którym zniknął, miał się powtórzyć. Najbardziej lubiła całować go w usta. I leżeć twarzą do niego, by móc widzieć, jak pożera ją wzrokiem. Tak właśnie wyglądało to szczęście, kiedy mieli ten dom tylko dla siebie.

– Co tam śpiewasz pod nosem?

– A nic, o kapeluszu i domu, nieważne – odparł, bawiąc się jej włosami.

– Kosma, ustalmy jedno! Żaden mieszkaniec tego domu nie będzie nosił kapelusza! I nigdy nie zapuści wąsów! Co ty, w Arsène'a Lupina na stare lata się zmieniasz?

Dobrze, już dobrze, chciał powiedzieć, ale wiedział że efektywniejszym rozwiązaniem będzie powrót do pocałunków. Podobała mu się ta metoda!

Próbowały umówić się z Zuzą. Od ponad dwóch tygodni w ogóle się nie widziały. Iza wprawdzie powiedziała przyjaciółce o diagnozie, ale wtedy nie miała jeszcze ochoty przysiąc konkretniej do sprawy. Dziewczyna również na nią nie naciskała, wyraźnie oszołomiona nowiną. Może nie wiedziała, jak ma się ustosunkować do tych wiadomości, a może po prostu wyczuła, że Iza na razie ucieka od tematu – bo w pewnym sensie na początku tak właśnie było. Z czasem uznała, że w dobie tak silnego rozwoju medycyny dojście ze swoim organizmem do ładu będzie tylko kwestią czasu. Nie spodziewała się jednak trafić na opór materii w postaci medycznej biurokracji i tak prozaicznego czynnika jak pieniądze, które stanęły jej na drodze do błogostanu. W obliczu jutra, które w tym momencie stawało się wielką niewiadomą, ich jeszcze tak niedawne beztroskie zakupowe szaleństwa czy zwyczajne posiedziska przy winie i dobrym filmie przesłaniała

zasłona złości na tych, którzy z uroków życia mogli korzystać bez żadnych ograniczeń.

Przez ostatnie siedem dni próbowały kilkakrotnie. Raz przeszkodziła im nagła wizyta Izy u dentysty, potem w parady weszły nadgodziny Zuzanny, a wczoraj, kiedy Stawska wyjmowała z piekarnika gorący jabłecznik, przyszedł esemes od przyjaciółki, że ta ma coś pilnego do załatwienia i zadzwoni najszybciej, jak tylko będzie mogła. Cały dzień ciszy w eterze Iza uznała za wystarczający. Potrzebowała rozmowy. Potrzebowała obok siebie kogoś, kto być może dostrzeże w całej tej sytuacji coś jeszcze, czego ona nie widzi.

Trochę bezmyślnie bawiła się telefonem, licząc na to, że odpowiedź na kilka z rzędu wysłanych do przyjaciółki wiadomości przyjdzie lada chwila. Tak się jednak nie działo. Milczący aparat prawie parzył w dłonie, a cisza w mieszkaniu powoli stawała się nie do zniesienia.

Iza wstała i ze stosu płyt ułożonych równo na półce wyciągnęła jedną na chybił trafił. Skrzywiła się. Miśkiewicz – nie dziś. Znajdzie coś odpowiedniejszego. Kayah? Organek?

Wtuliła się w róg kanapy i w pierwsze dźwięki muzyki. Ponownie spojrzała na telefon. Tym razem wybrała numer Zuzy, zrezygnowawszy z przypominania się kolejną wiadomością. Po dziesiątym sygnale nieodbieranego połączenia dotknęła na ekranie czerwonej słuchawki. Ponowiła próbę kilka minut później. Przy trzecim podejściu usłyszała tylko suchą informację o czasowo niedostępnym abonencie. Zrobiło jej się jeszcze bardziej nieprzyjemnie.

Widok Huberta na werandzie zaskoczył go równie mocno, jak niedawny telefon byłej żony. Przyjaciel siedział otoczony gromadką dzieci, nawet Helmut i Gabryś słuchali uważnie jego opowieści. Zanim go dostrzegli, Kosmie udało się zrobić mu

ukradkiem zdjęcie; będzie miał materiał do nabijania się przez najbliższe tygodnie.

– Jesteś lepszy niż cholerna Mary Poppins! – krzyknął na powitanie, podchodząc do grupki dzieciaków wpatrzonych w nowego opiekuna. – Upsss, chyba powinienem uważać na język.

– No raczej, jesteś w towarzystwie pięknych dam i przystojnych kawalerów! – przywołał go do porządku Hub, puszczając oko do maluchów. – Okej, dajcie nam trochę luzu, wujek wróci do was później.

– Stało się coś? – zapytał Kosma, kiedy odeszli na bok. Przysiedli w kuchni, Michalina przygotowywała listę produktów na obiad. Na pierwszy rzut oka widać było, że konieczna będzie wizyta w sklepie. Przez ostatnie kilka dni nadwyreżyli zapasy, spiżarnia świeciła pustkami.

– Nie, nic się nie stało. Żonka naspraszała koleżanek i przez trzy dni będą odprawiać jakieś babskie czary. Uznałem, że nic tam po mnie.

– I dobrze, Michalinie przyda się pomoc przy dzieciach – zażartował Kosma. – Będziecie się zmieniać.

– Niekoniecznie tak planowałem ten pobyt! – Hubert lekko się zaniepokoił. – Nie mam doświadczenia i w ogóle.

– Czyżby? – Kosma wyjął telefon i wyświetlił zdjęcie zrobione przed kilkoma minutami. – Mam podstawy twierdzić, że jest inaczej.

Przez chwilę wpatrywali się w fotografię, na której Hubert otoczony wianuszkami dzieci snuł jakąś opowieść.

– Jesteś złym człowiekiem – powiedział Jakubowicz. – Tego się nie robi przyjacielom.

– Dobrze, już dobrze! Wykorzystamy twoją wizytę do zaplanowania działań na najbliższe tygodnie. Może warto skorzystać z innego przewoźnika? Pokazywałeś ciekawą ofertę,

możemy sprawdzić, o co kaman.

– Wcześniej ja wykorzystam któregoś z was, potrzebuję pomocy w zakupach. – Michalina stała już w progu z naręczem siatek. – Który ma ochotę się przejechać do miasta?

– Ja pojedę. – Jakubowicz podniósł się szybko. – Wolę to niż kolejną sesję na werandzie.

Wysiadła z tramwaju przy placu Unii Lubelskiej. Minęła sporą restaurację, która odpychała dosłownie wszystkim; wystrojem wnętrza, a raczej jego konsekwentnym brakiem, nijakim wyglądem wejścia, widokiem należących do niej stolików, byle jak rozstawionych na zaśmieconym deptaku. Stoły w nieestetyczne plamy i niezaszczycone nawet sztucznym kwiatkiem nie zachęcały do odpoczynku. Robiła się głodna, ale nawet gdyby zaserwowano jej tu świeże owoce morza, podziękowałyby.

W małym sklepiku obok zaopatrzyła się w kilka herbacianych mieszanek, zastanawiając się przez chwilę, kiedy przyjdzie jej zrezygnować i z tego luksusu. Kilka kroków dalej w mikroskopijnej lodziarni uraczyła się sorbetem truskawkowym i postanowiła sprawdzić swoją dzisiejszą wytrzymałość, pokonując pieszo odcinek do Koszykowej. Wybór dobrych restauracji na tej ulicy był dodatkowym bodźcem do wysiłku. Temperatura nie rozkładała na łopatki, więc dziewczyna upchnęła pachnące zakupy w plecaku, po czym zajęła się lodem i rozmyślaniami. Przerwał je dźwięk telefonu. Przekonana, że to przyjaciółka zdecydowała się dać wreszcie jakiś znak życia, pośpiesznie dobrała się do aparatu wsuniętego w przegródkę zamkniętą na zamek błyskawiczny. Na wyświetlaczu widniał numer profesora Stawskiego.

– Cześć, tato. – Pilnowała, żeby jej głos brzmiał dobrze.

– No i jak tam dzisiaj, córeczko?

Wyczuła drobną nutkę niepokoju w pytaniu ojca. W sumie, czy powinna mu się dziwić?

– Jest dobrze, naprawdę! Fizycznie bardzo dobrze. – Przez moment zastanawiała się, czy nie napomknąć ojcu o decyzji swojego partnera biznesowego, czy może poczekać, aż Olek zmieni zdanie. – Ale w pracy mam dodatkowy kłopot. – Ciężar ostatnich kilku dni jednak zrobił swoje.

Ojciec milczał chwilę po tym, jak zrelacjonowała mu rozmowę ze współpracownikiem.

– Posłuchaj, córeczko, gdyby sytuacja wyglądała inaczej, poprosiłbym cię, żebyś przyjechała tu na trochę, ale nie chcę cię ciągnąć, więc dzwonię.

– Co tam? Mów. – Szczerze powiedziawszy, nie wydawało jej się, że cokolwiek może ją teraz zająć bardziej niż jej własne sprawy, ale ojcu nie mogła odmówić rozmowy. Jednak stwierdzenie, że zamienia się w słuch, byłoby w tym momencie mocno na wyrost.

– Rozmawiałem wczoraj bardzo długo z wujkiem Antkiem. I on zwrócił mi uwagę na jedną rzecz, której dotychczas w ogóle nie braliśmy pod uwagę, a uważa, że powinniśmy. Ja zresztą podzielam jego zdanie.

– Jest coś, o czym nie wiem? – Serce zabiło jej w niespokojnym rytmie. – O komplikacjach? Skutkach ubocznych? Jeszcze?! – Odetchnęła głębiej i szybko opanowała drżenie głosu. Wyznaczyła sobie w głowie cel: nie dać się wytrącić z równowagi, jak gdyby była na jakimś poligonie i ćwiczyła odruchy obronne na wypadek nieprzewidzianego ataku przykrych niespodzianek.

– Uważa, że powinnaś leczyć się za granicą.

– Nie rozumiem.

– Prawie w całej Unii chorzy na SM objęci są dużo lepszą

opieką niż w Polsce. Najlepszy program z zapewnioną opieką socjalną mają Niemcy. Izuniu?

Słyszała, jak nabiera powietrza w płuca.

– Tam nie ma żadnych ograniczeń w dostępie do leków. I to do wszystkich, które do tej pory zostały zatwierdzone.

– Tato, ale co to dla mnie za interes?! Jadąc tam, do szpitala czy do jakiegokolwiek innej medycznej placówki, płacę jak za zboże! Musiałabym zarabiać w euro, żeby w ogóle zacząć myśleć o takiej ewentualności.

– Ja nie mówię, Izuniu, że jechałabyś tam na jakiś czas.

Błysk nagłego skojarzenia pojawił się w jej głowie jasno i wyraźnie.

– Do momentu, kiedy dojdę do siebie? – Czuła, że ojcu chodzi o coś zupełnie innego.

– Wujek Antek twierdzi, że twój młody wiek jest biletem powrotnym do pełnej sprawności ruchowej. Tam mogą ci go dać. W Niemczech jest najbardziej rozwinięta medycyna spersonalizowana!

– Ale jak ja mam się w tym wszystkim odnaleźć, tato?! – Stała na środku chodnika, wpatrując się w jego część niewidzącym wzrokiem.

– Wyjedziemy razem. – Głos profesora Stawskiego był spokojny i zdecydowany.

– I będziemy się tak kręcić po Europie?

– Na stałe, Izuniu. Przeprowadzimy się razem na stałe do Niemiec.

– Tato! – Gorący prąd omiół jej ciało z góry na dół. – Chyba nie wiesz, co mówisz. Mam tu przyjaciół, ty masz pracę, tu jest ciocia Zosia, tu jest mama!

– Iza. – W słuchawce na kilka sekund zapadła cisza. – To jest do zrobienia. Za rok odchodzę na emeryturę, sprzedamy

mieszkanie w Krakowie, a mama na pewno nie chciałaby, żebyś chwiała się nad jej grobem, albo... nie daj Bóg... nie mogła na niego przyjść o własnych siłach! Będę w Warszawie na początku przyszłego tygodnia; porozmawiamy o tym.

– Nie wiem, czy jest o czym... – odpowiedziała cicho.

– Przemyśl to, proszę, na spokojnie. To jest do zrobienia – powtórzył jak mantrę profesor Stawski. – Obiecasz mi, że się nad tym zastanowisz?

– To mogę ci obiecać. – Chciała jeszcze dodać, że tylko to, ale jej szósty zmysł nakazał jej milczeć.

– Będziesz jutro w pracy?

– Tak. I jutro, i pojutrze. Dziś nawet tańczyłam całe pół godziny, bez przerwy! Wieczorami jestem tylko bardziej zmęczona, więc nie biorę już żadnych popołudniowych zajęć.

– Oszczędzaj się.

Czuła spokój, słysząc ciepły głos ojca.

– Wiesz, że bezruch to najgorsze, co mogę teraz zrobić.

– I dbaj o siebie. Zobaczymy się za chwilę.

– Tato?

– Tak?

– Dzięki za telefon... Poprosisz ciotkę o kokosanki?

– Powiem jej o ciastkach, ale...

– Przemyślę to – zapewniła go już spokojnym tonem.

– Kocham cię, Izuniu. Jedną cię mam, pamiętaj.

– Takich rzeczy się nie zapomina, tato.

Co jeszcze? Co jeszcze życie ma dla niej w zanadrzu?!

Trochę błądzili po wiejskich drogach, zanim znaleźli właściwą, prowadzącą do miasteczka. Michalina wcześniej nie zwracała uwagi na trasę, którą jej ojciec pokonywał na pamięć. Hubert tym bardziej nie znał żadnego z lokalnych skrótów.

– Tośmy się dobrali – zażartował, kiedy po raz kolejny skręcili za wcześnie. – Wiódł ślepy kulawego...

– Chyba poznaję tę drogę – odezwała się Michalina po kilkuset metrach; z lewej strony zauważyła charakterystyczną kapliczkę.

– Jesteśmy już blisko.

– Jak ci tu mija czas? – Z pozoru niezobowiązujące pytanie Huberta miało głębszy sens. Nie przyjechał przecież bez powodu, a wytłumaczenie wizyty, jakie zaserwował im w kuchni, było tylko zgrabną wymówką. Chciał na własne oczy sprawdzić, czy u Kosmy wszystko jest na swoim miejscu.

– Pilnuję dzieci, pomagam w domu, patrzę, co się dzieje – odpowiedziała, odczytując jego intencje. – A ty masz jakieś obawy?

– Nie wiem, zaniepokoiła mnie historia z tą całą Izą.

– Jest dorosły, chyba wie, co robi. – Wcale nie była tego pewna, a i spojrzenie Huberta nie rozwiało jej wątpliwości. – Zresztą to chyba nic wielkiego.

– Co masz na myśli?

– Była tu ze swoim ojcem, wygląda na pochłoniętą swoimi sprawami. W gruncie rzeczy to świetna dziewczyna.

– Mówisz jak twój stary. – Hub starał się, by nie powiedzieć tego z przekąsem.

– No wiesz, niedaleko pada jabłko... i tak dalej.

– Czyli twoim zdaniem wszystko jest pod kontrolą? – Zaparkował auto na placu przed sklepem i odpiął pas. Michalina jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Tego nie powiedziałam.

– A może myślisz, że wchodzę z butami w jego życie? Że naruszam prywatność? – Poruszył się nerwowo w fotelu. – Powinienem zostawić go w spokoju?

– On nie ma zbyt wielu bliskich osób. I nawet jeśli tego nie okazuje, docenia to, że tutaj jesteś. – Michalina mówiła to z pełnym przekonaniem. – Ale fortel z wizytą koleżanek cioci był słaby!

– Wiedziałem...

– Skoro ja go przejrzałam, to ojciec też. Teraz pewnie się zastanawia, co knujemy – ciągnęła dalej. – Ale wiesz co, przynajmniej ma o czym myśleć.

– Chodźmy po te zakupy, bo gotów jechać na poszukiwania. – Hubert uśmiechnął się, po czym ruszyli w stronę sklepu. Z tyłu głowy kołatała mu się jednak myśl, że przy najbliższej okazji powinien porozmawiać również z Izą. Tak dla świętego spokoju.

To z pewnością nie zaszkodzi, powtórzył w myślach i nieco spokojniejszy pchnął wózek na sprawunki.

Ten fragment łąki od wschodniej strony – kupmy go. Moglibyśmy poszerzyć sad i wprowadzić do niego kilka nowych odmian. Przyda nam się takie targowisko próżności na stare lata, kiedy będą nas odwiedzać wszystkie nasze dzieci. Co Ty na to? Przyszłość upomni się o swoje! Bądźmy gotowi...

[5] Krzysztof Zalewski, *Miłość, miłość* (sł. Krzysztof Zalewski).

[6] Paul Young, *Wherever I Lay My Hat* (sł. Marvin Gaye, Barrett Strong, Norman Whitfield).

kołyszysz biodrami
w cichej prośbie
o bliskość
słyszę
każdą z nut
twojego zaufania
posłuchaj...
to preludium
koncert
wciąż jeszcze przed nami

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mijała właśnie dwudziesta trzecia, a Warszawa wciąż huczała jak wściekły rój os. Nawet przez cicho sączącą się z wieży muzykę Iza słyszała niecierpliwe klaksony aut, nawoływania nocnych marków i powodujące zawsze jakiś rodzaj niepokoju dźwięki karetek na sygnale. Chyba będzie musiała wstać i dokładnie zasunąć rolety w oknach, bo przy nocnym blasku stolicy nie zmruży dziś oka. Zwykle jej to nie przeszkadzało. I tu, i w Krakowie przez lata zdążyła się przyzwyczaić do zasypiania przy zapalanej lampie miasta. Ale kiedy odkryła ciszę mroku mazurskiej głuszy i relaks, jaki ze sobą niosła, biegła tam myślami, ilekroć gasiła wieczorem wszystkie źródła światła, mając nieodparte wrażenie, że znów o jakimś zapomniała. Nie walcząc z wewnętrznym impulsem, wzięła do ręki telefon i wyszukała wśród kontaktów numer Kosmy.

„Śpisz?”

„Prawie”. Odpowiedź przyszła po krótkiej chwili.

„Co u Ciebie?”

„Noc ciemna, dużo gwiazd. A co u Ciebie?”

„Zupełnie odwrotnie: żadnej! A dziewczynki? Brakuje mi

ich...”

„Im najwidoczniej Ciebie, bo stale pytają o panią Izę! Dlaczego nie śpisz?”

„W głowie mi huczy. Od niezłatwionych spraw”.

„W czym rzecz?”

Zawahala się.

„Iza?” Piknął ponagląjący esemes.

„Chciałam Ci tylko powiedzieć, że Twój dom ma dobrą energię i że będę tęsknić za dziewczynkami” – odpisała w końcu asekuracyjnie po długiej chwili milczenia.

„A my za Tobą. Wszyscy! Śpij dobrze”.

Ostatnią wiadomością Kosma zasygnalizował koniec nocnej konwersacji. I chyba dobrze, bo czuła, że zaczyna jej się włączać opcja dopraszania się dodatkowej uwagi. Wołała, by poświęcił jej chwilę, ale żeby wypłynęło to od niego, a nie było efektem jakiegokolwiek nacisku. Ona nie musiała się zmuszać do szukania kontaktu z nim. I pragnęła – tak, tego właśnie teraz chciała – żeby on myślał o niej dokładnie w ten sam sposób.

Wstała i do wysokiej, wąskiej szklanki naląła sobie wody mineralnej. Wrzuciła do niej plasterki limonki i z gotowym napojem usiadła w fotelu. Sięgnęła dłonią do niskiej komody, skąd wzięła nieduże drewniane pudełko. Jeszcze będąc w liceum, ozdobiła je kamykami zwożonymi z podróży ze wszystkich plaż, które udało im się z ojcem odwiedzić. Wciąż nie miała żadnego albumu na zdjęcia. Upychała je tutaj; dokładne ich posegregowanie i podpisanie odkładała na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Przyszłość... Jaka będzie? Taka jak na tych fotografiach? Ona w słuchawkach pilota w kokpicie, ona w legginsach i podkoszulce, uśmiechnięta od ucha do ucha wśród tak samo radosnych dzieciaków, albo na greckiej plaży na Prasonisi w towarzystwie ojca... Mnóstwo zdjęć Granady, Malagi, plaż

Costa Brava, kilka ujęć z pokładu samolotu szkoleniowego, zrobionych jeszcze podczas kursu, sporo – z Zużą – w kafejkach i różnych ciekawych miejscach kraju. Doszukała się nawet jednego zrobionego w Żółtej Cizemce; przedstawiało Iżę w zgrabnej, kusej spódnicy, białym fartuszku i z kawiarnianą tacą w rękach, pełną filiżanek... Na wszystkich stała pewnie na nogach albo kryła się za obiektywem, przemierzając o własnych siłach uliczki i plaże europejskich miast. Nie była gotowa na zmianę miejsca stojącego na siedzące. A ojciec zaproponował następną, która ma wywrócić jej świat do góry nogami! Wcale nie była przekonana, że chce chodzić głową w dół! Z tego zdania tylko słowo „chodzić” miało teraz znaczenie.

Rzuciła pełnym pudełkiem przed siebie. Ciężki przedmiot natrafił na ścianę, jak jeszcze całkiem niedawno sok marchewkowy. Skrzyneczka pękła na dwie części, a kamienie z hukiem pospadały na podłogę. Hałas, jaki spowodowały, turlając się we wszystkie strony, przytłumił na chwilę niepokój wieczoru. Teraz Iza na pewno długo nie zaśnie. Tam, w tej głuszy, gdzie diabeł mówi dobranoc, a wietnamskie świnki chadzają pod prysznic, wszystko wydawało się prostsze. A może było proste tak czy siak, tylko tam miała więcej wiary w jutro?

Uwzięli się na niego czy co? Późnym wieczorem, kiedy leżał już w sypialni, jeszcze raz wszystko analizował, tym razem na spokojnie. Czy rzeczywiście jego zachowanie zaczęło tak mocno odbiegać od normy, że pojawiła się tu Michalina, dojechał z odsieczą Hubert, a i Kaśka dorzuciła swoje trzy grosze telefonicznie? Naprawdę nie można już podać ręki komuś, o kim myśli się tak ciepło? Powoli zaczynał czuć się jak dziecko rozstawiane przez dorosłych po kątach. Za chwilę powiedzą mu wprost, kiedy i co ma robić, a jakich dzieci nie zapraszać do domu.

Od tych wszystkich dowodów zainteresowania wolałby jedną,

krótką nawet rozmowę z Matyldą. Odruchowo sprawdził telefon, upewniając się, że jest włączony i naładowany. *Merde*, zaklął na wzór Vincenta, bo wyświetlacz nie wskazywał nic interesującego.

Zamiast przewracać się z boku na bok po pustym łóżku poukładał w garderobie rzeczy, których Matylda nie zabrała do Włoch. Robił to od czasu do czasu, wdychając zapach jej perfum, co było dobrym uzupełnieniem listów. Te zresztą też trzymał tu w sporym zapasie, na wypadek gdyby poczuł potrzebę lektury. Po kolacji Hub próbował nieśmiało zagadywać, pytając, jak udała się wizyta Stawskich, ale odpowiedzi udzielały mu głównie dziewczynki. Kosma nie dał się sprowokować, nie miał też zamiaru dzielić się zwierzeniami, bo i za bardzo nie było czym. Po prostu cieszył się, że Iza znalazła tu chwilę spokoju. Przed ich wyjazdem zamienił kilka słów z jej ojcem, deklarując, że mazurska stodoła będzie ich gościć, kiedy tylko znajdą czas na wypad nad jeziora. Stawski podziękował, ale widać było po nim, że myślami jest kompletnie gdzie indziej.

– Pan mnie zrozumie, pan sam przeszedł ciężką chorobę – szepnął, pochylając się w stronę Kosmy. – Ja boję się tak bardzo, że aż zapiera mi dech. Spokojnie zasnąłem dopiero tutaj, u pana.

Kosma nie wiedział, czy go pocieszać, czy przekonywać, że przecież taka diagnoza nie oznacza od razu czarnego scenariusza. Stawski jakby czytał mu w myślach.

– Pan myśli, że przesadzam, że stary panikuje. – Przystanął na wąskiej ścieżce, którą wracali od sąsiada. – Ale prawda jest taka, że ta przeklęta choroba zabrała mi już żonę.

– Nie wiedziałem... – Kosma wskazał mu kilka pieńków, na których mogli przysiąść. – To jednak wciąż nie musi nic znaczyć, panie Adamie. Trzeba być dobrej myśli!

– Trzeba, trzeba – powtórzył Stawski, prostując nogi. – Ale w tym chorym kraju ciężko wyleczyć nawet zapalenie płuc. Sam

pan po pomoc jechał za granicę!

– Izie też możemy czegoś poszukać, mam rodzinę we Francji, znajomych w Stanach. – Kosma zapalał się coraz bardziej.

– Pan ma przede wszystkim swoje życie! – przerwał mu profesor. – Nie możemy pana obciążać naszymi sprawami, choć doceniam zaangażowanie i całą tę sympatię, jaką pan jej okazuje.

No, tak stawiając sprawę, to nigdzie nie dojdziemy, pomyślał Kosma. Doskonale wiem, że mam swoje życie, ale jest ono na tyle poukładane, że mogę myśleć i o innych. A nawet gdyby nie było, czy to powód, by zamykać się na ludzi?

– Proszę jednak pamiętać, że gdyby potrzebne było jakieś wsparcie, cokolwiek, jestem do dyspozycji. – Kosma podał mu rękę, którą Stawski natychmiast przyjął i uściśnił. – Na wiosnę drugi staw zarybię, będzie i pan miał tu co robić.

Ojciec Izy uśmiechnął się słabo i pokiwał głową.

– Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca na starość – powiedział, po czym ruszyli w stronę domu. Zanim doszli do furtki, minęło jeszcze kilka minut, podczas których nie wracali już do tematu. Dopiero przed domem Kosma zatrzymał się i teraz to on pochylił się w stronę rozmówcy.

– Mam dług u pana córki – powiedział, patrząc mu w oczy. – Gdyby nie Iza, najprawdopodobniej nie poznałbym swojej żony. Jest matką chrzestną mojego małżeństwa, że użyję takiego górnolotnego określenia.

– Nie wiedziałem. – Stawski wyglądał na zaskoczonego.

– To dobra dziewczyna, nie zasłużyła na to, co ją spotkało. – Kosma wciąż spoglądał prosto w twarz swojego rozmówcy. – Dlatego chcę, żeby pan mnie dobrze zrozumiał. Gdyby nie ona, pewnie nie byłibyśmy dziś w tym miejscu. Ale skoro życie splata się z małych epizodów, to każdy z nich ma znaczenie. Dlatego Iza jest dla mnie ważna.

– Teraz rozumiem.

– I dlatego zawsze możecie na mnie liczyć – skończył Makarski i otworzył furtkę. Stawski pokiwał jeszcze głową i nie odezwał się już słowem. Zaraz później wyjechali.

Jego nocne porządkowanie garderoby przerwało piknięcie telefonu. Spojrzał na zegarek, zaskoczony późną porą esemesa. To telepatia, pomyślał, odczytując nadawcę. Iza chyba również nie mogła zasnąć.

A wiesz, że do Żółtej Ciżemki trafiłam przez zupełny przypadek? I że wcale nie miało mnie być w tej okolicy? Czekałam na Wiktora i gdyby nie deszcz, pewnie poszłabym dalej. Zastanawiałeś się nad... Po co pytam, to jasne, że się zastanawiałeś. Ty przecież też nie musiałeś wejść tam tego dnia. Jak dobrze, że byłeś w pobliżu. Wciąż mam jeszcze egzemplarz „Werandy”, który niosłam wtedy pod pachą. Pamiętam, że suszyłam go przy kawiarnianym stoliku. Ta dziewczyna, która tam pracowała, musiała mieć niezły ubaw. Chociaż nie, przecież pomagała nam później z listami. Sprytnie to wymyśliłeś, całkiem miła skrzynka kontaktowa!

Wiesz, pomyślałam, że kiedy wrócę, powinniśmy odwiedzić to miejsce i wspólnie jej podziękować. Myślisz, że jeszcze tam pracuje? Gdyby nie deszcz, gdyby nie list i gdyby nie ona...

Wyszarpiane poprzedniego dnia minuty musiały im wystarczyć, żeby chociaż pokrótce opowiedzieć sobie, co działo się u nich w ostatnim czasie. Nowa praca programisty w jednym z warszawskich banków wciąż trzymała Zuzę w swoich szponach i – jak dla Izy – zdecydowanie za rzadko rozluźniała uścisk. Planowane od dawna wyjście na dobrą kawę i do kina

znów musiało poczekać. Zastanawiając się, jak spędzić to wymuszone samotne popołudnie, Iza nie zauważyła, że wsiadła do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. Zorientowała się w pomyłce, kiedy na ścianach metra zobaczyła napis: „Dworzec Gdański”. Przespała kilka stacji z otwartymi oczami!

Wysiadła natychmiast z wagonu, rozdrażniona swoim gapiostwem. Powinna bardziej uważać i przede wszystkim panować nad emocjami. Czy gdzieś w końcu było wyryte złotymi zgłoskami, że cały świat ma się kręcić wokół niej?!

Całkiem sprawnie i bez większego wysiłku dotarła spacerem do Arkadii, sprawdzwszy po drodze na ekranie telefonu godziny co ciekawszych seansów. Jeśli już zdarzyła jej się ta niezaplanowana wycieczka, zwyczajnie ją wykorzysta.

Do filmu, który zwrócił jej uwagę, miała jeszcze całą godzinę. W wedlowskiej kawiarence znalazła sobie wygodne miejsce na jednym z foteli i czekała na swoje latte, rozglądając się wokół. W pewnym momencie w lokalu pojawiła się głośno rozmawiająca grupka, w której środku Iza dostrzegła... Zuzę. Dziewczyna trzymała za rękę wysokiego, zupełnie łysego mężczyznę, była roześmiana, całkowicie zaabsorbowana towarzystwem. Absolutnie nie wyglądało na to, że przyszła tu na spotkanie służbowe, a tym bardziej – że spieszy jej się jeszcze do pracy. Kiedy przy kontuarze nowo przybyli jedno po drugim składali spore zamówienia, Iza wstała od stolika i nie czekając na swoją kawę, wyszła z lokalu.

Po śniadaniu Hubert zaczął przebąkiwać o wyjeździe. Porządkowali jedną z zagród, w której siatka ochronna po spotkaniu z piłką wymagała pilnej naprawy. Dziewczynki wiedziały, że nie powinny bawić się w tym rejonie, ale reszta gromady nie opanowała jeszcze wszystkich zasad. Ogrodzenie ucierpiało i tylko patrzeć, jak ślimaki skorzystają z drogi na

wolność.

– Gdzie cię niesie? Przecież mówiłeś, że masz kilka dni dla siebie? – Kosma zdążył już zaplanować dla nich trochę zajęć, więc nagła zmiana burzyła jego plany. – Już ci się nudzi?

– Agata chce, żebym z mieszkania w Warszawie przywiózł kilka rzeczy. Niby nic ważnego, ale wiesz, jak jest.

– Jak? – Postanowił nie ułatwiać przyjacielowi.

– Uparła się. Nie chcę się kłócić. – Jakubowicz skończył naciągać siatkę po swojej stronie niewielkiego ogrodzenia i otrzepał ręce.

– Ja się tam wybieram dopiero za dwa tygodnie. – Kosma przypomniał sobie o zaplanowanym nagraniu. – Co prawda zapraszali mnie na opijanie kontraktu...

– Jakiego? – zainteresował się Hub.

– Gra sprzedała się do Stanów czy coś, nie znam szczegółów.

– Przecież ty nie pijesz? – zwrócił mu uwagę przyjaciel.

– Aha, tylko tyle z tego przyswoiłeś? A gdzie gratulacje?

– Gratuluję, przecież wiesz! – Hubert schylił się, by poprawić platformę ze ślimakami, którą przesunęli na czas robót. – Ale hasło „opijanie” zapala mi czerwoną lampkę.

– Niepotrzebnie; przecież mówię, że się nie wybieram.

– Prawidłowo! Co z tą grą? – Zmierzali już w kierunku stodoły. Słońce prażyło coraz mocniej, kto mógł, chował się w cieniu.

– Będzie serial na jej podstawie, dasz wiarę? – Kosma wyglądał na zadowolonego.

– To chyba dobrze?

– Będzie dobrze, jak odczuje to moje konto. Kiedy chcesz jechać? – Kosma musiał ustalić z Michaliną godzinę obiadu. Od przyjazdu córki życie na Mazurach usystematyzowało się przynajmniej na tyle, że posiłki jadali o stałych porach.

– Chcę być wieczorem w stolicy. Nie ma pośpiechu.

Kosma zostawił go na podwórku, gdzie ciężko dyszący Gabryś szukał właśnie schronienia przed upałem. Michalina kończyła wydawanie podwieczorku, bliźniaczki siedziały grzecznie przy stole.

– Jakie plany odnośnie do obiadu? – zapytał.

Michalina tylko wzruszyła ramionami, najwyraźniej wciąż nie miała pomysłu.

– Okej, w takim razie ja dziś gotuję. I będę potrzebował pomocy.

Zamiast spodziewanego lasu rąk zobaczył tylko Helmuta, łypiącego czujnie spod stołu. Jasne, pomyślał Kosma, już to przecież znam! My, psy, musimy... i tak dalej.

Tymczasem Hubert nie krył zadowolenia, że poszło mu tak łatwo. Oczywiście, zahaczy o swoje mieszkanie w Warszawie, ale prawdziwym celem jego wyjazdu był inny stołeczny adres. Doskonale pamiętał, co działo się z jego przyjacielem w niedalekiej przeszłości. Kolejne rozczarowanie i idący w ślad za nim ciężki okres nie wchodziły w grę. Musiał poznać motywacje tej dziewczyny i przekonać się, że Kosma nie łąduje się w kłopoty.

Można to było tłumaczyć na różne sposoby. Chciał wierzyć, że robi to z potrzeby serca i w imię przyjacielskiej solidarności. Z tyłu głowy siedziała jednak myśl, że są teraz dodatkowo partnerami w biznesie. Decyzje jednego mają cholernie duży wpływ na życie drugiego.

Przy obiedzie przyrządzonym przez gospodarza nic nie dał po sobie poznać. Udawał, że nie widzi pytających spojrzeń Michaliny, a na zaczepki dziewczynek odpowiadał z opóźnieniem.

– Nie smakuje ci? – spytał nawet w pewnym momencie Kosma, ale przyjaciel pokręcił głową. Dobrze wysmażone steki

z kolorowym pieprzem były wyborne, a sos holenderski, w którym kapały się grubo ciosane frytki, rozpływał się w ustach.

– Chyba przegrzałem się na tym słońcu – odpowiedział wymijająco. – Ale mięso jest zaje..., to znaczy przepyszne!

Kiedy skończyli posiłek, Hub pomógł w porządkach, ale od deseru wymówił się chęcią drzemki przed podróżą. Michalina nie przestawała mu się badawczo przyglądać; na jej pytanie, co kombinuje, mrugnął porozumiewawczo okiem.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział. – Dam ci znać.

Sytuacja z Zuzą rozbiła ją do cna. Może kiedyś Iza przeszłaby nad tym do porządku dziennego, usunęła jej numer z komórki i zapomniała o przyjaźni, o której nigdy by nie pomyślała, że jednak należy przypieczętować ją beczką wspólnie zjedzonej soli. Teraz jednak wszystko odbierała mocniej. Wyszła więc na ulicę i oparła się o nagrzaną ścianę budynku; łzy ciekły jej po policzkach. Może powinna rzucić to w diabły, naprawdę wyjechać i wyleczyć się, a później wrócić i pokazać im wszystkim, na co ją stać? Olek, Zuza... Skoczyłaby za nimi w ogień, a tymczasem oni... Przy pierwszym zawirowaniu okazało się, że jest sama jak palec. Jeszcze Olka mogłaby zrozumieć, ale zachowanie Zuzy nie mieściło jej się w głowie.

Nie chciało jej się wzywać Ubera; podeszła do taksówki. Łapiąc za klamkę, usłyszała sygnał przychodzącego połączenia. Numer nic jej nie powiedział. Po krótkim wahaniu odebrała.

– Halo?

– Dzień dobry, z tej strony Hubert Jakubowicz. Czy dodzwoniłem się do pani Stawskiej?

Znał jej nazwisko, ona jego nie kojarzyła wcale. Może to ktoś z kliniki, w sprawie programu lekowego?

– To ja, o co chodzi?

– Jestem znajomym Kosmy. Chciałbym z panią porozmawiać.

– Hub odniósł wrażenie, że jego telefon ją zdenerwował. A może trafił na nieodpowiedni moment?

– Stało się coś?

– Nie, wszystko jest w porządku, przynajmniej tak było wczoraj, kiedy od niego wyjeżdżałem. – Mężczyzna brzmiał profesjonalnie i rzeczowo. – Poświęci mi pani chwilę?

– Tak, oczywiście. Słucham pana. – Była zaciekawiona, chociaż właściwie limit jej zdrowego zainteresowania wyczerpał się chwilę temu.

– Wjeżdżam właśnie do Warszawy. Może moglibyśmy spotkać się gdzieś na mieście?

W sumie... nic nie stało na przeszkodzie, żeby zmienić trasę.

– Spotkajmy się w Żółtych Tarasach. Będę tam w ciągu pół godziny. Tam będzie panu najłatwiej znaleźć miejsce parkingowe. Dobrze?

– Powinienem dobić się do pani w podobnym czasie, dziękuję.

– Będę czekać na pana w Costa Coffee, na pierwszym poziomie, naprzeciwko ruchomych schodów. Żółty podkoszulek, białe džinsy i koński ogon na głowie.

– Znajdę panią. Do zobaczenia.

Dotknęła palcem czerwonej słuchawki na wyświetlaczu. Pod skórą czuła dziwne mrowienie niepokoju. Jeszcze jej nie przeszło; czy szykowało się coś jeszcze?

Zdażyła dotrzeć na miejsce i znaleźć wolny stolik, gdy nieznajomy podszedł do niej i zdjął okulary przeciwsłoneczne, które przysłaniały mu sporą część twarzy.

– Pani Iza? – Przedstawiwszy się, patrzył na nią z ciekawością.

– To ja – odpowiedziała, podając mu rękę.

– Możemy sobie mówić na „ty”? – zapytał, a kiedy skinęła głową, dorzucił: – Hub albo Hubert, jak wolisz.

Kawiarniany fotel był dziś nieszczególnie wygodny. Poprawiła się na nim nerwowo.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała odpoczynku. – Hubert spojrzał na dziewczynę przenikliwie.

– Nieszczególnie. Po prostu spotkało mnie dziś coś niemiłego. – Podziękowała mu za troskę, choć tak naprawdę jego uwaga była lekko niegrzeczna. Widać taki miał styl, nie jej sprawa. – O czym chciałeś porozmawiać? – zapytała nowego znajomego, kiedy ten wrócił do stolika z filiżanką małej kawy. – Kosma ci coś dla mnie przekazał?

– Nie wie, że się z tobą kontaktuję. Będę wdzięczny, jeśli tak zostanie.

– Słucham... – odpowiedziała mu sucho, czując, jak nieprzyjemne mrowienie przybiera na sile.

– Przede wszystkim chcę powiedzieć, że bardzo zależy mi na tym, by Kosma nie wpakował się w żadne tarapaty. – Hubert starał się mówić spokojnie. Nie chciał jej wystraszyć ani zniechęcić. Chyba się nie udało.

– Nie rozumiem. – Iza spojrzała na niego jak na wariata. – Jakie tarapaty?

– Może źle to wyraziłem. Chociaż sam nie wiem. Będą z tego kłopoty?

– Z czego? Możesz jaśniej?

– Powiedz, co zamierzasz. – Hubert nie ustępował. – Czego od niego chcesz?

– Wychodzę! – Iza miała dosyć tej rozmowy, choć ona dopiero się rozpoczęła. – Nie znam cię i nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bzdur.

– Poczekaj, przepraszam! – Jakubowicz zorientował się, że

gorszego początku nie mógł im zafundować. – Ja tylko... Widzisz, on ma rodzinę, a ty pojawiaasz się i po prostu... To się nie skończy dobrze.

– A więc o to chodzi... – Stawska nagle zrozumiała, o czym on mówił, i zaśmiała się cicho. – Jesteś jego aniołem stróżem?

– Jestem jego przyjacielem, może jedynym, jakiego ma.

– Doceniam to i muszę cię uspokoić: nie mam wobec niego żadnych planów matrymonialnych, bo domyślam się, że głównie to cię niepokoi?

– Niepokoi mnie głównie to – powtórzył za nią – że pojawiaasz się znikąd, a on od tygodnia czy dwóch nie mówi o nikim innym.

– Przesadzasz. – Iza podniosła lekko głos. – I z całym szacunkiem... to chyba nie powinna być twoja sprawa.

– To nie służy ani jemu, ani jego rodzinie. – Hubert wiedział, że nie może dać się wytrącić z równowagi.

– Dlaczego traktujesz go jak dziecko? – zapytała ostro.

– Bo kiedy trzy lata temu zginęła jego żona, nie było cię przy nim. Byliśmy ja i jego córki! I tylko my wiemy, ile zajęło nam postawienie go do pionu. – Urwał, patrząc na nią gniewnym wzrokiem. Nie odezwała się. – Więc teraz boję się, że znów stanie się coś, co złamie go tak mocno, że nie podniesie się już z kolan. Bo ja na pewno bym się nie podniósł po połowie tego, czego doświadczył w ostatnich latach. – Wstał, ale zamiast zwykłego pożegnania usłyszała od niego dużo więcej. – Dlatego pytanie, czy będą z tego kłopoty, uważam za wystarczająco zasadne. I proszę, byś odpowiedziała sobie na nie w głębi serca. Nie jestem twoim wrogiem, jestem jego przyjacielem. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Była całkowicie sparaliżowana tym, co przed chwilą usłyszała. To nie był jej najlepszy dzień, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Zmieniło się tylko to, że zachowanie przyjaciółki,

które uznała za katastrofę, teraz jawiło się jako błahy incydent. Prawdziwym młotkiem w głowę dostała dopiero teraz! I przestraszyła się tego, co mogło się jeszcze wydarzyć. Nie mieściło jej się w głowie, że jakiś obcy facet, którego pierwszy raz widzi na oczy, mówi jej, co powinna zrobić ze swoim życiem, a konkretnie – czego robić nie powinna! Czuła, jak fala niezrozumiałego wstydu i poniżenia zalewa ją całą. Ogłupiała tą niespodziewaną rozmową złość zamieniała się co chwila miejscami z wściekłością, a Iza ani jednej, ani drugiej nie była w stanie utrzymać w cuglach. Czy jemu się zdaje, że ona żyje tylko po to, żeby z wszystkich dookoła wysysać życiodajne soki? Że sama nie jest w stanie nic dać od siebie, że wchodzi w czyjeś życie nieproszona, bo tak lubi? Że w ogóle nie myśli o tym, co przeszli Kosma i jego rodzina?! Jak mógł...

Nogi w jednej sekundzie zrobiły jej się jak z waty. Gdyby teraz musiała wstać, nie zrobiłaby nawet kilku kroków. Spuściła głowę i splótła dłonie na spoconym karku. Nie zastąpi Kosmie żony, a dzieciom matki... Ani razu nawet nie przyszło jej to do głowy! To był... to jest związek, którego do dzisiaj zazdrości im obojgu. Taki, który jej samej nigdy się nie zdarzył i być może nigdy się nie zdarzy. Ale z drugiej strony... okłamywałyby samą siebie, gdyby próbowała sobie wmówić, że Kosma nic dla niej nie znaczy, a jego życie nic ją nie obchodzi. Nie mogła mu wiele dać, to prawda. Nawet nie miała pojęcia, ile by chciał wziąć! Ale nie chciała mu zabrać niczego, na co pracował przez wszystkie ostatnie lata. Niczego, czego brak w jakikolwiek sposób zachwiałyby spokojem rodziny, która była jej równie bliska jak jej własna.

A jeśli ten człowiek ma rację? I ona, Iza, jest dla Kosmy kulą u nogi, która pociągnie go na dno? Jeśli tak właśnie jest?! Nie chciała, żeby ktokolwiek przez nią cierpiał! Jak miała powiedzieć temu człowiekowi, że zależy jej na tym tak samo mocno jak na tym, żeby nigdy nie musiała skończyć na wózku?!

Zupełnie zignorowała przychodzące połączenie, choć

wyświetlił się numer Kosmy. Nie była gotowa na tę rozmowę. Nie teraz, a może nawet już nigdy.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nic nie uda mu się załatwić przez telefon. To, co chciał wyrazić, powinien mówić jej, patrząc prosto w oczy. Do ustalonego terminu wyjazdu do Warszawy pozostało jeszcze kilka dni. Mógłby spróbować dotrzeć tam wcześniej, nie był jednak pewien, czy zastanie Izę w stolicy. Równie dobrze mogła przecież pojechać z ojcem do Krakowa. Ta niewiedza męczyła go i wytrącała z równowagi – również dlatego, że musiał to wszystko dusić w sobie. Hubert wyjechał tak nagle, jakby jego stado krów zaczął dziesiątkować jakiś afrykański wirus, a Michalina kiepsko sprawdzała się jako powiernik męskich rozterek.

Szarpał się sam ze sobą, próbując znaleźć jakieś wyjście i jednocześnie nie dać po sobie poznać, że w środku cały buzuje. Nie miał żadnych wątpliwości: to nie miłość przysiadła mu na ramieniu i kierowała nim, odkąd ponownie los zetknął go z Izą. Tę część sercowej aktywności miał już dawno pogrzebaną. Śmierć Matyldy, największy koszmar, z jakim musiał się zmierzyć, skutecznie pozbawiła go wiary, że może jeszcze przyjść taki dzień, w którym spojrzy na świat inaczej niż z nieufnością. Tak, to prawda – chodził, rozmawiał, uśmiechał się do ludzi, ale było w tym tyle prawdy, ile wymuszała sytuacja. Od trzech lat okłamywał siebie i wszystkich wokół, że to, co robi, ma sens. Według niego nie miało. Wiódł bezsensowne życie, a wszystko, co spotykało go od kilku lat, traktował jako karę. Miał wspaniały dom, świetną pracę, w której spełniał swoje ambicje, i dodatkowy biznes, który zapewniał mu dostatek. Mimo to trzeci rok chodził w tych samych czarnych spodniach i takich samych koszulach, jakby chciał dodatkowo pokazać, co czuje w głębi serca. A czuł przeraźliwą pustkę i rozpacz, przed którymi broniły go jedynie

Halszka i Różanka. Tylko jedna rzecz trzymała go w pionie – świadomość, że Matylda nie całkiem odeszła. Każdego dnia szukał w córkach podobieństw do niej i z każdym dniem dostrzegał coraz to nowy detal. Kolekcjonował je wszystkie tak pieczołowicie, jak listy i opowieści sprzed lat. Został archiwistą wspomnień. Żałował tylko, że jego kolekcja jest tak skandalicznie uboga.

Po prostu nie zdążyli się sobą nacieszyć. Nie mieli czasu, by wypełnić albumy setkami zdjęć, a jego pamięć taką samą liczbą przeżyć, do których teraz mógłby sięgać. Przeklinał się w duchu za brak rozważli, jakieś fatalne uśpienie intuicji, za wszystko to, co zdecydowało, że zgodził się na jej wyjazd. Nie mógł jej tego zabronić, nie zniósłby świadomości, że stanął na drodze do realizacji jej marzeń. Wspierał ją przecież tak samo mocno, jak ona jego, kiedy zakończył leczenie i tak naprawdę potrzebował opieki jak ich dwie małe córki. Kiedy więc zapytała, czy powinna zmierzyć się z tym kontraktem, a przede wszystkim czy on da sobie tu radę, odpowiedział: „Jasne, to przecież kilka miesięcy”. „Włoska robota” – śmiali się, kiedy przygotowywała się do wyjazdu.

Wiedział, że się wahała. Ale skoro dawała sobie radę sama przez całą ciążę, to czy nie powinien jej tego jakoś wynagrodzić? Czy mógłby prosić ją, żeby zrezygnowała ze swoich ambicji? Może i powinien, ale nie zakłada się przecież, że życiowa szansa w jednej chwili zmieni się w dramat wielu osób.

Przez długi czas nie dopuszczał do siebie myśli, że tak już będzie. Przez ten czas nie zmienił nic w sypialni, jej pracowni i ogrodzie. Każdy pędzel, każda suknia i para butów leżały w tym samym miejscu, w którym je zostawiła. Zdawał sobie sprawę, że kiedyś będzie musiał się z tym zmierzyć. Kiedyś tak, ale jeszcze nie teraz. Po prostu o tym nie myślał. W ciągu dnia funkcjonował tak, by nie dawać innym powodu do zmartwień, rozważań i nie budzić w nich chęci pomocy. Nie chciał jej. Nie rozumiał tego, co się stało, nie akceptował, choć nie miał już

żalu. Pragnął znów poczuć dotyk jej rąk, usłyszeć, jak woła go na dół, do kuchni, chciał w końcu badać znajomą fakturę jej skóry, raz jeszcze rozpoznać w ciemnościach pośladki, piersi i dłonie.

Kiedy zadzwonił ten człowiek, w jednym momencie stracił całe poczucie bezpieczeństwa i ogarnął go strach. Tak wielki, że jego wcześniejsze lęki związane z własną chorobą zdały mu się banalne i śmieszne. Nic go nie tknęło, żaden głos w środku głowy nie ostrzegł, nie było żadnej podpowiedzi. Czasem przecież dzwoniła z włoskich numerów, kiedy zapomniała zabrać z mieszkania telefon lub zwyczajnie rozładowała jej się bateria. Teraz też miało być tak samo.

Było cholernie daleko od „tak samo”.

– Scusa, czy to pan Makarski? – Obca wymowa w połączeniu z jego nazwiskiem wydała się Kosmie z początku zabawna.

– Sì, tak, *yes, it's me* – odpowiedział w trzech językach, bo prowadzenie dalszej konwersacji po włosku było już ryzykowne.

– Pan Kosma Makarski? – upewnił się rozmówca.

– To ja. – Wtedy coś poczuł, jakieś ukłucie w okolicach serca. Coś musiało się stać, nie miał z nią kontaktu od wczoraj.

– Mam dla pana... Zdarzył się *incidente*. Pana *moglie*... – Mężczyzna najwyraźniej szukał w głowie polskich wyrazów. Szło mu tylko trochę lepiej niż Kosmie z włoskim. Ale ten zbitkę dwóch słów: *incidente* oraz *moglie*, „wypadek” i „żona”, zrozumiał doskonale.

– Co z nią, co się stało z Matyldą?! – krzyknął do słuchawki i natychmiast się za to skarcił. Dziewczynki bawiły się w pokoju obok, musiał nad sobą panować.

– *Grande* katastrofa, *automobile* – próbował wytłumaczyć mężczyzna. – Szpital *Santa Famiglia*.

W książkach pisze się w takich momentach, że świat stanął w miejscu. Może i tak, ale to zdecydowanie za mało. On

dotatkowo czuł jeszcze, jak głowę ściska mu niewidzialna para mocarnych rąk. Dziwny smak w ustach i przyspieszone bicie serca dopełniły resztę.

– Żyje? – Tylko tyle zdołał z siebie wydobyć, głos uwiązł mu gdzieś w gardle.

– *Mi dispiace...*

Może rzeczywiście było mu przykro, takie przynajmniej sprawiał wrażenie. Kosma nie miał siły pytać o nic więcej. Mężczyzna wytłumaczył, że pracuje w pogotowiu, ma dziewczynę Polkę, która uczy go języka. To on był w zespole, który wioził Matyldę do szpitala. W komórce miała ustawiony numer Kosmy jako telefon alarmowy, dlatego zadzwonił. Czekają na tłumacza i zaraz zapewne ktoś zadzwoni do niego ponownie.

– Bardzo jestem przykry – zakończył łamaną polszczyzną rozmówca.

– *Grazie* – odpowiedział słabym głosem Kosma i rozłączył się. Dopiero teraz poczuł, jak trzęsą mu się nogi. Osunął się na ziemię i patrzył na telefon, błagając, by ktoś zadzwonił ponownie z informacją, że zaszła pomyłka.

Telefon rzeczywiście odezwał się po jakimś czasie i urzędowy, suchy ton tłumacza powtórzył to, czego tak bardzo nie chciał usłyszeć. Jego żona, Matylda Makarska, uczestniczyła w wypadku samochodowym, w którym zginęły trzy osoby. Jedną z nich była ona, dwie pozostałe ofiary śmiertelne to para przypadkowych nastolatków, którą staranowała ciężarówka chwilę po tym, jak wjeżdżając na czerwonym świetle na skrzyżowanie, wręcz rozniosła małe auto Matyldy. Kierowca nawet nie próbował hamować. Wszystko wskazuje na to, że zasnął i nie miał świadomości, co robi. „Najprawdopodobniej jest cukrzykiem” – dodał mężczyzna.

– Bardzo mi przykro. – Tym razem ta formułka zabrzmiała poprawnie, co Kosma odnotował w myślach całkiem wyraźnie.

W ogóle jego mózg zaczął nagle rejestrować wiele faktów, jak uschnięte truchło muchy w szczelinie przy drzwiach, kapiący kran w kuchni czy irytujące szczekanie jakiegoś kundla na drugim końcu wsi.

– Jest pan tam, panie Makarski? – Głos mężczyzny przywołał go do rzeczywistości. – Proszę się skupić, musimy jeszcze...

Nie chciał się skupiać na niczym. Chciał się odskupić, jak tylko to możliwe. Ale wiedział też, że nie może sobie na to pozwolić. Słuchał cierpliwie, odpowiadał na pytania, a po zakończeniu rozmowy zaczął działać. Jak automat. Z małymi przerwami działał tak przez trzy kolejne lata.

Pierwsze dni przepłakał. To, co mówią, że po jakimś czasie brakuje łez, to bzdura. Każdą kolejną dobą udowadniał, że jest inaczej. Szedł klasyczną ścieżką; najpierw były szok i otępienie, z którymi poradził sobie jednak dość szybko. Wiadomo, dzieci. Organizm wszedł w jakiś nadludzki tryb odpornościowy, jakby kierował nim instynkt tacierzyński. Jeśli oczywiście taki istnieje...

Po ciało poleciał z synami Matyldy, kiedy przedstawiciel prefektury zgodził się wreszcie na wydanie szczątków. Przez cały lot w jedną i drugą stronę nie odezwali się niemal słowem. Wtedy już nie płakał, chociaż tęsknota i żal stawały się nie do zniesienia. Zamiast łez pojawiły się wyrzuty sumienia. W oczach jej rodziców, pochylonych nad urną w trakcie krótkiej ceremonii pogrzebowej, widział to samo, co dostrzegał w swoim odbiciu w lustrze. Poczucie winy. Wcale nie było mu źzej, nawet jeśli akurat to podzielili między siebie.

Krytyczny moment tej żałoby nastąpił, kiedy smutek swoją wszechogarniającą mocą odebrał mu wiarę i prawie zmusił go do kapitulacji. Widział wokół siebie przyjaznych ludzi i kompletnie nie rozpoznawał ich twarzy. Na kilka tygodni w mazurskiej głuszy zamieszkali Hubert, Radeccy i Michalina; co kilka dni przyjeżdżali Marcel z Markiem, a Xenia więcej czasu spędzała tu niż u siebie. Kosma miał wrażenie, że go

pilnują, ale było mu to obojętne. Nie chciał zrobić nic głupiego, to nie był aż taki poziom desperacji. Miał tylko jedno marzenie: by kiedy następnym razem zejdzie schodami, na dole była już Matylda. I żeby to wszystko okazało się sennym koszmarem.

Gdy dotarło do niego, że nic już się nie zmieni, przyjął tę smutną prawdę i wszedł na kolejny poziom automatycznego pilota. Zgodnie z podpowiedzią lekarzy, przepracowując swoją traumę, powinien teraz przejść przez etap dezorganizacji i rozpacz. To się nie stało, zdecydowanie wolał smutek i gniew. Z dużą domieszką żalu, który karmił coraz to nowszymi piosenkami.

...Nie ma cię
tęsknię za tobą
puste miejsce mam w sercu, tylko myśl
zacznie się
będę na nowo...[\[7\]](#)

Dopiero historia Izy sprawiła, że poczuł coś naprawdę. Obudziła w nim niezgodę na kolejną niesprawiedliwość, jaka rodziła się niemal na jego oczach. Dlatego postanowił interweniować. Nie, nie kochał jej. Nie było mowy o miłości. Ale mógł jej dać coś równie ważnego. Jej – i oczywiście sobie. Może nawet coś więcej niż ulotne uczucie. Gdzieś tam głęboko czuł, że mogą pomóc sobie nawzajem. Ona potrzebuje wsparcia i – najprawdopodobniej w niedalekiej perspektywie – pieniędzy na leczenie. On miał tego wszystkiego w nadmiarze. I bardzo chciał zagrać losowi na nosie. Udowodnić, że w jego życiu może wydarzyć się coś dobrego. Choćby zamiast uczestnictwa miał się zadowolić jedynie rolą obserwatora. Był na to gotowy.

[7] Tulia, *Jeszcze cię nie ma* (sł. Sonia Krasny).

ze wspomnień o tobie
tkam
płaszcz na niepogodę
w skrzydłach kołnierza
drży
twój uśmiech
w guzikach
błyszczą
siedem tłustych lat
do kieszeni
ukradkiem
chowam łzy pożegnania
czekam
by zrozumieć...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedzieli w maleńkiej cukierni blisko kamienicy, w której wynajmowała swoje mieszkanie. Stawski nie krył zaskoczenia nagłą decyzją córki, kiedy dwa dni wcześniej skomunikowali się telefonicznie w sprawie jego przyjazdu do stolicy. Wszystko wskazywało na to, że będzie wracał do Krakowa szybciej, niż miał to w planach, i to obciążony dodatkowym bagażem.

– Dlaczego tak szybko, córeczko?

– Bo jeśli mam się pożegnać z tymi dzieciakami, to nie chcę tego przeciągać w nieskończoność. Właściciel lokalu pójdzie mi na rękę. Przez cały okres wypowiedzenia będę płacić tylko połowę kwoty. Spłacę to. Olek będzie pracował jeszcze przez miesiąc.

Nigdy nie miała przed ojcem wielu tajemnic – to była wyjątkowość ich wzajemnej relacji. Tak było i tym razem. Z ulgą zrzuciła z siebie ciężar rozmowy z Jakubowiczem. Nie ukrywała przed profesorem, że decyzja o skorzystaniu z propozycji wyjazdu za granicę miała swoje podłoże właśnie w tamtym spotkaniu. Stawski nie zajął w tej kwestii żadnego stanowiska. Kiedy wzburzona i ze łzami w oczach skończyła relacjonować mu rozmowę z przyjacielem Makarskiego, bardzo długo milczał

ze wzrokiem wbitym w zawartość filizanki.

– Nie chcesz porozmawiać z Kosmą? – zapytał ją w końcu, wpatrując się w córkę z uwagą.

– Nie o tym. Na pewno nie o tym. Może tylko zadzwonię, żeby pożegnać się z dziewczynkami. A może i tego nie zrobię. Nie wiem... Nie zdecydowałam jeszcze.

– Ile on dla ciebie znaczy?

Teraz ona skupiła wzrok na resztkach brązowego, zupełnie już zimnego płynu.

– Wystarczająco dużo, żeby męczyć się z tym, co chcę zrobić! To wyjątkowy mężczyzna, rodzina w ogóle...

– Pytam, co was łączy, córeczko.

– Wiem, o co pytasz, tato. – Westchnęła. – Przyjaźń. To wszystko. Nic więcej. Szczera przyjaźń, przynajmniej z mojej strony. Ale jest dla mnie ważny. I czuję się przy nim tak bezpieczna, jak przy tobie.

W tym momencie powinien jej powiedzieć, żeby nie zwlekała z telefonem do Kosmy i była z nim szczerą do końca. Jeśli rzeczywiście łączyła ich niezakłamaną przyjaźń... Ale Stawski milczał, czując, że córka nie chce rozmawiać z mężczyzną z tego samego powodu, który teraz chodził jemu po głowie, a który był wystarczającym argumentem, żeby zrobić coś wbrew logice. Być może nawet wbrew sobie. Czasami takie rozwiązanie stawało się najlepszym, najmądrzejszym i najmniej bolesnym wyjściem. Ale czy na pewno? Nie miał w tej chwili takiej pewności.

– Nie chcę być dla niego tylko ciężarem. – Dziewczyna przerwała ciszę. W powietrzu wybrzmiała właśnie myśl profesora Stawskiego.

– Wiesz o tym, że on w ogóle nie musi podzielać twojego zdania? – Nie miał sumienia dobijać jej, mówiąc, że być może właśnie podejmuje słuszną decyzję. Doskonale znał swoją córkę. Widział, jak dużo kosztują ją te słowa i jak bardzo ich

znaczenie klóci się teraz z wyrazem jej twarzy.

– Wiem, tato. Ale... gdyby coś poszło nie tak, to przynajmniej nie dołożę mu kłopotów.

– Chcę wierzyć, Izuniu, że tak będzie dla ciebie najlepiej – dokończył cicho, prawie zmiażdżony jej smutkiem; niemal czuł go w kościach.

– Nie jestem tego pewna. Ale nie chcę też nikomu niszczyć życia. Tym bardziej jemu... I dziewczynkom.

Na wspomnienie zawsze radosnych bliźniaczek zaszklily jej się oczy i poczuła, że jeśli będą kontynuować ten temat, zupełnie się rozklei.

– Teraz zabierzesz ze sobą moje zimowe rzeczy. Mam je posegregowane.

Ostre cięcie! Szybko i... mniej boleśnie, pomyślała, dopijając zimną kawę.

– I kartony z książkami. Niewiele tego... Całą resztę następnym razem. Myślę, że w przeciągu dwóch tygodni dam radę się zebrać.

Został jej jeszcze tylko esemes do rodziców i opiekunów małych tancerzy, o treści: „Szanowni Państwo, z dniem pierwszego września bieżącego roku klub Kolorowy Kameleon kończy swoją działalność. Dziękujemy za zaufanie, którym nas Państwo obdarzyli. Izabela i Aleksander”.

Z hotelu najbliższej miał do szkoły tańca, więc postanowił rozpocząć poszukiwania właśnie tam. Telefon Izy wciąż pozostawał poza zasięgiem, zupełnie jakby wylogowała się nie tylko z sieci, ale i z jego życia. Nie miał zamiaru jej na to pozwolić. Miał ku temu kilka solidnych, jak mu się wydawało, powodów i wielką nadzieję, że już wkrótce je przedstawi.

Niestety, sala, w której odbywały się zajęcia, była zamknięta. Postąpił chwilę w korytarzu, oglądając zdjęcia z występów różnych grup wiekowych, w tym grupy jego córek. Mimowolnie się uśmiechnął; dziewczynki przeżyły dzięki Izie wiele radosnych chwil. Dawała im to, czego nie był w stanie zapewnić najtroskliwszy ojciec.

W pewnej chwili mignęła mu kartka z ogłoszeniem o zakończeniu zajęć, podpisana przez Izabelę i Aleksandra. Zerwał ją w przypływie złości i odrzucił zmiętą w kąt. Przeklinał teraz swoją głupotę, że już wcześniej nie postarał się o numer Stawskiego; mógłby zaoszczędzić sporo czasu i nerwów. Profesor na pewno wiedział, gdzie jest jego córka.

Kolejnym punktem było jej mieszkanie.

Przy tym natężeniu ruchu będę tam w miarę szybko, pomyślał, uruchamiając samochód. Nie pomylił się – dwadzieścia minut później zaparkował w miejscu, do którego odwiózł ją nie tak dawno. Przed budynkiem nie było jej samochodu, ale nie tracił nadziei i nacisnął dzwonek. Chwilę to trwało, zanim w głębi mieszkania usłyszał jakąś reakcję i drzwi się otworzyły.

– To pan? – Stawski nie wyglądał na zaskoczonego. – Proszę do środka. Izy nie ma.

– Coś się stało? – Kosma wszedł do kawalerki i rozejrzał się badawczo. Wszystkie rzeczy były spakowane, kilka pudeł czekało jeszcze na oklejenie taśmą. – Nie odbiera telefonu.

– Jest na ćwiczeniach, zwolniło się miejsce i postanowiła skorzystać z zabiegu przed wyjazdem.

– Wyjazdem? – podchwycił Kosma. – Dokądś się wybiera?

Stawski spojrzał na niego badawczo, ale nic nie powiedział. Wskazał tylko miejsce przy stole. Kosma machinalnie usiadł i czekał na odpowiedź. Profesor napełnił dwie szklanki wodą i jedną z nich postawił przy gościu.

– Podjąłem decyzję o przeprowadzce. – Usiadł po drugiej stronie, upił łyk, odstawił naczynie i splótł ręce. – Izie skomplikowała się sytuacja w pracy.

– Przecież... – Kosma próbował coś wtrącić, ale Stawski powstrzymał go ruchem ręki.

– Nic jej tu nie trzyma, a w Niemczech może liczyć na lepszą opiekę medyczną.

Kosma kiwał głową, choć absolutnie nie zgadzał się z tym, co usłyszał. Jak to nic jej tu nie trzyma? Dlaczego musi to wszystko tak komplikować?

– Wyjeżdżamy na dniach – dokończył Stawski. – Przykro mi. Polubiłem pana i pana rodzinę, ale ja też jestem ojcem i wydaje mi się, że to najwłaściwsze rozwiązanie.

– Nie zamierzała się pożegnać? – Pytanie Makarskiego było ciche, ledwie słyszalne, mimo to ojciec Izy zareagował od razu.

– Rozmawiałem z nią o tym. Uznała, że nie ma prawa wymagać od pana jakiegokolwiek zaangażowania. – Stawski delikatnie nachylił się w kierunku rozmówcy. – Jakby czuła, że może pan zrobić coś wbrew rozsądkowi. Miała rację?

Kosma nie odpowiedział. W głowie miał gonitwę myśli i wiele słów, które bolały jak nigdy. Na dobrą sprawę dopiero teraz rozumiał, jak musiała się czuć Matylda, kiedy przed laty to on postanowił zniknąć bez słowa wyjaśnienia. Należało przerwać ten nieszczęsny ciąg zdarzeń, ta historia nie mogła kończyć się w ten sposób. Przecież Iza potrzebowała jego pomocy równie mocno jak on jej obecności.

– Może tu nie chodzi o to, kto ma rację? – odpowiedział na pytanie profesora. – Ale o to, by zaufać przeznaczeniu?

– Nie rozumiem? – Stawski poprawił okulary i spojrzał na gościa pytająco.

– No właśnie! Może chodzi o to, by nie do końca objąć wszystko rozumem? – Kosma poprawił się na krześle

i odchrząknął, jakby podjął jakąś decyzję i właśnie zamierzał ją zakomunikować. – Zostawię dla niej list; może przed wyjazdem zechce go przeczytać.

– Przecież może pan tu poczekać, powinna wrócić niebawem.

– Nie, tak będzie lepiej. – Makarski rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając kartki, z której mógłby skorzystać. – Nikt nie lubi być stawiany pod ścianą. Po prostu napiszę jej kilka słów.

Profesor podał mu notatnik i dyskretnie wycofał się do kuchni. Obiecał Izie, że spakuje pozostałe rzeczy z garderoby, przydałoby się też opróżnić szafki w przedpokoju. Wizyta Kosmy nie była dla niego wielkim zaskoczeniem, na jego miejscu pewnie postąpiłby identycznie. Wierzył w to, że ten obcy do niedawna mężczyzna chce dla jego córki jak najlepiej. Motywów, jakimi się kieruje, mógł się tylko domyślać. Na ten moment musiało mu to wystarczyć.

Niezależnie od tego, gdzie i jak podejmiesz leczenie, przez kilka lub kilkanaście najbliższych lat Twoje życie będzie wyglądało inaczej niż dotychczas. Przez ostatnie tygodnie przeczytałem o SM tyle, że w telewizji śniadaniowej mógłbym uchodzić za eksperta. Ty pewnie też, więc wiesz, że nie da się od tego uciec. A skoro tak, to najważniejszą kwestią staje się poczucie bezpieczeństwa. Musisz po prostu mieć wokół siebie tyle spokoju, by każdego dnia oddalać się od zagrożenia kolejnym rzutem. Iza, przecież o tym wiesz! Skoro ja mam tego świadomość, to Ty tym bardziej.

Spójrz na to wszystko z innej perspektywy. Popatrz, jak pokierował nami los. Jak wiele zmieniło się od momentu, kiedy po raz pierwszy podałaś mi earl grey. Mogliśmy oboje być w zupełnie innym miejscu, z zupełnie innym bagażem doświadczeń. Ale mimo to w milionowym mieście,

w wielomilionowym kraju, spotykamy się znów.

„Nawet to, co najbardziej przypadkowe, jest w ostatecznym rachunku koniecznością”. To nie ja, to Schopenhauer. Cholerny odludek w tym miał chyba rację. Możemy udawać, że to wszystko, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach, to przypadek. Dla mnie sprowadza się on jednak do konieczności podjęcia bardzo ważnej decyzji.

Opowiem Ci coś. Bałaś się zapytać wprost o Matyldę. Żałobę po śmierci najbliższej osoby dzieli się na cztery etapy. Średnio taki proces trwa rok. Rok dochodzisz do siebie i godzisz się z życiem na nowych warunkach. Ja od trzech lat tkwię w połowie drogi. Wolałem gdzieś w środku nosić żal i tęsknotę, zamiast przepracować tę traumę solidnie i pójść dalej. Po prostu pomyślałem, że to nie ma już sensu. Że po tym, co nas spotkało, nie ma dla mnie dalszej drogi. A jeśli nawet jakaś jest, to kompletnie bez celu.

Ostatnią fazą żałoby jest reorganizacja. To moment, kiedy pojawia się szansa na równowagę. Nie dotarłem do niej, nie była mi do niczego potrzebna, żyłem sobie siłą rozpędu, czekając, aż dzieci wyfruną z domu. Miałem wszystko i zarazem nic. Równowaga była czymś abstrakcyjnym.

Potrzebowałem Ciebie, by do niej dojrzeć.

Wiem, że jesteś teraz pod wpływem wielkich emocji. Znam je z własnego przypadku. Dlatego piszę ten list, by dać Ci możliwość zastanowienia.

Nie wyjeżdżaj. Zamieszkaj ze mną i dziewczynkami. Pomóż mi je wychować na wspaniałe kobiety. Mam wszystko to, czego potrzebujesz do dalszego leczenia. Pieniądze, spokojne miejsce na ziemi, miłość i cierpliwość. Będiesz tu bezpieczna, będziesz zaplatała im warkocze i uczyła babskich spraw. Ja będę obok gotowy do pomocy na każde zawołanie.

Piszę do Ciebie, czując, że mógłbym robić to również w imieniu Halszki i Różanki. Wiesz, że Cię uwielbiają. Straciły matkę,

zanim zdążyły ją na dobre poznać. Zostały z ojcem, który poznał je, kiedy umiały już chodzić.

Przebudujemy stodołę raz jeszcze. Będiesz miała swój kątek, a z jego okna świat będzie wyglądał ciekawiej.

Nie wyjeżdżaj. Nie żegnaj się w ten sposób. Nie teraz – a najlepiej nie żegnaj się ze mną nigdy.

Kosma

Im większa odległość dzieliła ich od Warszawy, tym mocniej oplatała ją nieuchronność zmian, jakich doświadczyła w swoim życiu w ciągu ostatnich tygodni. W jej przypadku zwleknięcie z podjęciem kolejnych kroków mogło tylko spiętrzyć kłopoty. Teraz, siedząc już w aucie ojca na miejscu pasażera, we wnętrzu zapakowanym po dach jej dorosłym, skromnym dobytkiem, czuła, jak z każdym mijanym kilometrem zamyka drzwi tego etapu swojego życia, kiedy możliwe było wszystko, a otwiera te, za którymi musi nauczyć się rozpoznawać rzeczy i ludzi, sprawiających, że kolejny dzień będzie wart oddechu. Przekręcając klucz w zamku wynajmowanego mieszkania, zostawiała tam, oprócz swojego zapachu i kwiatów na parapecie, całkowitą samodzielność, wciąż rozżaloną na los i ze skwaszoną miną walącą pięściami w drzwi na wysokości judasza. Ani jej, ani sobie nie potrafiła wytłumaczyć, jak długo będą w stanie bez siebie wytrzymać...

Wciąż jeszcze szumiał jej w uszach gwar nocnych klubów, zgiełk ulic, restauracji i miejsc, w których zostawiała swoje emocje, radości i energię kumulowaną codziennie na parkiecie i w powietrzu. Ciągle miała w głowie rytm muzycznych hitów szkółki, a przed oczami dziecięce buzie rozjaśnione uśmiechem, śledzące uważnie każdy jej ruch i gest. W myślach śmiała się do maluchów i wyciągała do nich ręce. W rzeczywistości obejmowała się ramionami, jakby próbowała sama sobie pomóc

zachować to wspomnienie i jak najlepiej je zapamiętać. Łzy ciekły jej po policzkach jedna za drugą. I jedna za drugą łączyły się w tęsknotę za jakimś rodzajem wolności, z którym pożegnała się jak z dziećmi na ostatnich zajęciach.

Tylko telefon Zuzy zbyła milczeniem. Za to w przypadku kogoś zupełnie innego swój brak reakcji na próbę nawiązania kontaktu uznała za sprawę niedokończoną. Mogła zadzwonić do Kosmy w każdej chwili. Żadna odległość ani też żadna kolejna decyzja nie była przeszkodą, żeby podziękować mu za jego uwagę i troskę, ale z każdą chwilą bała się bardziej, że kiedy usłyszy w słuchawce jego ciepły głos, a gdzieś w tle radosne głosy dziewczynek, powie coś, co bezpowrotnie zmieni ich życie. Coś, czego mogą żałować, kiedy rzucone ich dłońmi kości pokażą nie tyle oczek, na ile liczyli...

Jak dotąd w życiu nie bała się wielu rzeczy. W przypadku tego mężczyzny odwaga opuszczała ją po raz drugi. Sercem była tam, w mazurskiej głuszy, na wiejskiej werandzie pachnącej ziołami i jabłkami z sadu, a zębami przygryzała wargi do krwi na myśl, że za chwilę i tego zapachu nie będzie nawet pamiętać.

Przed zjazdem na autostradę zatrzymali się przy jakimś zajeździe na kawę. Dopiero kiedy wyszła z samochodu, poczuła, jak jest usztywniona tkwiącym w niej wciąż ogromnym napięciem. Chwila na rozprostowanie kości na świeżym powietrzu powinna jej dobrze zrobić.

Zachmurzyło się. Otworzyła bagażnik, żeby wyciągnąć z walizki jakąś lekką bluzę. Kiedy przesunęła ręką leżącą na jej bagażu marynarkę ojca, z wewnętrznej kieszeni ubrania wypadła biała koperta. Wzięła ją do ręki i przeczytała swoje imię. Pismo wydało jej się znajome. Skojarzenie przyszło bardzo szybko, kiedy przypomniała sobie, że tak brzydki charakter pisma ma tylko jedna spośród znanych jej osób.

– Tato?

Stała przed ojcem z kopertą w ręku i z pytającym wyrazem

twarzy.

- On cię szukał, Izuniu... – zaczął cicho profesor Stawski.
- Kiedy?
- Kilka dni temu.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Kiedy zamierzałeś mi go dać?
- Trzymała wciąż zamkniętą kopertę przed sobą.
- Zrozum mnie, dziecko...
- Po co przyjechał? Co mówił? – spytała jeszcze mocniej zdenerwowana.

Stawski patrzył na córkę z żalem, czułością i strachem w zatroskanych oczach. I milczał.

- Tato!
- Chciał się z tobą pożegnać.
- I to przede mną ukryłeś?! – Nie mogła opanować gniewu.

W oczach ojca było coś jeszcze. Nie pytała go już o nic, tylko drżącymi dłońmi rozerwała kopertę i na stojąco zaczęła czytać. W pewnym momencie zakryła usta dłonią, żeby stłumić szloch. Kiedy skończyła, spojrzała błyszczącymi oczami na ojca, który kręcił się niespokojnie kilka kroków od auta. W spojrzeniu córki profesor Stawski nie dostrzegł już żadnych znaków zapytania. Zobaczył w nich natomiast coś, co zdawało mu się, że zgasło jakiś czas temu bezpowrotnie.

- Jedźmy, tato – powiedziała spokojnie i pewnie.

rozrzucmy nad wodą
spopielają strach
oddajmy go
wiatrowi w dłonie
w zamian
za wysłuchaną prośbę o jutro
jak cicho...
słońce zachodzi na pogodę

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nakładałaś krem na urodzinowy tort. W całym domu pachniało karmelem, wanilią i orzechami włoskimi. Szukam tutaj tych zapachów i tęsknię. Zastanawiałaś się wtedy głośno, czy włożyć w niego dwie, czy cztery świece. Śmiałam się, chociaż nie wiedziałam, jak Ci pomóc w tych obliczeniach. Od przybytku głowa nie boli, powiedziałaś w końcu, wybierając tę drugą opcję... Wszystkiego było wtedy mnóstwo; bitej śmietany, śmiechu, bałaganu i hałasu naszej domowej menażerii. Tamtego wieczoru świat mógłby się skurczyć do tego jednego pokoju. I nie usłyszałbyś ode mnie słowa skargi. Siedziałam na dywanie między dziewczynkami, patrząc, jak kredkami tworzą swoje pierwsze światy, w których znajdzie się miejsce dla wszystkich...

Od świtu niebo przykrywały ciemne chmury. Kosma wstał tego dnia wcześniej, chcąc zdążyć z porannymi pracami w zagrodzie, zanim spadnie deszcz. Kiedy kończył inspekcję ostatniego poletka, poczuł na plecach pierwsze krople. Jego robocza błękitna koszula – jedyna ekstrawagancja kolorystyczna, na

którą sobie pozwalał – szybko zmieniała barwę, stając się granatowa.

Z niechęcią spojrział w niebo, próbując ocenić, jak długo utrzyma się taki opad. Ulewa tuż przed zbiorami trochę komplikowała sytuację, a taka właśnie się przypałała. Przyspieszył kroku, zastanawiając się, czy wystarczy pieczywa na śniadanie, czy też będzie musiał się pofatygować do wsi. Dziś sobota, a w ten dzień serwowali sobie jajka po makarsku; rodzinną tradycję udało mu się przenieść z Łodzi na Mazury. Najpierw na maśle przesmażał kilka krążków dymki, dodawał pokrojoną w cienkie plastry pieczarkę, a całość uzupełniał chudym boczkiem. Na koniec wbijał jajka i taką kaloryczną bombę serwował dziewczynom w weekendowy poranek. Przed laty uwielbiała to Michalina, teraz pokochały również bliźniaczki, bo jeśli całość uzupełniło się pajdą wiejskiego chleba, to smakowało wybornie.

Zgłodniał na samą myśl, więc zaczął się modlić o to, by w kuchni znalazło się jeszcze choć kilka kromek. Przymusowa wyprawa w deszczu, nawet na drugi koniec wsi, nie była niczym pożądanym. Zaplanowali dziś leniwy dzień, jeden z ostatnich w te wakacje. Pogoda wymusiła ograniczenie aktywności, więc w ruch pójda zapewne wszystkie gry planszowe.

Najstarsza córka postanowiła zostać z nim aż do końca zbiorów, w Łodzi nie działo się teraz nic godnego uwagi. W radiu wciąż obowiązywała letnia ramówka, mocno ograniczająca liczbę autorskich programów, więc nie spieszyła się z powrotem. Tu przynajmniej mogła się na coś przydać i odciążyć Kosmę podczas najbardziej pracochłonnego etapu hodowli. Poza tym czuła, że ostatnia wyprawa ojca do Warszawy nie do końca poszła po jego myśli. Wrócił bez humoru, a kiedy zapytała go o to, tylko machnął ręką.

– Nic takiego, nie przejmuj się – odpowiedział i na kilka sekund przytulił ją mocno. – Chciałem spotkać się z Izą, ale nie zastałem jej w domu. Był tylko pan Adam, który powiedział, że

szukują się do wyjazdu.

– Planuje wycieczkę? Nie powinna zająć się przede wszystkim leczeniem? – Michalinę zaskoczyła ta informacja. Przysiadła na murku przed domem i odstawiła filiżankę z kawą.

– Wyjeżdżają z Polski, na stałe – wyjaśnił.

– Co? Dlaczego?

Wzruszył ramionami. Przyjrzała mu się uważnie, zauważając więcej siwych włosów. Oparła głowę na ramieniu ojca i milczeli przez chwilę. To on odezwał się pierwszy.

– Chciałem ją przekonać, żeby zamieszkała tutaj. Dziewczynki dobrze się z nią dogadują, ja też, a ona miałaby idealne miejsce do powrotu do zdrowia. – Przerwał na moment, jakby zbierał myśli, po czym podjął wątek: – Uważasz, że zwariowałem?

– Skąd! Nie wiem, co tam się między wami dawniej wydarzyło, ale... – Umilkła, biorąc duży łyk kawy. – Przykro mi, tato – powiedziała wreszcie. – Naprawdę mi przykro.

– Nie przejmuj się! – Kosma spróbował się uśmiechnąć, by pokazać, że decyzja Izy nie jest dla niego aż tak istotna. – Może ją wystraszyłem. Może potrzebuje kogoś innego.

– Może potrzebuje czasu? – podsunęła Michalina.

– Napisałem do niej list. Może kiedyś się odezwie? – Kosma powiedział to bardzo cicho, nie rozpoznała więc, czy było to pytanie, czy życzenie. Podniósł się, dając sygnał do zakończenia rozmowy. Michalina ruszyła za nim do wnętrza domu, podejmując jednocześnie decyzję, że zostanie w stodole nieco dłużej, niż przewidywała. Ojciec wyglądał całkiem normalnie, ale wołała dmuchać na zimne. Wcześniej już kilka razy udało mu się zmylić jej czujność.

Przez cały weekend Kosma na zmianę zajmował się domem, bawił się z dziewczynkami i organizował z Hubertem telekonferencje, podczas których przygotowywali strategię działań na najbliższe tygodnie. Gdzieś z tyłu głowy siedziała mu

oczywiście myśl, że wygłupił się poszukiwaniami Izy, a cała ta jego propozycja jest żenująca i idiotyczna. Stawski, odbierając kopertę, obiecał mu, że przekaże ją córce niezwłocznie. Od tego czasu minęło już kilka dni; skoro nie odezwała się do tej pory, najwyraźniej nie przyjęła tego, co jej proponował. Żałował tylko, że nie pożegnała się z dziewczynkami. Informację o rozwiązaniu szkółki na razie trzymał w tajemnicy, chcąc przygotować nie tylko rozsądne wytłumaczenie, ale i alternatywną propozycję. Czas jednak kurczył się w zastraszającym tempie. Za tydzień skończą się wakacje i dziewczynki pójdą do szkoły. Początek września to także powrót do wcześniejszych zajęć. Taniec należał do tych najważniejszych w życiu Halszki i Różanki.

W niedzielę wieczorem wykąpał je jak zwykle i pomógł im zasnąć, czytając *Dzieci z Bullerbyn*. Wychodząc z ich sypialni, przygasił światło, odnotowując w pamięci, że w najbliższych tygodniach będzie musiał zorganizować im dwa osobne pokoje. Dziewczynki były już gotowe na to, by spać osobno, a przestronna stara stodoła dawała pod tym względem sporo możliwości. Mimo to na samą myśl o kłótniach podczas wyboru kolorów ścian jego entuzjazm mocno zmaleł.

Przez szparę pod drzwiami w pokoju Michaliny widać było słabe światło, pewnie czytała lub surfowała po internecie. Nie chciał jej przeszkadzać, więc wyszedł przed dom z zamiarem krótkiego spaceru z Helmutem. Przestało padać; założył jednak płaszcz przeciwdeszczowy, a na nogi wsunął gumowe buty. Jak znał Helmuta, ten poprowadzi go w największe kałuże.

Ruszyli w stronę wzniesienia pod lasem. Księżyc oświetlał drogę, wokół było cicho. Makarskiemu zdawało się, że widzi w oddali jakąś postać, ale uznał to za przywidzenie. O tej porze nie kręcili się tu obcy, miejscowi w niedzielę po zmierzchu też nie urządzali sobie pieszych wycieczek. Kiedy jednak Helmut szczechnął i pomknął w kierunku zjawy, Kosma również przyspieszył kroku. Jeszcze tego brakowało, żeby stary pies przestraszył któregoś z sąsiadów.

– Proszę się nie bać, nie jest groźny! – krzyknął na wszelki wypadek. Helmut nie przejawiał oznak agresji, wręcz przeciwnie, witał się z kimś bardzo przyjaźnie.

Kosma wyteńczył wzrok, bo z tej odległości wciąż nie rozpoznawał, z kim jego zwierz wchodzi w taką komitywę. Dopiero po kilku metrach mógł się uśmiechnąć.

– Nie prościej było zadzwonić? – zapytał z udawanym wyrzutem. Iza opędzała się od psa, starając się zachować poważną minę. – Przyjechałbym, do auta poprowadził, na miejsce zawiózł...

– Aj, daj spokój, padły nam telefony! – wyjaśniła dziewczyna. – A na dodatek złapaliśmy gumę tam pod lasem. Jest ciemno, ale ojciec uparł się, że zmieni koło.

– To szanowny papa też tu jest? – Kosma dalej grał rolę zaskoczonego. Szybko jednak zmienił ton. – Jesteś zmęczona? Wszystko w porządku?

– Tak... to znaczy nie. Nie jestem zmęczona i wszystko w porządku. – Iza plątała się, bo wciąż odbierała dowody psiej sympatii. Helmut stanął na tylnych łapach, próbując oblizać jej policzki. – Bylibyśmy wcześniej, ale bez nawigacji trochę tu błądziliśmy.

– To co, wracamy po papę?

– Poczekaj, chciałam ci coś powiedzieć. – Iza przytrzymała go za rękę. – Dopiero dziś dostałam twój list.

Zamilkła na chwilę.

– Napisałeś w nim, że dzięki mnie mogłeś dojrzeć do równowagi. Co przez to rozumiesz?

Kosma odruchowo zerknął na zegarek, jakby sprawdzając, ile ma czasu na odpowiedź. Ujął ją pod ramię i wolnym krokiem ruszyli do miejsca, gdzie z awarią auta mocował się profesor Stawski.

– Że dałaś mi impuls – zaczął bez wstępu. – Bo wydawało mi się, że nic mnie już nie zmusi do podjęcia próby ułożenia się z życiem na nowo. Nie czułem takiej potrzeby. Aż do teraz.

– Chciałam wyjechać bez pożegnania, Kosma. Ale to nie znaczy, że chciałam zapomnieć o tobie i dziewczynkach.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Muszę. – Nie pozwoliła mu rozwinąć wypowiedzi. – Wydawało mi się, że tak będzie lepiej. Że mniej będzie boleć. Ale to nieprawda, sama myśl bolała jak cholera.

– I przyjechałaś się pożegnać? – spytał z napięciem w głosie.

Przystanęła i odwróciła się do niego. Patrzyła mu długo w oczy, po chwili wsunęła dłoń w jego rękę i delikatnie pociągnęła go za sobą.

– Chcę się czuć bezpieczna. Myślę, że to najbezpieczniejsze miejsce, jakie znam. Nie przyjechałam się pożegnać. Jestem tu, bo chcę się przywitać. A poza tym... – Na sekundę podniosła głos, słysząc w nim było udawaną wymówkę. – Nie łatwiej było po prostu powiedzieć: zostań ze mną?

Uśmiechnął się, ale nie mogła tego dostrzec. Helmut szczerknął, więc ruszyli za nim. Szli dalej bez słowa, trzymając się za ręce. Kosma mógłby tak iść całą noc.

Z tych wszystkich listów, które napisałem do Ciebie, ten będzie najkrótszy. Muszę Ci coś powiedzieć, Matylde. Tak jak mi radziłaś, wpuściłem do swojego życia trochę światła. Na razie to słaby płomień, który nic nie rozjaśnia ani nie ogrzewa. Wiem, że to światło bez mojej pomocy nie przetrwa.

Muszę o nie zadbać tak, jak Ty dbałaś o mnie. Nie sądzę, bym był na to gotowy, ale mam dwie iskielki do pomocy. Proszę Cię, trzymaj za nas kciuki.

Dziękuję za wszystko!

Twój Kosma

OD AUTORÓW

Tym tomem kończymy opowieść o prawdziwej miłości; wspólnie z Czytelnikami żyliśmy nią przez ostatnie dwa lata.

Przystępując wiosną 2017 do spisania losów Matyldy, Kosmy, ich rodzin i przyjaciół, otwieraliśmy – pozostaliśmy w konwencji literackiej – nowy rozdział dla siebie i naszych bohaterów.

Nam dał on wiele momentów wzruszeń i ciągłych zaskoczeń podczas spotkań z Czytelnikami, Waszymi pytaniami i przemyśleniami, dzięki którym te książki mogłyby być inne. Kto wie, może ciekawsze? Odpowiedział nam też na pytanie, które zadawaliśmy sobie od dawna – czy powinniśmy zająć się przelewaniem myśli na papier regularnie, częściej, z większą konsekwencją? Wszystko wskazuje na to, że jeszcze się spotkamy.

Matyldzie i Kosmie, głównym aktorom pięknej historii prawdziwej miłości, rozdział ten dał z kolei możliwość zaistnienia w Waszych sercach. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że proces poznawania się, osvajania z ich przypadłościami i słabościami był bardzo często trudny. Jednak sympatia, z jaką piszecie o naszych bohaterach w swoich recenzjach, wskazuje, że znaleźliście wspólny język. Kosma to

dobry człowiek, a Matylda... była wyjątkowa. Równie wyjątkowa jak uczucie, które ich połączyło. Do pełni szczęścia zabrakło im tylko jednego uśmiechu losu więcej.

Kilkoro z Was może powiedzieć to samo, prawda?

* * *

Serdecznie dziękujemy dobremu duchowi tej książki, Karolinie Borowiec, za opiekę redakcyjną i twardą rękę, z jaką tonowała nasze pisarskie rozpasanie, naprawiała niedociągnięcia i uzupełniała braki. Karolino, praca z Tobą to przyjemność.

Czwartej Stronie oraz Wydawnictwu Poznańskiemu, naszym literackim rodzicom chrzestnym, dziękujemy za szansę i wsparcie, dostrzeżenie potencjału i cierpliwe przymykanie oczu na potknięcia. W tej rodzinie czujemy się jak we własnej.

Opowieści o Wenecji i Paryżu oparliśmy na własnych wspomnieniach, uzupełnionych lekturą kilku wartościowych artykułów i przewodników turystycznych. Na szczególną uwagę zasługują strony www.tamBylscy.pl, www.opolnocywparyzu.pl oraz www.naszszlaki.pl. Wszędzie tam znaleźliśmy informacje, które umknęły naszej pamięci. Serdecznie dziękujemy twórcom i publikującym tam osobom.

Zainteresowanym wątkiem modowym polecamy też *Wielką księgę ubiorów i stylów* wydawnictwa Arkady oraz artykuł *Król mody Paul Poiret*, dostępny na portalu kobieta.gazeta.pl.

W liście Matyldy, a dokładnie w części traktującej o jej podróży po miastach Lombardii, wykorzystaliśmy wiadomości z przewodnika turystycznego *Mediolan i Lombardia*, autorstwa Beaty i Pawła Pomykałów (Helion 2016).

W trzecim tomie znaleźliśmy sposób, by dotknąć problemu,

z jakim zmagać się musi czterdzieści pięć tysięcy Polek i Polaków chorych na stwardnienie rozsiane – w tym nasi bliscy. Za usystematyzowanie wiedzy o przebiegu tej strasznej choroby dziękujemy, życząc jednocześnie zdrowia, Pawłowi Gąsce, dziennikarzowi „SM Express”.

Nie starczyło miejsca, by pełniej nakreślić jedną z pasji Izy – pilotowanie samolotu. Ale nawet te krótkie wzmianki wymagały solidnych lekcji podstaw pilotażu, za które dziękujemy Waldemarowi Liszewskiemu. Lataj wysoko, Waldku!

Lidia Liszewska, Robert Kornacki

styczeń 2019



Opowieści wyjątkowe jak pierwsza miłość

Pamiętasz swoje pierwsze zakochanie? Motyle w brzuchu, ukradkowe spojrzenia i pewność, że spotkałaś kogoś niezwykłego. Tego nie da się zapomnieć.

Autorzy najpiękniejszych powieści obyczajowych stworzyli opowiadania o niezwykłej sile pierwszych zauroczeń. Ich bohaterowie idą za głosem serca, bo tak kochać można tylko raz, a cudowne wspomnienia zostają na całe życie. To historie pełne uczuć, emocji i wzruszeń niepowtarzalne jak pierwsza miłość.

Czy święto zakochanych może trwać przez cały rok? Zatrzymaj romantyczną atmosferę na dłużej i daj się ponieść sile uczuć. Może jedna z naszych opowieści będzie podobna do twojej?

Autorzy: Gabriela Gargaś, Katarzyna Berenika Miszczuk, Agnieszka Krawczyk, Agata Przybyłek, Agnieszka Lingas-Łoniewska, Natalia Sońska, Karolina Wilczyńska, Agnieszka Lis, Natasza Socha, Joanna Szarańska, Lidia Liszewska, Robert Komacki



*Wzruszająca opowieść o tym, że żeby móc patrzeć
w przyszłość, trzeba uporać się z ranami z przeszłości.*

Olga wyjeżdża na wakacje na Podhale. Ma zamieszkać u ojca, z którym od lat nie utrzymuje kontaktu. Od czasu rozwodu rodziców Olga nie potrafi mu wybaczyć ani nie chce znać jego nowej rodziny. Wszystko wskazuje na to, że będzie to najgorsze lato w jej życiu... Do czasu, dopóki na jej drodze nie pojawia się Janek – młody góral, który pracuje w restauracji na Kasprowym Wierchu. Okazuje się jednak, że nie tylko Olga ma smutne, skrzywdzone serce.

Rodzące się uczucie zostanie wystawione na niejedną próbę, gdy Olga odkryje pewną rodzinną tajemnicę, która nią wstrząśnie. Czy miłość jest w stanie przetrwać wszelkie przeciwności? I czy krzywdy z przeszłości można wybaczyć?



Pr prawdziwa miłość i nekane rozterkami serce... To historia dla wszystkich książkoliczek, które oczekują niebanalnych emocji.

To najtrudniejsza decyzja w życiu Igora.

Nie powie niczego więcej, nie zrani jej jeszcze bardziej.

A przede wszystkim nie złamie się i nie przyzna do prawdy.

Nawet jeśli to najgorsza decyzja w jego życiu.

Po bestsellerowych *Listach (nie)miłosnych* przyszedł czas, by poznać historię Igora. Czy Zosia dowie się, dlaczego ją zostawił?



*Emocje, uśmiech i wzruszenia zapisane
w starym, rodzinnym albumie.*

Chociaż Magdalena godzinami wśluchiwała się w opowieści dziadka, jego przeszłość wciąż s krywa tajemnice. We wspomnieniach Ludwika z lat wojny nie brakuje skomplikowanej miłości, strachu i cierpienia. Gdy Magdalena odkrywa niezwykle poświęcenie Heleny dla jej bliskich, ma wrażenie, że powrót do rodzinnych historii buduje ją na nowo. Przy dźwiękach nostalgicznej muzyki czyta listy i zapiski, które nigdy nie powinny wyjść na jaw. Próba rozliczenia się z przeszłością okaże się bolesna, bo niektórych obrazów nie da się już wymazać z pamięci, a dawno podjęte decyzje wciąż przynoszą konsekwencje. Jak prawda o dziadku wpłynie na życie Magdaleny?

Prawdy i tajemnice to krok w stronę rodzinnego pojednania. Rany, przez długie lata pełne żalu, dumy i tęsknoty, jeszcze mogą się zablźnić. Jeszcze jest na to czas...

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

OD AUTORÓW

Polecamy również